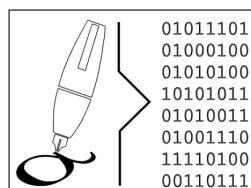


Jerzy Szczygieł

Nigdy cię nie opuszczę

Warszawa 1972



Rozdział I

— Niech pan szybko wraca — powiedział.

Doktor spojrział na niego zaciekawiony. Tadek mimo woli zaczerwienił się.

— Czujesz się pewniej, kiedy jestem w domu?

— Może.

Doktor uśmiechnął się.

— Wrócę wieczorem, ale Jędrka połów wcześniej i nie zapomnij go wykapać.

Wziął do ręki swoją nieodłączną walizkę z narzędziami i lekami i zniknął w hallu.

Tadek słyszał, jak kierowca uruchamia motor, a po chwili zapanowała dookoła cisza.

Wyszedł na dwór, rozejrzał się. I znów to złudzenie, że ich dom stoi jak dawniej, cały i mocny.

— Jędreerek! — zawołał.

— Idę! — piskliwa odpowiedź doleciała gdzieś spoza wypalanej ściany, a wkrótce ukazał się i sam Jędrak. Ciągnął za sobą na pasku psa.

— Ile razy mówiłem ci, żebyś tam nie chodził!

— Nic mi się nie stanie. Ściana przecież nie przewróci się.

— Jeśli pójdziesz tam jeszcze raz...

— To co? Może mnie uderzysz?

— Rozwiąż ten pasek, udusisz psa.

— A kiedy on ucieka, a potem muszę gonić za nim po całej ulicy.

Tadek wsunął rękę do kieszeni.

— Trzymaj.

— Tadziu kochany! Skąd masz?

— Znalazłem.

— Jakiś ty dobry! Prawdziwa obroża.

— Nie pójdziesz tam więcej?

Jędrak nie chciał patrzeć mu w oczy. Spoglądał na psa, próbującego złapać zębami pasek.

— Co ci to przeszkadza? — rzekł cicho.

— Ta ściana naprawdę lada chwila może runąć.
— Jak wchodzę przez wypalone drzwi, to mi się zdaje, że zaraz zobaczę mamę.
— Idę do miasta. Nie oddalaj się nigdzie. W duchówce masz gorącą zupę. Nalej sobie i zjedz.

- Tadek, weź mnie ze sobą.
- Pilnuj domu. Kręci się pełno złodziei. Tylko czekają, aby coś ukraść.
- Boję się sam siedzieć.
- Zamknij się od środka na klucz.
- Zawsze uciekasz. Nudno tak samemu.
- Masz przecież psa.
- A jak z psem rozmawiać?

Ale Tadek już nie słuchał. Zatrzasnął furtkę, wsunął dłoń w szczelinę między prętami i spuścił dobrze zamaskowany rygiel. Na ulicy było pusto, jedynie przy skrzyżowaniu paru żołnierzy ciągnęło linię telefoniczną. Rozwijali przewód, wspinali się na słupy, odcinali kłęby splątanych drutów i zakładali nowe.

Podszedłszy bliżej, stanął i przyglądał się. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, dlaczego tak pusto i smutno wyglądała ulica. To nawet nie strzaskane drzewa i leje po bombach ani tu i ówdzie wypalone budynki, lecz te poszarpane przewody elektryczne i telefoniczne szczególnie dotkliwie zubożały ulicę. Bez nich wyglądała jak wymarła. Nie lubił tych zwojów stalowych, płaczących się pod nogami. Bał się ich jak żywych, złośliwych stworzeń. Pamiętał dzień, kiedy w czasie trwania frontu poszedł do centrum miasta. Niemcy przez lornetę musieli ujrzeć jego postać na placu dobrze widocznym aż zza Wisły. Sypnęły się pociski. Zaczął uciekać i wtedy na nodze zacisnęła się taka zdradliwa pętla. Na próżno szarpał się i miotał. To tylko pogarszało sytuację. Na szczęście opanował się. Usiadł na chodniku i cierpliwie rozplatał drut. Gdy później znalazł się w bezpiecznym miejscu, długo nie mógł uspokoić szalejącego ze strachu serca.

Tamto wspomnienie wydawało mu się takie odległe i aż nieprawdziwe. Gdyby nie te druty...

- Przyszedłeś pomagać?

Uśmiechnął się do żołnierzy i pomaszerował dalej ulicą. Na dziedzińcu szkolnym pełno było dziewczyn i chłopaków. „Skąd się ich tyle wzięło?” — pomyślał. Od powrotu do miasta wydawało mu się ono takie bezludne. Dawniej, szczególnie na głównej ulicy, w jedną i w drugą stronę dążyły grupy przechodniów, jechały furmanki, dorożki, przemykali rowerzyści. Teraz ukazywali się tylko nieliczni mieszkańcy. Nieraz przez godzinę, stojąc przy furtce, nie widział żywego ducha. Ludzie nie mieli po co chodzić: sklepy i instytucje były zamknięte, ci więc, którzy już powrócili, kręcili się wokół swoich domów, zagospodarowując je na nowo.

Tłum młodzieży wydał się Tadekowi czymś niezwykłym. Zamiast iść do bramy, prze-

laż przez dziurę w murze. Rozglądał się po twarzach. Szukał znajomych, nikogo jednak nie poznawał. Wszyscy wydawali mu się prawie dorośli i obcy. Tylko w niektórych twarzach dojrzał coś znajomego. Ten dryblas, wysoki prawie na dwa metry, przypomina Mrówkojada, ale Mrówkojad był o wiele niższy. Czy to możliwe, by przez pół roku tak się wyciągnął?

Jemu też przyglądano się z zaciekawieniem. Odskoczył nerwowo, kiedy ktoś szturchnął go twardą pięścią w żebra. Gotów był oddać. Odwrócił się błyskawicznie. Przed nim stał uśmiechnięty szeroko i jak zwykle nieprawdopodobnie zarośnięty i rozczochrany — Jasio Mróz.

— Żyjesz? — spytał.

— I ty też — powiedział Tadek.

— Ale jestem inwalida. Patrz — Jasio wyciągnął lewą rękę.

Trzy środkowe palce miał urwane.

— W jaki sposób? — spytał Tadek.

— Pomagałem partyzantom, jeszcze w lipcu. Dowoziłem na rowerze amunicję. Obok mnie wybuchł granat.

— Nie wierz mu. On kłamie. Wsadził łapę w młockarnię.

Tuż przy nich stanęła wysoka, szczupła dziewczyna, z taką samą jasną i zwichrzoną czupryną. Jasio zaczerwienił się po uszy.

— Wynocha stąd! — syknął. — Głupia gęś! Musi wtykać nos.

— Bohater! — prychnęła.

— Nawet nie wiesz, jakie to przekleństwo mieć siostrę. Ale nie mów o tej młockarni nikomu, dobra? Będą się zaraz śmiać.

Tadek skinął głową.

— Zapisalesz się już?

— Tak, o klasę wyżej — mówił Mróz. — Wszystkie papiery szkolne poginęły, a nauczyciele nowi. Nikt nic nie pamięta. Każdy podaje klasę, jaką chce, i tak zapisują. A jak pytają o świadectwa, wystarczy powiedzieć, że spaliły się. Nie bądź głupi, zapisz się też wyżej.

— Nie mam zamiaru chodzić do szkoły — rzekł Tadek. — Przyszedłem zapisać Jędrka.

— A co będziesz robił?

— Jeszcze nie wiem. Może pojedę na Zachód.

— I co?

— Podobno tam nawet chłopaków w naszym wieku przyjmują do milicji obywatelskiej.

— Żartujesz.

— Głowy nie dam, ale tak słyszałem.

— Jadę z tobą, jak Boga kocham! — zapalił się nagle Mróz. — Jeszcze dziś.

— To nie takie proste. Na razie muszę zająć się Jędrkiem.

— A matka?

— Umarła.

Jasio spojrział ze współczuciem.

Tadek skierował się do stołu, przy którym siwowłosa kobieta wpisywała na listy nowych uczniów. Odczekał chwilę, a potem podał imię i nazwisko.

— Która klasa?

— Pierwsza.

Kobieta podniosła wzrok.

— Twój brat? — domyśliła się.

— Tak.

— A dlaczego nie przyszli rodzice?

— Nie żyją.

Chwilę wpatrywała się w niego uważnie.

— Data urodzenia Jędrka?

— Zdaje się, że w grudniu skończył siedem lat.

— Nie wiesz dokładnie?

— Nie pamiętam.

— Dobrze. A ty do której klasy?

— Ja... — zaciął się. — Ja nie mam czasu na szkołę — rzucił szybko.

Ktoś się zaśmiał, lecz kobieta ze zrozumieniem pokiwała głową.

— Zapisz się jednak — powiedziała. — Może w końcu znajdziesz trochę czasu.

Tadek pomału odwrócił się i odszedł. Nie miał najmniejszej ochoty skazywać się dobrowolnie na przesiadywanie po kilka godzin dziennie w klasie. Szkoła nie pociągała go nigdy, tym bardziej teraz, kiedy miał tyle obowiązków. Umiał czytać, pisać. Czego więcej mógł się nauczyć? Inni mogą chodzić, mają rodziców, ale on? Wystarczy, że pójdzie Jędrak. Ten zresztą aż rwie się do szkoły. Wyobraża sobie, że tam Bóg wie jakie ciekawe rzeczy się dzieją.

— Zapisałeś go? — znów wyrósł przed nim Jasio.

— Zapisałem.

— Chodź. Za śmietnikiem, w grabowej alei, stoi czterolufowe działko przeciwlotnicze, nie uszkodzone. Jest amunicja. Można strzelać.

— Dziwne, że do tej pory wojsko nie zabrało — powiedział Tadek.

— Po co im. Wszędzie tego pełno. I za dziesięć lat nie uprzętną.

Minęli szkolne boisko i znaleźli się w kępie grabów. Przy dziale kręciło się kilku chłopaków. Spychali się z siodelka, biegali dookoła, uruchamiając po kolei całą maszynę. Ujrawszy Jasia, odsunęli się przezornie. Byli znacznie młodszy i okazywali mu wyraźny

szacunek.

— Przynieście amunicję — zakomenderował.

Błyskawicznie wykonali polecenie. Po chwili działo plunęło ogniem. Jasio czuł się w swoim żywiole. Nie bał się, szczyrzył zęby, ładował amunicję i strzelał.

— Przestań! Zaraz przyjdzie patrol.

— E, co dzień tu strzelam. Wojsko na takie rzeczy nie zwraca uwagi. Przyzwyczaili się i myślą, że to żołnierze. Chcesz popukać, to siądź, pokażę ci, jak to się robi.

Tadek zajął miejsce na siodełku.

Nagle ktoś gwizdnął przeraźliwie. Wszyscy rozpięchli się w mgnieniu oka. Nim Tadek zeskoczył na ziemię, już zza drzew wypadło dwóch milicjantów z pepeszami.

— Ty strzelałeś?

— Nie.

— A kto?

— Uciekli.

— Kłamiesz!

— Nawet nie wiem, jak to się robi.

Milicjanci mieli najwyżej po osiemnaście lat.

— Pójdiesz z nami.

— Dokąd?

— Dowiesz się.

— Ja nie strzelałem.

— Nie szkodzi. Tam powiesz, kto strzelał.

Zbliżyli się do dział, przyglądali. Jeden pokręcił korbą, uruchomił jakąś dźwignię. Tadek pomyślał, że też mieliby chęć puścić sobie kilka serii w niebo. Skorzystał z ich nieuwagi, wszedł między drzewa i bez zbytniego pośpiechu oddalił się.

Kiedy już był na ulicy, przypadł do niego Jasio Mróz.

— Zwiąłeś? Ten starszy — mówił — to mój cioteczny brat, ale gorszy niż obcy. Odkąd wstąpił do milicji, ciężko z nim wytrzymać. Nawet własnego ojca chciał aresztować za ukrywanie broni.

Tadek przystanął i patrzył na kolumnę jeńców niemieckich zdążających pod strażą gdzieś do centrum miasta. Każdy z nich trzymał na ramieniu łopatę. Mieli pochmurne twarze i nie przypominali już niedawnych zwycięzców, butnie kroczących ulicami miasta.

— Idą odgruzowywać — wyjaśnił Jasio Mróz. — Podobno nie puszczą ich, dopóki nie odbudują całej Polski.

— Wolałbym ich nie oglądać — rzekł Tadek. — Chociaż mają łopaty zamiast pistoletów maszynowych i spuszczają nisko łby, nie ufam im.

— Wczoraj widziałem starą kobietę, która rzuciła się na nich z gołymi rękami.

Uciekli przed nią jak przerażone zające. Radzieccy konwojenci nie mogli jej uspokoić. Wołała: „Zabili męża i synów, a wy ich bronicie!” Rosjanom opadły ręce. Patrzyli po sobie zawstydzeni. Dopiero oficer wziął ją pod rękę i odprowadził na bok, tłumacząc coś po cichu.

— Pamiętam, jak oni pędzili jeńców rosyjskich — powiedział Tadek. — Kopali, bili kolbami, goniąc przez miasto niby bydło. A teraz nasi obchodzą się z nimi jak z jajkiem, jeszcze chronią przed ludnością.

— Ja bym ich nie żałował — stwierdził Mróz. — Należy im się dobra szkoła, aby nie zaczęli znów myśleć o nowej wojnie.

W pobliżu benzynowni Tadek pożegnał się i skręcił w swoją ulicę. Jasio Mróz patrzył za nim i wyraźnie wahał się. Od dwóch godzin powinien już być w domu, ale po tak długiej rozłące ulice, domy, wszystko ciekawiło i było takie niezwykle.

— Zaczekaj! — krzyknął i pobiegł za Tadkiem. — Zobaczę tylko wasz dom. Jeszcze tam nie byłem. Ojciec zagroził laniem, jeżeli nie przyjdę punktualnie, ale teraz i tak wszystko przepadło. Spóźniłem się dwie czy trzy godziny, to już nie ma znaczenia — zaśmiał się grubo i szturchnął Tadka w bok. — Ty masz dobrze, nikt cię nie pilnuje.

— Wolałbym, aby pilnował.

— Wiesz, jaki jest mój ojciec. A jeszcze jak któregoś dnia dowiedział się, że rozerwał dwóch chłopaków majsterkujących przy pocisku, stał się wprost nieznośny. Przegląda wszystkie moje rzeczy, rewiduje kieszenie. Boi się, bym nie nosił granatów za pazuchą. A gorsza od niego jest siostra. Szpieguje mnie dla własnej przyjemności. Nie wiem, czy i w tej chwili nas skądś nie podgląda.

— Wasz dom ocalał? — zagadnął Tadek.

— Tak. Wyleciały tylko szyby. Szczęśliwie nawet nic nie zginęło. Dom Giętka spłonął. Patrz, komin tylko pozostał. Mieszka z matką w tym bunkrze.

Przechodząc koło furtki, Tadek włożył dwa palce do ust i gwizdnął.

Chwilę czekali, lecz nikt nie wyszedł.

— Nie ma ich — stwierdził Mróz. — A was nie okradli? — Popatrzył na widoczny spośród drzew front domu Tadka.

— Nie wiem.

— Jak to nie wiesz?

— Zwyczajnie.

— Przecież mieszkasz tam.

— Mieszkamy obok, u doktora.

— Uważaj. Pełno teraz dzikich lokatorów. Tak zajęli dom mojej ciotce. Ledwo ich stamtąd wyrzuciła.

— Nie boję się.
Kiedy znaleźli się blisko, Jasio Mróz stanął zaskoczony.
— Ach, to tak — powiedział.
Tadek otworzył furtkę do ogrodu doktora.
— Zajdź do nas.
Jędrzek wypadł przed dom, a tuż za nim pies. Obaj byli niezwykle podnieceni.
— Tadek, ktoś wlaźł oknem. Dopiero co... Siedzi tam na górze. Myślał, że dom pusty.
Trzymałem psa, aby nie szczekał.
— Którym oknem? Widziałeś go?
— Widziałem. W czarnym ubraniu. W berecie.
— Jest! — zawołał Mróz.
Spojrzeli do góry. W oknie, oparty silnymi rękami o parapet, stał mężczyzna może trzydziestoletni i przyglądał im się niepewnie.
— Sami jesteście? — zagadnął.
— Tatusiu! Wujku! Jakiś pan wlaźł na piętro! — krzyknął Jasio Mróz kierując się do drzwi domu.
Tadek w mig zorientował się. Wbiegł do wnętrza z krzykiem, hałasując, potrącając meble. Kundel ujadał. Mężczyzna nie wytrzymał nerwowo, skoczył z okna wprost na klomb, dopadł furtki i zniknął za żywopłotem.
Jędrzek szybko zatrzaskał za nim furtkę.
— Dał się nabrać — powiedział Jasio Mróz. — Na wszelki wypadek miałem coś pod ręką, zobacz — wyjął z kieszeni parę zapalników do granatów. — Takie coś może napędzić strachu. Pokazać wam?
Otworzył okno, odbezpieczył i cisnął zapalnik do ogrodu.
Mimo woli padli na podłogę. Czekali krótko. Domem wstrząsnęła detonacja.
— Rąbnęło, co? Zabić to chyba nie zabije, ale strachu napędzi. Mogę ci dać kilka. Mam tego całą skrzynię, dobrze ukrytą.
— Daj mnie — poprosił Jędrzek.
Jasio zawahał się.
— Niepotrzebne nam to — powiedział Tadek. — A ty — zwrócił się do brata — pilnuj lepiej psa, bo o mało go ten zapalnik nie rozerwał.
Pies przerażony skomlił i gwałtownie drapał łapami do drzwi.
— Widziałem. Jak zobaczył, że coś pada w krzaki, rzucił się w tamtą stronę. Głupi burek. Gdyby złapał w zęby, urwałoby mu łeb. — Jasio zaśmiał się.
Jędrzek spoglądał na nich przerażony.
— A ty myślałeś, że to takie kapiszony, jakie się kupuje na odpuszcie — zadrwił z niego Tadek.
Potem, nie zważając już na kolegę i brata, zabrał się do szklenia okien. Doktor zdo-

był gdzieś skrzynie szkła i zamierzał sam wstawić szyby, ale Tadek postanowił zrobić niespodziankę. Znał się na tym dobrze. W czasie okupacji pomagał szklić inspektowe okna ogrodnikowi z sąsiedniej ulicy. Teraz więc zabrał się do roboty z radością. To zajęcie sprawiało mu przyjemność.

Jędrak patrzył jak urzeczony. Podawał gwoździe, ugniatał kit, starał się odgadywać myśli Tadka. Brat mu wyraźnie imponował.

— Chętnie bym został tu z wami. Tak mi się nie chce iść do domu — powiedział Jasio.

— Nie radzę ci nosić tych zapalników — odezwał się nagle Tadek szorstko.

— Ty byś się bał, co?

— To nie odwaga, ale głupota. Przecież to w każdej chwili może ci się rozerwać w kieszeni.

— E, nie takie rzeczy już nosiłem — odparł, ale sposepniał nieco.

Tadek przyglądał nożem kit i już milczał.

— To jak z tym Zachodem? Kiedy byśmy pojechali?

— Tadek nigdzie nie pojedzie — wtrącił się Jędrak.

— A co ty masz do gadania? — rzekł Mróz.

— Więcej niż ty! — odciął się Jędrak.

— Jeśli będę jechał, dam ci znać — oznajmił Tadek.

— Macie coś do żarcia może? Od rana nic nie jadłem.

— Zostało trochę zupy? — zagadnął Tadek Jędrka.

Ten spuścił głowę.

— Zjedliśmy we dwóch — powiedział wskazując oczami psa.

— No, w takim razie pójdę sobie, ale pamiętaj, daj mi znać, gdybyś jechał.

— Dobra, nie zapomnę — przyrzekł Tadek.

W tejże chwili rozległ się warkot samochodów i niecierpliwe trąbienie klaksonów.

Wyskoczyli przed dom. Koło furtki stały: wojskowy jeep i ciężarówka. Z szoferki wysiadło dwóch milicjantów.

— Z kim doktor mieszka? — zwrócili się do chłopców.

— Z nami — powiedział Tadek.

— Tylko z wami?

— Tak. Ale nie ma go, pojechał.

Nagle Jędrak wysunął się naprzód.

— Przecież doktor pojechał z wami tym samochodem. Gdzie on jest? — spytał.

Milicjanci popatrzyli na siebie znacząco.

— Kiedy doktor wróci? — rzekł Jędrak zaniepokojony.

— Nigdy nie wróci — odparł milicjant spuszczać głowę. Skierował się do szoferki.

— Gdybyście czegoś potrzebowali, dajcie nam znać.

Jędrak złapał go za rękaw.

— Gdzie jest doktor? — powtórzył natarczywie.

Milicjant spojrział z wahaniem.

— To wasz ojciec?

— Nie. A gdzie on jest?

— Napadli na nas w lesie. Zabili go.

— Jak to? — nie rozumiał.

Milicjant już siedział w środku.

— Leży w kostnicy. Możecie pójść pożegnać się z nim.

Zatrzasnął drzwiczki. Samochód ruszył natychmiast. Patrzyli na oddalające się wozy, to na siebie.

— Co on mówił? — spytał Jędrak blednąc gwałtownie.

— To niemożliwe — powiedział Tadek.

— Pójdę sobie — szepnął Mróz i pomału zaczął odchodzić. Tadek objął ramieniem Jędrka.

— Chodź, będziemy szklić dalej.

Ale ten wyrwał się i zaczął biec w stronę miasta.

— Stój! Jędrak!

Jeszcze przyspieszył. Tadek puścił się za nim, nie mógł go jednak dogonić. Gnali tak aż do samego szpitala. Jędrak ledwo przebiegł furtkę, skierował się w stronę drewnianej kostnicy. Przed otwartymi jej drzwiami stały samochody, a przy nich żołnierze i milicjanci.

Doktor leżał najbliżej drzwi. Obok niego znajdował się rząd noszy ze zwłokami w wojskowych mundurach. Ciała były częściowo przykryte, ale twarze odsłonięte. Wszystkie one były dziwnie podobne do siebie. Jeden tylko miał ciemne włosy i odróżniał się nieco.

Jędrak przybliżył się i prawie dotykał twarzy doktora.

— Tadek, co teraz będzie?

Nie odpowiedział. Przypomniawszy sobie, że zostawili otwarty dom. Wyszedł za próg kostnicy, ale raptem stracił ochotę, aby wracać do willi.

— Co będzie z nami? — szepnął do siebie.

Ukrył się za ciężarówką. Nie chciał płakać, ale rozpacz rozrywała mu piersi. Łzy osłepiły go. Nie zauważył, kiedy obok stanęli żołnierze. Nic go w tej chwili nie obchodził świat. Nienawidził wszystkiego i wszystkich. Nie mógł zrozumieć, dlaczego musiało to spotkać doktora i ich. Co on zawinił? Co oni zawinili?

Oprzytomniał dopiero czując na ramieniu dłoń.

— Nie płacz już — poprosił Jędrak.

Tadek otrząsnął się, jakby go ktoś przestraszył. Otarł palcami łzy.

W milczeniu wracali do pustego domu.

Rozdział 2

W dniu pogrzebu doktora zjawili się w willi obcy ludzie. Tadek początkowo nie chciał ich wpuścić do domu, ale tęga kobieta w średnim wieku energicznie pchnęła drzwi.

— Co ty tu robisz? — rzuciła ostro.

— Mieszkam! — odparł takim samym tonem.

— Bezcelny smarkacz! Ciekawa jestem, kto ci pozwolił tu wchodzić?!

Milczał ponuro, gdy tymczasem Jędrak trzymał psa za obrozę i próbował go uspokoić. Wkrótce wyjaśniło się, że są to krewni doktora. Nie zważając na chłopców, rozgościli się w pokoju na dole. Po chwili przynieśli z kuchni wódkę i konserwy. Tadek spoglądał oburzony. Doktor trzymał to w osobnej szafce. Kiedyś powiedział, że to na czarną godzinę.

— Zabierajcie się stąd! — rzucił jeden z mężczyzn, zauważywszy wrogie spojrzenia chłopców.

— To jest dom doktora i nasz — rzekł Tadek wyzywająco.

— Coś z nimi trzeba będzie zrobić — powiedziała kobieta.

— Gdzie wasi rodzice? — spytał ktoś.

— To nasza sprawa! — mruknął Tadek.

Naraz przypomniał sobie milicjanta i jego słowa.

— Chodź — pociągnął Jędrka za sobą.

Biegli co tchu do komendy miasta. Mieli szczęście: na dziedzińcu spotkali milicjanta, który często zachodził do doktora. Tadek urywanymi zdaniem opowiedział mu wszystko. Wysłuchawszy ich, zagadnął:

— Macie tam jakieś swoje rzeczy?

— Trochę — przyznał.

— Przynieście je tutaj. Na razie zamieszkacie z nami.

— Ale dlaczego? — zaprotestował.

— Dom był własnością doktora, a teraz odziedziczyła wszystko rodzina — wyjaśnił milicjant.

— Oni nigdy nie przychodzili do doktora.

— Ja wiem — rzekł — lecz teraz, kiedy nie żyje, zgłosili się po majątek i mają do tego prawo.

Położył wielką dłoń na głowie Jędrka.

— Nie martw się, u nas będzie wam dobrze. I psa też weź ze sobą — uśmiechnął się.

Potem podszedł do wartownika spacerującego przed wejściem i coś mu tłumaczył, wskazując na chłopców.

Pokoik był maleńki. Dwa łóżka stały przy sobie. W jednym kącie znajdowała się niska szafka, a w drugim — taboret, miednica i dwa wiadra. Po obszernych, jasnych pokojach willi doktora izdebka wydawała im się ponura i uboga. Niewielkie, zakratowane okienko przepuszczało skąpe światło.

Siedzieli naprzeciw siebie posępni i milczący. Pies też wydawał się przygnębiony, jakby rozumiał niewesołą sytuację. Ułożył się na podłodze przy drzwiach, podkulił ogon i patrzył to na jednego, to na drugiego.

Gdzieś za ścianą słychać było stuk maszyny do pisania i czyjś monotony podniesiony głos.

— Głodny jestem — poskarżył się Jędrak. — Wziąłeś chleb?

Tadek zaprzeczył ruchem głowy.

— I tak patrzyli na mnie jak na złodzieja. Pytali, czy na pewno wszystko, co zabieram, jest moje.

— I co teraz będzie z nami?

— Nie wiem, ale ty od jutra idziesz do szkoły.

— Doktor mi obiecał zeszyty i książki...

— Postaramy się, tylko nie zaczynaj znów płakać.

— Przecież ty też płaczesz.

— Zamknij gębę! Ja wcale nie płacę! — wrzasnął Tadek, gwałtownie zrywając się z łóżka.

Pies nagle warknął i stanął tuż przy Jędrku. Chłopiec złapał go za obroź. Tadek zaskoczony patrzył na obydwu.

— Widzisz, on nie dałby mnie skrzywdzić. — W głosie Jędrka wyraźnie brzmiała duma. Przytulił twarz do psiej mordy. — Kochany jesteś — powiedział — ale jednocześnie taki głupi kundel z ciebie.

— Pójdę zdobyć coś do jedzenia... i te zeszyty.

Tadek ruszył ku drzwiom. Zaraz w sąsiednim pokoju dowiedział się, że na czas pobytu w komendzie wciągnięci zostali na listę prowiantową i będą, tak jak wszyscy milicjanci, otrzymywać gorące posiłki i suche racje żywnościowe.

Gorzej przedstawiała się sprawa z zeszytami i książkami. Przypomniawszy sobie, że przechodząc kilka dni temu obok starej szkoły, zburzonej częściowo przez pociski artyleryjskie, zobaczył jakieś stosy książek poniewierające się na dziedzińcu. Pomyślał teraz, że może to podręczniki, i postanowił je obejrzeć.

Było już późne popołudnie. Na ulicy Staszica prawie zmierzchało. Tu zawsze panował mrok, idący od wysokich, potężnych lip, rosnących blisko siebie. Nie lubił tej ulicy. Tchnęła jakąś ponurą tajemniczością. Mało kto nią chodził. Kiedyś stanowiła część parku, ale później ułożono w alei bruk, zmieniając ją w szosę — po co, nikt nie wiedział, bo i tak nie jeździły tędy samochody ani furmanki. Podobno miała to być krótsza droga do stacji kolejowej, lecz skończyło się na wyłożeniu niewielkiego odcinka alei kocimi łbami. Dalej rozciągały się pola i ogrody. Właściwie wejście do szkoły znajdowało się od sąsiedniej ulicy Kołłątaja, dla chłopców jednak z tej części miasta, gdzie mieszkał Tadek, była to zbyt okrężna droga, skracali więc ją sobie, przełaząc przez dziurę w siatce i żywopłocie.

Odruchowo poszedł właśnie tędy. Tu i ówdzie między brukiem pojawiła się młoda trawa. Znać było, że od dawna nikt po nim nie chodził. Żywopłot za siatką lekko zaczął się zielenić. Ostre, blade pączki przeobrażały się gdzieś w wątle liście. Nad lipami jak zawsze krążyły stada wron i kawek. W dwóch miejscach zobaczył prawie identyczne wzgórki z drewnianą tabliczką i hełmem. Podobnych grobów spotykało się w mieście niemało. W czasie frontu chowano zabitych najczęściej w pobliżu miejsca, gdzie padli, starano się tylko, aby były to ciche, ocienione zakątki, jak gdyby umarli czuli się w takich ustroniach spokojniej.

Przełaząc przez dziurę w szkolnym parkanie, zawadził nogą o olbrzymi armatni pocisk, na wpół zasypyany ziemią. Boisko wyglądało opłakanie. Bramki do piłki nożnej i koszykówki znikły. Bieżnia — wysypana dawniej czerwoną, tłuczoną cegłą — zryta została nieprawdopodobnie przez gąsienice czołgów, które tu widać parkowały. Stąpał ostrożnie, gdyż wokół leżało sporo pocisków i małych rozrywających bomb, przypominających połyskliwe srebrzyste zabawki z wiatraczkami. Aż coś kusiło, by wziąć jedną z nich do ręki. Tu również dojrzał mogiłę, tylko bez tabliczki i hełmu.

Dach szkoły był zerwany. Ściana frontowa i boczne zmieniły się w stosy gruzu, a tylna — porysowana w wielu miejscach głębokimi pęknięciami — groziła lada chwila upadkiem. Starał się nie zbliżyć zbyt blisko. Rozglądał się pilnie w poszukiwaniu książek. Rzeczywiście zapamiętał dobrze: leżało ich kilkadziesiąt blisko bocznego wyjścia. Wziął pierwszą z brzegu do ręki. Rozsypywała się niemal od wielomiesięcznego leżenia pod gołym niebem, na śniegu, deszczu i wietrze. Druk zatarł się w wielu miejscach i trudno go było odczytać. Dopiero po chwili zorientował się, że są to książki niemieckie. Podniósł ze cztery, jedną po drugiej. Wreszcie rozżalony stracił nadzieję, cisnął je w kałużę i już chciał odchodzić, kiedy zwróciła jego uwagę długa kolorowa taśma mio-

tająca się na wietrze. Szarpnął ją. I wtedy z łomotem obsunął się ze ściany duży złom muru, jakby otwarły się drzwi. Ujrzał brzeg jasnej sosnowej szafy.

Dłuższą chwilę stał i zastanawiał się, czy podejść, zobaczyć, co się mieści w środku. Utworzona przed chwilą wyrwa stanowiła jedyne dojście do owej wpółzasypanej izby. Skradał się na palcach. Z góry sypał się wapienny pył. Lada sekunda znów mogły runąć poruszone cegły. Nie zdążyłby uskoczyć. Znalazłszy się wewnątrz izby, tuż przy szafie, aż się przeraził własnej śmiałości. Nad nim wisiał strop popękany i wybrzuszony. Wszystko dookoła budziło grozę. Bał się odetchnąć.

Ostrożnie pociągnął uchylone drzwi szafy. Stanowiła ona jedyny sprzęt obszernej klasy. Wydawało mu się, że ledwo poruszył palcami, gdy raptem drzwi wypadły i z hukiem runęły pod jego nogi.

Uspokajał przerażone serce.

W szafie nie było półek, tylko na samym dnie leżał plik grubych zeszytów w czarnych ceratowych okładkach, a obok stał wysoki słój napełniony jakimś płynem, w którym wił się długi pręgowany wąż.

Odczekał chwilę. Strach paraliżował jego ruchy. Dopiero kiedy pył wzniecony upadkiem drzwi osiadł powoli, wziął zeszyty, a potem słój i ostrożnie wymknął się z pułapki.

Odetchnął głęboko. Świat dookoła wydał mu się nowy i ciekawy, jak chyba nigdy dotychczas. Dopiero za bramą, czując drżenie w kolanach, postawił słój i usiadł na skrzynce leżącej pod parkanem.

Ulica była pusta. Ta część miasta najwięcej ucierpiała podczas działań wojennych. Większość domów spłonęła. Wszędzie widniały ogromne leje po bombach. Pociski skończyły drzewa i słupy.

Otworzył pierwszy z brzegu zeszyt. Stronice były ponumerowane na przemian czerwonym i zielonym atramentem, ale poza tym bruliony wyglądały jak nowe. Bardzo się tym ucieszył. Wyjął z kieszeni sznurek, związał je, później dorobił z drutu rączkę do słoja i skierował się do centrum miasta, starannie wymijając dziesiątki przeszkód.

Na głównej ulicy kręciło się kilkanaście osób. Z ich zachowania wyczuł, że chodzą bez określonego celu. Miasto wyraźnie jeszcze nie mogło otrząsnąć się z wojennej martwoty.

Mijając budynek nowej szkoły, tuż przy samej bramie natknął się na ową siwo-włosą nauczycielkę, u której zapisywał Jędrka do pierwszej klasy. Poznała go i wyraźnie była rada ze spotkania. Stali naprzeciw siebie. Ona uśmiechała się przyjaźnie i patrzyła z ogromnym zainteresowaniem na słój.

— Niesiesz to do szkoły? — spytała.

— T... tak.

— Brawo! Ja właśnie uczę przyrody. Nie mamy na razie żadnych eksponatów. Trzeba

zbierać wszystko od nowa. Ten waż będzie szczęśliwym początkiem. Chodź, ustawimy słój w kancelarii na honorowym miejscu. A wiesz, że jest bardzo wiele legend właśnie o tym wężu? Jest ogromnie jadowity. Żyje w Afryce. Pochodzi z tak zwanej rodziny Elapidae, a nazywa się mamba. Jest to mały okaz. Jego brat, czarna mamba, dochodzi do trzech i pół metra długości. To postrach mieszkańców dżungli, gdyż nawet nie zaczepiony atakuje człowieka.

Wyjęła z torebki klucz, otworzyła drzwi i ruszyła pierwsza długim, czysto wyszrowanym korytarzem. Kiedy ustawiła na niskiej etażerze słój, zagadnęła, czy te zeszyty również przyniósł dla szkoły, ale spytała takim tonem, iż nie śmiał zaprzeczyć. Obejrzała jeden.

— Ależ, słuchaj! — wykrzyknęła. — To będą wspaniałe dzienniki szkolne, a tak się dziś zastanawialiśmy, skąd je zdobyć.

Wzięła je z jego rąk.

— Twój brat — rzekła, jakby zgadując myśli Tadeka — dostanie zeszyty w szkole, a ode mnie w prezencie „Elementarz” i „Arytmetykę”.

Tadek popatrzył na nią z wdzięcznością.

— Myślę, że go przyprowadzisz jutro. W pierwszym dniu będzie mu różniej z tobą. A gdybyś i ty zechciał chodzić... To będzie najkrótszy rok szkolny — od marca do czerwca, jedynie cztery miesiące. Dla klas starszych specjalnie przyśpieszymy materiał. Wielu z was jest bardzo opóźnionych w nauce przez wojnę.

— Gdzie wy mieszkacie? — odezwała się, gdy znów wyszli na ulicę.

— W komendzie milicji.

Widząc jej zaciekawiony wzrok, dodał:

— Dopiero od dziś. Przedtem mieszkaliśmy u doktora, ale on nie żyje. W poniedziałek zginął..

— Wiem. Słyszałam — przerwała.

Ulżyło mu, że nie musiał opowiadać wszystkiego po kolei. Wolał nie mówić, gdyż to jedynie na nowo odradzało żal.

— Mam dużo ciekawych książek. Zajdź kiedyś do mnie. Mieszkałam w Kamieniu, odległym o trzydzieści kilometrów stąd, ale tam nie ma już szkoły, zniszczona została doszczętnie, przyjechałam więc tu, aby uczyć. Całe życie tylko uczyłam — zaśmiała się. — Mieszkam w takim żółtym domu niedaleko łaźni miejskiej, na piętrze.

Chwilę jeszcze patrzył za nią, jak odchodzi. Stąpała bez pośpiechu, lecz w tym jej chodzie czuło się wielką pogodę, jakby się cieszyła, że idzie, że patrzy na niebo, miasto i ziemię.

„Dziwna” — Tadek wzruszył ramionami i zamyślony wracał do swojego nowego domu. Co będzie robił jutro, pojutrze? Nie miał ochoty iść do szkoły, siedzieć w czterech ścianach jak w więzieniu. Za nic w świecie. Woli jechać na Zachód. Jeszcze dziś po-

rozmawia ze znajomym milicjantem. Może to prawda, że na Zachodzie przyjmują takich, jak on, do milicji? Przyjrzał się swoim rękom. Ogarnęły go wątpliwości. Dłonie szczupłe, o cienkich palcach, nie przypominały silnych męskich rąk. Cały zresztą był chudy jak strach na wróble. Nawet taki Jasio Mróz, chociaż rówieśnik, wydawał się starszy i silniejszy.

Marcowe słońce zachodziło krwawo, kiedy dotarł wreszcie na miejsce. Długo musiał tłumaczyć i prosić nieznanego milicjanta, aby go wpuścił na tylny dziedziniec budynku. Wartownik nie chciał w ogóle słuchać wyjaśnień. Powtarzał szorstkim, nieprzyjaznym tonem:

— Wynoś się! Wynoś!

Zjawienie się Jędrka z tym jego kundlem na smyczy przekonało milicjanta, że Tadek mówi prawdę. Poszedł jednak za nimi, obejrzał izdebkę podejrzliwie i zdziwiony spytał:

— Od kiedy tu mieszkacie?

— Mówiłem, że od dziś — odparł Tadek, odruchowo czując do niego niechęć.

— Ja bym was tu nie wpuścił. To przecież nie przytułek, tylko komenda.

Wycofał się na korytarz.

— A pies po co? — rzekł ostro.

— To mój — stwierdził Jędrak.

— Przepędź go.

— Komendant pozwolił — powiedział Tadek oburzony.

— Nie kłam! Komendanta od tygodnia nie ma.

— To jego zastępca — nie ustępował.

Wartownik ruszył ku drzwiom wiodącym na dwór.

— Macie siedzieć cicho! I nie wolno kręcić się po terenie, rozumiano?

Chwilę jakby czekał na odpowiedź, potem trzasnął drzwiami i wyszedł. Chłopcy patrzyli na siebie, zaskoczeni tym, co zaszło.

— Musisz pójść do tego znajomego i opowiedzieć wszystko — wybuchnął Jędrak.

— Dostałeś suchy prowiant? — Tadek rozejrzał się po izbie.

— Nie i jestem bardzo głodny.

Ta pani, co pisze na maszynie, miała zdobyć podpis na naszej karcie prowiantowej i obiecała zaprowadzić ciebie do magazynu.

— Ona już dawno poszła do domu. Widziałem, jak wychodziła z teczką.

Chodzili po korytarzu. Mieli nadzieję, że spotkają znajomego milicjanta, upomną się o żywność, a przy okazji poskarżą na wartownika. Pokoje, do których pukali, były zamknięte. Dopiero przy końcu korytarza usłyszeli gwar dochodzący zza wprostokłonnych drzwi. Tadek zapukał, a nie słysząc zaproszenia, nacisnął lekko klamkę.

W pierwszej chwili nie mógł nic dojrzeć poprzez tytoniowy dym. Dopiero kiedy

oczy oswoiły się nieco, zobaczył duży kwadratowy stół, a wokół niego gromadę milicjantów i żołnierzy korpusu bezpieczeństwa. Znajomy milicjant akurat przemawiał stojąc bokiem do drzwi. Tadek nie wiedział, co robić — wejść głębiej, stać czy wycofać się. Wreszcie milicjant zauważył go. Popatrzył z niezadowoleniem.

— Co chciałeś? — spytał.

— Nie dostaliśmy nic do jedzenia! — zawołał Jędrzek przepychając się naprzód.

Kilku mężczyzn wybuchnęło śmiechem. Milicjant skrzywił się. Podeszedł do szafki stojącej w rogu pokoju, czegoś w niej szukał, a potem podał im pół bochenka chleba i dużą mięsną konserwę.

— Na przyszłość nie wchodźcie tutaj. Trzeba wcześniej myśleć o jedzeniu.

Tadek czuł, że policzki płoną mu ze wstydu. Chciał powiedzieć, że dla siebie by nie przyszedł, ale zagryzł tylko usta i wycofał się.

Jędrzek, uradowany, puścił się przez korytarz. W pokoju od razu zabrał się do otwierania puszek. Tadek siadł na łóżku osowiały. Jędrzek kroił chleb tępawym szczyrzykiem i łyżką nakładał mięso.

— Trzymaj — podał Tadekowi.

— Jedz sam. Widzę, jak ci się oczy świecą i ślina cieknie po brodzie.

— Weź, a ja sobie zaraz przygotowuję.

Gryzł chleb, jednak bez apetytu. Jakaś myśl nie dawała mu spokoju.

— Musimy znaleźć sobie inne mieszkanie — powiedział na koniec.

Jędrzek spojrzał na niego z wdzięcznością i raptem — nie wiadomo dlaczego — wybuchnął płaczem.

— Co ci się stało? — spytał Tadek.

— Nie chciałem ci mówić — powiedział łkając. — Kiedy poszedłeś, spotkała mnie na korytarzu ta urzędniczka. Powiedziała, że już wysłała pismo w naszej sprawie do sierocińca. Mają tam nas za parę dni zawieźć.

Tadek poderwał się jak porażony.

— Nie przesłyszałeś się?

— Zapamiętałem dobrze każde słowo.

— Szybko jedz i zaraz się pakujemy. Nie zostanę tu nawet godziny.

Widmo sierocińca już dawno wisiało nad nimi. Doktor tylko raz spytał, czy woleliby tam mieszkać razem z innymi chłopcami, ale Tadek kategorycznie zaprotestował. Sama myśl o tym przejmowała go strachem. W czasie wojny na sąsiedniej ulicy znajdował się sierociniec. Przechodził tamtędy kilka razy dziennie. Teren wokół budynku ogrodzony był siatką. Dzieciom nie wolno było wyjść poza furtkę. Blade, smutne, ubrane na szaro, wiecznie stały przy siatce, spoglądały na przechodniów idących po chodniku, nie uśmiechały się, milczały i patrzyły. I to zarówno te małe, jak i duże. Tadek zagadnął kiedyś jednego z tych chłopaków, lecz ten popatrzył i nic nie odpowiedział, jakby nie zro-

zumiał pytania. Niekiedy wychodziły na ulicę parami, prowadzone przez chudą kobietę w średnim wieku, z twarzą drapieżnego ptaka. Szczególnie jej oczy, przesłonięte wielkimi okularami o wypukłych szklach, przypominały ślepią przerażonej sowy.

Wiadomość podana przez Jędrka przejęła go trwogą.

Rzeczy spakowali szybko. Nie mieli tego zbyt wiele. Zastanawiali się, jak wyjść niepostrzeżenie, aby nie zauważył ich wartownik. Na tyłach budynku, za rozległym dziedzińcem, na którym stały samochody, ciągnął się ogród warzywny zasadzony owocowymi drzewami.

Znali ten ogród. Tu rosły świetne jabłka i gruszki. Tadek nieraz zakradał się wieczorem z kolegami i pustoszyli sad, pieczołowicie pielęgnowany przez Niemców zajmujących przez całą okupację obecny budynek komendy miasta.

Właśnie tam wymknęli się cicho, wybrawszy moment, kiedy wartownik — zaglądający od czasu do czasu na dziedziniec — zniknął po przeciwnej stronie gmachu. Ziemia, nasiąknięta wodą w czasie śnieżnych roztopów, ugięła się pod butami.

Już minęli na wpół zniszczoną cieplarnię, gdy naraz zamarli ze strachu. O krok od nich, sadząc olbrzymimi susami, przebiegł wysoki mężczyzna ubrany jedynie w spodnie i koszulę. Pędził od komendy i w pierwszej chwili myśleli, że to ich ściga. Raptem na dziedzińcu gruchnęła seria z pistoletu maszynowego. W mgnieniu oka zakotłowało się. Rozległy się krzyki, strzały, nawoływania.

Stali za północną ścianą cieplarni. Dwaj milicjanci o mało nie stratowali ich, wypadłszy nagle z pistoletami spoza narożnika. Jednym z nich był znajomy chłopców.

— Widzieliście zbiega? — rzucił szybko.

Tadek odruchowo popatrzył w kierunku, gdzie zniknął człowiek w koszuli. To milicjantom wystarczyło. Jeden z nich puścił serię ponad drzewami. Już pochyleni pędzili, tratując krzaki.

— Tędy — Tadek wskazał Jędrkowi parkan.

Pamiętał, że jest tu gdzieś dziura w płocie. Zastanawiał się tylko, czy nie zabito jej deskami. Znalazł i odetchnął głęboko. Deska wisiała jedynie na górnym gwoździu. Wystarczyło przesunąć ją na bok. Już znajdowali się na sąsiedniej posesji. Nowy parkan. Potem na czworakach, pod kolczastymi drutami, wreszcie niewielka łączka i ogród Giętka.

Leżeli za grubym pniem drzewa, przywarci do siebie i z niepokojem słuchali narastającej strzelaniny. Przybliżała się, to znów oddalała. Nietrudno było domyślić się, że ktoś uciekł z posterunku i stąd obława i strzały. Trwało tak około godziny. Zdawało się, że całe miasto ocknęło się ze snu, ożyło. Po ulicy przemykały auta to znów motocykle, a nad posterunkiem rozbłysły dwa reflektory.

Przemarzli na wskroś. Noc przejmowała wilgotnym, dokuczliwym zimnem. Zbliżywszy się do drzwi wiodących w głąb ziemianki Giętka, Tadek z rozpaczą zobaczył

wielką jak końska podkowa kłódkę. Gietek wspominał o swoim wyjeździe na wieś, lecz wówczas nie zwrócił na jego słowa uwagi.

W mieście uspokoiło się zupełnie. Na nie oświetlonych ulicach panowały głębokie ciemności.

— Zapomniałem o latarce — żalił się Jędrek. — Zostawiłem ją w przedpokoju koło licznika.

Chwilę milczeli.

— Chodź ze mną — poprosił Jędrek. — Muszą nam oddać. Tam była nowa bateria i żarówka. Dał mi doktor.

— Dobrze — zgodził się Tadek.

Ukryli swoje tobołki w stercie desek piętrzących się na podwórzu i trzymając się za ręce, podążyli w stronę domu doktora.

Rozdział 3

Furtka zamknięta była na kłódkę.

— Nikogo tam nie ma — powiedział Tadek.

— To jeszcze lepiej — szepnął Jędrrek i pierwszy zaczął się drapać na drugą stronę. Ledwo wspiął się do połowy parkanu, gdy wtem zakotłowało się wokół nich.

— To pies! — zawołał Jędrrek ucieszony. — Odszukał nas.

Kundel skakał, szalał i piszczał z radości.

— Podsadź go. Podaj — powiedział Jędrrek znalazłszy się w ogrodzie.

Do domu dostali się bez trudu. Tadek wspiął się po rynnie na piętro, silnym szarpnięciem oderwał dyktę zastępującą szybę i już był w pokoju. Pamiętał dobrze, gdzie znajdują się zapasowe klucze. Sam je tam ukrył.

Mieszkanie wydało im się ciepłe i przytulne, chociaż na stole leżało pełno brudnych naczyń, wszędzie poniewierały się papiery i szmaty, a z kredensu znikły wszystkie zapasy żywności. Została tylko półkilogramowa kostka grochu prasowanego razem z mięsem. Zwykle dorzucali do zupy trochę koncentratu, lecz teraz Tadek, rozpaliwszy pod kuchnią ogień, wkruszył do garnka z wodą od razu pół kostki. Znaleźli też parę sucharów. Gryźli je, myśląc z gniewem o ludziach, którzy się tu panoszyli. Za życia doktora w kredensie zawsze leżał chleb, smalec, cukier i inne dobre rzeczy.

Od kuchennego pieca promieniowało łagodne ciepło. Przez uchylone drzwiczki padał czerwony blask i zabarwiał podłogę, meble i ściany.

Jędrrek przyciągnął taboret i siadł naprzeciw paleniska.

— Jak dobrze — powiedział. — Kiedyś tak było w naszym domu. Pamiętasz?

Pies, złakniony ciepła, wyciągnął się u jego nóg. Suche sosnowe polana paliły się z trzaskiem. Niekiedy iskra wyskakiwała na zewnątrz. W powietrzu czuło się zapach zwęglonej sierści, lecz kundel nie reagował. Przymrużył ślepią i od czasu do czasu uderzał końcem ogona o buty Jędrka. W garnku zaczynała bulgotać grochowa zupa. Obaj mimo woli przeżykali ślinę.

Tęsknili za wieczorami spędzonymi w towarzystwie doktora. Zawsze razem z nim przygotowywali kolację. Nie pozwalał im siedzieć beczynn timer. Kazał nakrywać do stołu,

podkładać drewno do ognia, razem sprząтали, zmywali, opowiadając wrażenia z minionego dnia.

— Dlaczego oni zostawili ten dom? — spytał Jędrzek.

— Po co im pusty budynek. Na pewno mają swoje mieszkania.

Tadek ustawił talerze, które zmywał jeszcze poprzedniego dnia, i rozlał do nich zupę.

— Po kolacji obejrzymy piwnicę. Kiedyś doktor mówił, że tam może się jeszcze coś znaleźć do jedzenia.

— Całe szczęście, że mam latarkę — odezwał się Jędrzek ziewając. — I dobrze, że tu jesteśmy, nie podobało mi się tam w milicji.

— Ja im się nie dziwię — podjął Tadek. — Za dużo mieli z nami kłopotu.

Skończył zupę i odłożył łyżkę, kiedy niespodziewanie usłyszał za sobą kaszlnięcie. Poderwał się błyskawicznie. W progu stał mężczyzna wysoki, barczysty, ubrany tylko w spodnie i jasną koszulę. Tadek poznał go od razu. To był ten sam człowiek, którego gonili milicjanci. Pies podniósł łeb, warknął, lecz zaraz uspokoił się. Przyzwyczajony był, że do doktora przychodzili najrozmaitsi ludzie i nie wolno było na nich szczekać.

— Sami jesteście? — spytał mężczyzna.

Zbyt długo zastanawiali się, co odpowiedzieć.

— Nie bójcie się. Czego tak na mnie patrzycie? Wszedłem, bo mam sprawę do doktora.

— Doktor nie żyje! — wyrwał się Jędrzek.

Tadek spiorunował go wzrokiem.

— Kiedy? Jak to się stało? — mężczyzna był szczerze zdumiony.

Nie odpowiadali dłuższą chwilę.

— Macie klucze? — zagadnął podchodząc do nich bliżej. — Trzeba zamknąć drzwi. Skoro jesteście sami, powinniście się dobrze zabezpieczyć. Po miasteczku kręci się pełno podejrzanych typów. Węszą po pustych domach i kradną, co tylko się da.

Tadek wstał niezdecydowany. Przybysz ich nie poznał albo w ogóle nie zauważył tam, przy ciepłarni.

— Zamknij wreszcie te drzwi — powtórzył nieznajomy.

Tadek wolno przeszedł do przedpokoju. „A gdyby teraz wypaść na ulicę...” Zatrzymał się może minutę, dwie przy drzwiach wyjściowych.

— Zamknąłeś? — zabrzmiał głos tuż za nim.

Szybko przekręcił klucz. Całe szczęście, że nie wybiegł. Co by się wówczas stało z Jędrkiem?

— Jestem bardzo głodny. Macie coś do jedzenia?

— Nie — rzekł sucho Tadek.

Mężczyzna przyjrzał mu się bacznie.

— Tadek, zapomniałeś — wtrącił Jędrzek — przecież jeszcze...
Speszył się widząc wściekły wzrok brata.
— No, dokończ — powiedział mężczyzna.
— Jest pół kostki mielonego grochu, ale nie będę miał jutro nic dla niego — wyjaśnił Tadek. — Ale tu, w garnku, zostało jeszcze trochę zupy.
Wziął rozgrzany garnek i postawił na stole.
Patrzyli z podziwem, jak nieznajomy przełyka gorącą potrawę z nieprawdopodobną szybkością.
— Od tygodnia nie miałem w ustach nic ciepłego — oznajmił wyskrobawszy naczynie do ostatniego źdźbła.
Schylił się, podniósł z ziemi garść drew i dorzucił do ognia.
— Dacie mi nocleg u siebie?
Przyglądał się pilnie Tadekowi.
— To nie jest nasz dom.
— Wiem doskonale, ale skoro tu mieszkacie...
— Ma tu jeszcze przyjść dzisiaj rodzina doktora — brnął Tadek dalej.
— Już późno. Na pewno nie przyjdą. A zresztą, mogą przychodzić.
Nie pytając się, wziął latarkę leżącą na stole obok Jędrka, oświetlił wszystkie kąty kuchni i udał się w głąb domu. Słysząc było jego ciężkie stąpanie na schodach, a potem na piętrze.
— Kto to jest? — zagadnął Jędrzek.
— Nie wiem, ale lepiej się nim nie interesować.
— On ci się nie podoba.
— A tobie?
— Mnie też nie — przyznał Jędrzek.
— Gdybyś w nocy zauważył, że wychodzę, leż cicho i nie odzywaj się, o nic nie pytaj. I trzymaj język za zębami. Nie tak jak z tym grochem.
— Przecież on od tygodnia nie jadł nic gorącego.
— Głupi jesteś. Nic nie wiesz — powiedział Tadek.
Jędrzek zaintrygowany chciał o coś spytać, ale w korytarzu rozległy się stąpania.
— Ja będę spał na górze — oznajmił mężczyzna zaraz od progu. — A gdzie są wasze pośłania?
— Tam za ścianą — rzekł Tadek.
— W takim razie kładźcie się już, nie ma co siedzieć.
— Nam dobrze tu, przy ogniu — szepnął Jędrzek.
— Daj mi klucze od drzwi — zwrócił się mężczyzna do Tadka.
— Po co panu?
— Może będę chciał wcześniej wyjść.

- Ja się obudzę i otworzę.
- Daj. Po co masz się zrywać za wcześnie.
- W głosie brzmiała ukryta groźba.
- Klucze są w zamku — powiedział.
- No, w takim razie dobrej nocy.

Lekko uśmiechnął się, ale nie był to uśmiech wesoły, raczej jakiś grymas. Słuchali krzątaczki na górze. Pobrzękiwało wiadro i miednica. Mężczyzna musiał myć się dokładnie, bo hałasy trwały dłuższy czas. Potem słyszeli, jak zaskrzypiało drewniane łóżko, w którym sypiał doktor.

— Położył się już — szepnął Jędrak. A zaraz, prawie ze łzami, wybuchnął: — On mi zabrał latarkę i na pewno już nie odda. Znasz go? Nigdy u doktora nie bywał.

— Przestań! — syknął Tadek.

Siedzieli w mroku i ciszy, nie odzywając się do siebie. W palenisku pociemniało. W kuchni zrobiło się chłodno:

— Idziemy spać — podniósł się Tadek.

Po omacku trafili do pokoju, gdzie znajdowały się ich pościela. Odnaleźli je łatwo. Krewni doktora nie zdążyli tu jeszcze nic zmienić. Tylko pod nogami leżało pełno papierów i rupiec, najwidoczniej wyrzuconych z szuflad i szaf. Jędrak rozbierał się i w ciemności próbował złożyć ubranie w kostkę. Mówił głośno, co robi, jakby nie chciał stracić kontaktu z Tadekiem.

— Psa wypędź na korytarz — polecił Tadek — bo znów pcheł naniesie.

Jędrak, już w nocnej koszuli, wyprowadził kundla za drzwi.

— Będzie skomlał i piszczał — wstawił się za nim nieśmiało, wróciwszy do pokoju. Lecz Tadek udął, że nie słyszy.

— Opowiedz mi coś — poprosił Jędrak.

— Dziś nie mam chęci. Muszę pomyśleć, co będziemy robić dalej.

— Ja jutro idę do szkoły.

— Tak. Dlatego śpij. Musimy wstać wcześniej. Rano wyszoruję cię porządnie i odczyszczę spodnie.

— Bardzo jesteś dobry, Tadek.

Słowa Jędraka zabrzmiały niewyraźnie i w parę sekund potem już spał.

Tadek leżał na pościeli z rękami pod głową. W willi i za oknami panowała absolutna cisza. Zastanawiał się, co robić. Obecność tego człowieka na górze niepokoiła go. „Poczekam jakiś czas, niech tamten zaśnie mocno, a wtedy wymknę się na dwór. Ale kim on jest?”

Coś drapnęło w drzwi. Pomyślał, że to pies, lecz nagle od progu strzelił snop elektrycznego światła. Blask oświetlił łóżko, na którym leżał Tadek.

— Dlaczego jesteś ubrany?

Tadek siadł przestraszony.

— Czy ty mnie już gdzieś widziałeś?

I tym razem za długo wahał się z odpowiedzią.

— No? — głos zabrzmiał groźnie.

— Tak. Widziałem, jak pan uciekał z posterunku.

Już żałował swoich słów.

— Poznałem cię i zapamiętałem, chociaż było ciemno. Skoro się przyznałeś, to chyba nie masz wobec mnie złych zamiarów.

I raptem, nim się Tadek spostrzegł, został błyskawicznie skrępowany długim mocnym sznurem.

— Myślę, że nie będziesz krzyczał, bo obudzisz brata. Na wszelki wypadek zwiążemy i jego.

— Niech pan tego nie robi — poprosił. — Ja go nie obudzę i będę spał cicho.

— Nie kłamiesz?

— Jeśli pan go wyrwie ze snu, narobi wrzasku. On tak zawsze.

— No, dobrze. Ale pamiętaj, czasem żart jest niebezpieczny.

Oddalił się bezszelestnie. Tadek nawet nie był pewien, czy odszedł, czy też stanął gdzieś za framugą drzwi i czeka. Po niedługim czasie zaczęły mu drętwieć ręce i nogi, skrępowane zbyt mocno. Poza tym było mu zimno. Wprawdzie kołdra leżała obok, ale nie umiał jej przyciągnąć. Kiedy próbował złapać ją zębami, zsunęła się z łóżka na podłogę. Ręce przywiązane miał wzdłuż ciała, nogi też ściśnięte poniżej i powyżej kolan. Wszelkie wysiłki, aby rozluźnić nieco sznury, jeszcze pogarszały sytuację. Wzynały się głębiej w ciało, powodując dotkliwy ból. Próbował zasnąć, by w ten sposób jak najprędzej minęła noc, ale nadaremnie zaciskał powieki. Narastał w nim coraz większy niepokój.

— Niech pan mnie rozwiąże — powiedział szeptem, a potem głośno.

Lecz w pobliżu było cicho. Kilkakrotnie powtórzył żądanie. Aż w końcu upewnił się, że jednak mężczyzna poszedł na górę. Odwrócił się na bok, chcąc zmienić nieco pozycję. I wtedy usłyszał szept Jędrka:

— Ja nie śpię i wszystko słyszałem.

— Przykryj mnie kołdrą. Bardzo zmarzłem — poprosił Tadek.

Jędrak okrył go troskliwie i położył się przy nim.

— Co on nam zrobi? — spytał cicho.

— Nic, tylko się boi, abyśmy nie poszli na milicję.

— A ty myślisz, że lepiej pójść?

— Nie wiem, kim on jest i po co przyszedł. Jeśli tylko przenocować, to rano na pewno się wymknie.

— Rozwiązać cię?

— Przetnij scyzorykiem. Bardzo ścisnął mi ręce.
Wkrótce ręce miał wolne. Teraz już sam przeciął sznur na nogach.
— Pójdiesz na milicję? — spytał Jędrak.
Tadek rozcierał obolałe miejsca.
— Boję się o ciebie.
— Chodźmy razem — szepnął Jędrak.
Tadek milczał i zastanawiał się.
— Dobrze — zdecydował. — Ubieraj się szybko, a ja tymczasem otworzę okno.
Stąpał delikatnie, a przy każdym skrzygnięciu podłogi zamierał w pół kroku.
Wreszcie trafił na klamkę okienną. Przekręcił pomалу.
— Już jestem — szepnął Jędrak stając obok.
Z dworu wionęła fala zimnego powietrza. Parapet był wysoki. Tadek więc podsadził brata, a potem wspiął się sam.
— Ja zeskoczę i pomogę ci.
Ale Jędrak nie czekał i pierwszy znalazł się na dole. I w tej samej chwili rozległo się gwałtowne ujadanie psa. Wpadł do pokoju, a zobaczywszy, że chłopcy znikli, narobił piekielnego hałasu. Przez chwilę sparaliżowało ich. Wreszcie Tadek złapał Jędrka za ramię i puścił się pędem do furtki. Gnali co sił w nogach. Płot przesadzili w mgnieniu oka. Nie zatrzymywali się, nie nasłuchiwali. Byli pewni, że są ścigani. Jędrak nie nadażał. Tadek ciągnął go za sobą, myśląc z przerażeniem o rosnącym niebezpieczeństwie.
— Nie mogę. Puść — jęczał Jędrak.
Potknął się padł na kolana. Tadek schylił się, wziął go na ręce.
— Trzymaj się mnie mocno — powiedział.
Biegł dalej Ujrzawszy błysk reflektora przed komendą milicji, odetchnął z ulgą.
Postawił znów Jędrka na ziemi. Biegli już trochę wolniej.
— Stać! — krzyknął wartownik, nim zbliżyli się do furtki.
— To my — powiedział Tadek.
— Jacy my? Nie zbliżać się.
Latarka oświetliła ich od stóp do głów.
— Czego chcecie?
— My do zastępcy komendanta. Musimy go koniecznie zobaczyć.
— Przyjdźcie jutro rano. Teraz śpi.
— Ale mamy coś ważnego powiedzieć.
— W takim razie mówcie mnie.
— My wiemy... — zakasłał się Tadek.
— Szybciej. Co wiecie?
— Gdzie jest ten szpieg.
Milicjant złapał go mocno za ramię.

— Chodźcie.

Wbiegli pędem do budynku. Milicjant nagle stanął, jakby zmieniawszy zamiar. Jeszcze raz oświetlił chłopców latarką.

— Ejże, ptaszki! — zdjął pepeszę. — Kto was tu przysłał? No, szybko! — Tracił Tadek lufą.

Obaj chłopcy oparli się plecami o ścianę.

— My sami. Naprawdę! — rzucił Tadek.

— Skąd wiecie o jakimś zbiegu? Kto wam powiedział?

— Widzieliśmy wieczorem, jak uciekał.

Nagle skrzypnęły drzwi.

— Co tu się dzieje?

— To my, proszę pana.

— Melduję, towarzyszu poruczniku, że przynieśli wiadomość o jakimś zbiegu.

— Dlaczego nie zostaliście tu na noc?

— Naprawdę wiemy, gdzie on jest. Śpi na górze w willi doktora. Przyszedł wieczorem. Związał mnie.

— A skąd wiesz, że ktoś taki uciekł?

— Widziałem, jak go goniliście. Był tylko w białej koszuli. Dlatego poznałem go.

— Dobrze. Idźcie do swego pokoju.

Nim powoli przeszli przez długi korytarz, słyszeli, jak z piętra po kamiennych schodach zbiega kilkunastu uzbrojonych milicjantów. Niegłośno padały komendy i jakieś instrukcje.

Siedli na swoich łózkach. Serca biły im wciąż gwałtownie.

Dookoła powoli zaległa cisza.

— Połóż się — powiedział Tadek.

Jędrak zdjął buty i wsunął się pod koce. Tadek też nie rozbierał się, ułożył na sieniaku i okręcił kocem.

— Zostaniemy tu? — spytał po chwili Jędrak.

— Nie. Jutro wrócimy do willi doktora.

— Ja też wolę tam. To blisko naszego domu. Mogę zawsze pójść na swoje podwórko. W lecie będziemy mieli własne czereśnie, śliwki i jabłka. Musimy ich pilnować, żeby ktoś nie zerwał.

— Śpij — powiedział Tadek.

— Chciałbym, żeby mi się przyśnił nasz dom i mamusia.

„Ja też bym chciał” — pomyślał Tadek, ale już się nie odezwał.

Rozdział 4

Kiedy otworzył oczy, przez okienko przenikał dzienny blask. Na korytarzu słychać było stapania ciężkich wojskowych butów i głośne rozmowy. Drgnął i wyskoczył spod koca, gdy do drzwi ktoś energicznie zastukał. Odsunął zasuwkę. W progu ukazał się porucznik. Czarne, gęste włosy miał zwichrzone, a twarz wydawała się bledsza niż zwykle. Zapadnięte oczy podkrążone były fioletowymi plamami.

— Już nie śpisz? Obudziłem cię?

— Nie. Sam się obudziłem.

Milicjant siadł na brzegu łóżka.

— Złapaliśmy go — powiedział. — Zuchy z was. To przestępca, który współpracował z Niemcami. I zdaje się, że ma niejednego Polaka na sumieniu. Grasował w okresie okupacji w tych okolicach.

— On wie, że to my daliśmy znać?

— Nawet się nie domyśla. Zresztą oszukał was, wcale nie spał w willi. Przebrał się w ubranie doktora, umył, ogolił i zwiął. Nasz patrol zatrzymał go na stacji, kiedy już wsiadał do pociągu.

— Gdzie on jest teraz?

— A, to nieważne. Ale twój brat ma sen jak kamień — uśmiechnął się lekko. — Teraz zostaniecie już chyba u nas? — zagadnął stojąc w drzwiach.

— Wolimy wrócić do siebie.

Zastanawiał się, a potem jakby powziął jakąś decyzję.

— Zgoda. Ale możecie przychodzić tu na obiady i będziecie dostawali racje żywnościowe jak wszyscy milicjanci.

Wreszcie ocknął się Jędrrek. Długo ziewał, przeciągał się i nie chciał wyleźć z łóżka. Dopiero kiedy Tadek przypomniał mu o szkole, wyskoczył spod koców jak sprężyna.

Dzień wstał szary i zimny. Z pośepnych chmur, płynących dość leniwie nad miastem, kapaly grube, rzadkie krople, przypominające ciężkie, gradowe ziarno.

Trzymając pod pachą paczkę z jedzeniem, Tadek podążał za Jędrkiem, który prze-mykał się pod drzewami czarnymi, nagimi jeszcze o tej porze. Okazało się jednak, że

w willi doktora są już nowi lokatorzy. Przed furtką stała wojskowa ciężarówka, a koło domu kręciła się gromada radzieckich żołnierzy.

— A wy gdzie? — spytał czerwonoarmista, przymocowujący jakąś tabliczkę do parkanu.

— My tutaj mieszkamy.

Pokręcił przecząco głową.

— Czytać umiesz? — spytał i wskazał tabliczkę.

— Komenda Wojskowa Miasta — przesyłabizował.

Napis wymalowany był czerwoną farbą po polsku i po rosyjsku.

— Tam zostały nasze rzeczy — rzekł Tadek z rozpaczą.

— To szybciej, weźcie — i żołnierz poszedł przodem, tłumacząc coś swoim kolegom.

W domu nastąpiły gruntowne zmiany. Usunięto łóżka i zbędne meble. W pokojach stały jedynie szafy i przywiezione skądś krzesła i stoły.

Chłopcy poszli na górę i tam ze stosu rzeczy wyciągali swoje ubrania. Ponieważ przywalone były sprzętami, mieli z tym niemało pracy. Zawieruszyła się gdzieś najlepsza koszula Jędrka, w której miał iść do szkoły, i teraz rozpacział z tego powodu.

— Wszyscy pójdą ładnie ubrani, a ja tak jak dziad — skarżył się przez łyzy.

— Przestań! — nie wytrzymał Tadek.

— Dobrze ci mówić, a ze mnie będą się śmiać.

— Nic ci nie poradzę. Musisz się do tego przyzwyczaić. Teraz ciągle będziemy się poniewierać bez dachu nad głową. Chyba że zgodzisz się pójść do sierocińca.

Jędrak siadł i rozplakał się bezradnie.

— Chłopaki mówili — chlipał — że w sierocińcu biją, nie pozwalają się bawić, zamykają w piwnicy i głodzą.

Tadek nic nie odpowiedział, bo właśnie wszedł znów żołnierz, który ich tu przyprowadził.

— Znaleźliście swoje rzeczy?

— A gdzie mamy mieszkać? — spytał Tadek.

— Rodziców nie macie?

— Nie.

— W takim razie idźcie do domu dziecka. Na pewno jest w mieście.

Nie wdawali się w dalszą rozmowę. Z ciężkimi sercami opuścili willę i podwórze. Ledwo wyszli za furtkę, Tadek bez wahania ruszył w kierunku pogorzelniska. W piwnicy ukryli swoje tobołki, zjedli zimne śniadanie i podążyli do szkoły. Nie mieli ochoty rozmawiać. Całą drogę milczeli. Przedtem Jędrak cieszył się na samą myśl o kolegach i lekcjach, teraz włókł się noga za nogą, wyraźnie przygnębiony.

Boisko było zatłoczone. Gromady młodzieży krążyły po całym terenie. Kilkunastu chłopaków, wrzeszcząc co tchu w piersiach, grało w piłkę nożną dużą blaszaną puszką od konserw. Widać było, że czują się tu doskonale i nie przejmują niczym.

Początkowo Tadek miał zamiar zostawić Jędrka, by radził sobie sam, lecz kiedy spojrział teraz na niego i na ten wesoły, ruchliwy tłum, postanowił nie opuszczać go.

Jędrak był przestraszony i wyglądał żałośnie. Śmiesznie sterczały jego wielkie uszy, jakoś zdumiewająco białe. W pogniecionych, podartych spodniach, brudnej, za dużej bluzie, uszytej jeszcze przez matkę z szarego wojskowego koca, prezentował się gorzej niż inni. Przynajmniej tak się Tadekowi wydawało.

W pewnym momencie Tadek zauważył znajomą postać kobiecą. Przyjrzał się jej. Stała w otoczeniu gromady chłopców i dziewczyn, tuż przy drzwiach do budynku szkolnego. Dzieci, skupione przy niej, odróżniały się od reszty — były mniej ruchliwe, wszystkie ubrane na ciemno. Tak, teraz przypominał sobie parkan siatkowy, a za nim dziesiątki twarzy, które patrzyły nieruchomymi oczami na przechodniów idących ulicą.

Nagle ożywił się. Zaczął opowiadać Jędrkowi o tym, jak znalazł wczoraj węża zakonserwowanego w słoju i jak zaniósł go do szkoły. Mówiąc to, jednocześnie przysięgał sobie, że nigdy nie odda Jędrka do sierocińca i sam tam nie pójdzie. Nie chce być taki, jak tamte dzieci.

— Chodź, pogramy z nimi — rzekł do Jędrka.

Dołączyli do gromady chłopaków. Kopali żelazną puszkę, która z hałasem leciała ponad głowami, z jednego końca boiska w drugi.

Na dźwięk przeraźliwego gwizdka nagle wszyscy znieruchomieli i spojrzeli na drzwi szkoły. Na kamiennych schodkach stał wysoki mężczyzna w zielonej wojskowej bluzie i w popielatych cywilnych spodniach. Rozglądał się po twarzach i szeroko uśmiechał.

— Będziecie wchodzić do szkoły klasami.

Wybuchł wrzask. Tadek i Jędrak też krzyczeli, nie wiadomo dlaczego. Umilkli dopiero, kiedy mężczyzna podniósł rękę. Znów rozległ się jego głos w głębokiej ciszy:

— Dziewczynki i chłopcy z pierwszej klasy, proszę do środka.

Zza jego pleców w tej chwili wysunęła się siwowłosa nauczycielka i wyciągnęła ręce do dwóch dziewczynek, które pierwsze wbiegły na schodki.

Jędrak złapał się kurczowo Tadeka.

— Nie pójdę! Nie chcę!

— Czego się boisz?

— Jędrak, chodź, nie wolno się spóźniać na pierwszą lekcję! — zawołała nauczycielka.

— Idź! — Tadek pchnął go lekko.

Wkrótce Jędrak zmieszał się z innymi pierwszoklasistami i zniknął za drzwiami

szkoły. Coraz to inna grupa wchodziła do budynku, aż na koniec boisko opustoszało. Został tylko on jeden, no i nauczyciel, stojący na schodkach. Przez chwilę patrzyli nawzajem na siebie.

Tadek pierwszy odwrócił się i odszedł. Nie, nie miał czasu na naukę. Musiał zająć się znacznie ważniejszymi sprawami.

Rozdział 5

— Zobacz, kogo przyprowadziłem — wołał Jędrrek, patrząc roześmianymi oczami na idącą za nim nauczycielkę.

Tadek zwiesił głowę. „Czego on się tak cieszy? Też nie miał kogo i gdzie przyprowadzić”.

— Odwiedzam wszystkich swoich uczniów.

Rozglądała się wyraźnie zdumiona.

Tadek nie przerywał grabienia. „Ostatecznie niech sobie patrzy”.

— Tu mamy wszystko — ciągnął Jędrrek. — Prawdziwy pałac. Śpimy teraz na łóżku. Tadek zbił je z desek i ze starej przepalonej siatki od naszego tapczanu.

— Po tej drabinie wchodzić? — spytała.

— Ależ to bardzo wygodnie. Niech, pani zobaczy — przekonywał ją, stojąc w piwnicy.

Z wahaniem stanęła na szczeblu i krok po kroku schodziła w dół. Tadek przez chwilę widział jej oczy pełne wyrzutu.

Teraz głosy obojga niosły się spod ziemi, ale nie mógł zrozumieć ani słowa.

Wsparty na grabiach zastanawiał się, po co tu przyszła. Czuł od dawna, że nauczycielka chce ich odwiedzić. Ilekroć spotkała go na ulicy, patrzyła jakoś tak dziwnie, jakby pragnęła coś powiedzieć, i to bardzo ważnego, a jednak nie śmiała. Jędrrek mówił o niej bez przerwy. Brakowało mu słów zachwytu, jaka ona jest wspaniała, ile pięknych rzeczy potrafi zrobić, a ile opowiedzieć. Nieraz pożyczał od niej książki pełne barwnych ilustracji. Parę razy był też u niej w domu. Cerowała mu spodnie, częstowała obiadem, co Jędrrek przyjmował bez zakłopotania.

Kiedys z własnej inicjatywy poszedł do niej pod wieczór. Wtedy akurat wiodło im się gorzej, był głodny, a w piwnicy nie mieli nic. Najadł się u nauczycielki do syta i nie zapomniał również o Tadku. Przyniósł dwie duże kanapki ze smalcem i z plastrami solonej cebuli. Tadek był wściekły na niego. Wyzwał go od żebraków i włóczykiów. Ale Jędrrek nie przejął się tym zbytnio, cały czas jedynie dowodził, że jadł u niej to samo i nauczycielka powtarzała, że cebula jest jak lekarstwo. Czego więc tu się gniewać i krzy-

czeć.

Tadek, nie ustąpił. „Tłumaczył bez końca, aż wymógł na Jędrku obietnicę, że bez pozwolenia nie pójdzie do niej. Nie chciał, by ktokolwiek wtrącał się w ich sprawy. I tak przecież nikogo nie obchodziło, jak żyją i z czego żyją. Mało kto nawet wiedział, że mieszkają w piwnicy. Jedynie paru kolegów zjawiało się tu od czasu do czasu, podziwiając ich gospodarstwo.

Do tej pory jeszcze otrzymywali prowiant z milicji, ale lada dzień mogło to się skończyć. Zastępca komendanta już dwukrotnie mówił Tadekowi, aby zastanowił się nad pójściem do domu dziecka.

— Teraz będą inne sierocińce niż przed wojną. Państwo dba o młodych obywateli, daje na ich utrzymanie i na naukę.

Tadek słuchał, milczał, a następnie przez najbliższe dni unikał milicjanta.

Przechodził od grządki do grządki. Pamiętał, ile troski wkładała w nie matka. W marcu albo na początku kwietnia zawsze wołała go do ogrodu. Razem spulchniali łopatami ziemię, grabili, formowali równe grzędy, a potem przychodziła ta najprzyjemniejsza praca — sianie i sadzenie równo pod sznurek.

Lubił zapach ziemi świeżo skopanej i ten odkrywany nagle świat polnych myszy, kretowisk, białych tłustych pędraków i dżdżownic. Później roboty w ogródku kończyły się i nie dostrzegał, kiedy wszystko rosło. Zauważał dopiero ze zdumieniem wysokie słoneczniki o potężnych łbach, pomidory, które były specjalnością matki — żółte, malinowe i czerwone. Krzaki aż ugięły się pod ich ciężarem. Dojrzewały wszędzie: na dachu drwalki, na parapetach okien — barwne, słodkie, połyskliwe. Ogródek nie był wielki, ale matka potrafiła wyczarować z niego kilkadziesiąt rodzajów warzyw, owoców i kwiatów. Latem zwykle żywili się tym, co rosło na ich grządkach, a i jeszcze starczało na długie miesiące jesienno-zimowe. Sam pomagał marynować śliwki i gruszki, szatkować i kisić kapustę, solić ogórki, przecierać pomidory. W domu pachniało pod koniec lata jarzynami i owocami, a obszerna piwnica zapełniała się długimi rzędami słoików i butelek.

Te czasy nigdy nie wrócą. Będzie mógł tylko je wspominać jako coś bardzo pięknego i drogiego.

Dzisiaj zabrał się do kopania ogródka tylko dla przyjemności. Idąc przez miasto, widział, jak inni mieszkańcy z przejęciem pracują wokół swoich domów, nabrał więc i on ochoty.

Teraz jednak zapał go nieco opuścił. Wciąż myślał o nauczycielce i jej niechętnym spojrzeniu. „Na pewno nie pochwała tego, że nie chodzę do szkoły” — myślał.

Jędrak uczył się z zapałem. Czytał dobrze, pisał starannie. Idąc do szkoły zawsze niósł

coś ciekawego, aby pokazać innym. Tam, w murach szkolnych, wśród gromady chłopców i dziewcząt, był wesoły. Troskę o chleb i inne sprawy związane z domem wielkodusznie zostawiał Tadekowi. Zresztą Tadek, jak do tej pory, dawał sobie radę bez niczyjej pomocy.

Od żołnierzy radzieckich, którzy wieźli na zachód prowiant, dostał worek jęczmiennej kaszy i ona stanowiła podstawę ich wyżywienia. Z milicji często otrzymywali konserwy, ale te Tadek chował na ciężkie czasy. Życie nauczyło go pamiętania o dniu jutrzejszym. O sobie by się tak nie troszczył, ale był jeszcze Jędrrek. Jeśli nie było nic do jedzenia, skarżył się i płakał, jakby to była wina Tadka.

Skończył grabić ostatnią grządkę i siadł na skrzynce, by odpocząć, kiedy ukazała się nauczycielka.

— Bardzo interesujące życie prowadzisz. Prawie jak Robinson Cruzoe — rzekła.

Popatrzył nieufnie.

— A wiesz, kto to był Robinson Cruzoe?

— Na pewno jakiś szwab — wtrącił Jędrrek, podchodząc bliżej.

— Nie — zaśmiała się. — To Anglik. Żył dawno temu. Podróżował pewnego razu po morzu i jego okręt rozbił się na rafie koralowej podczas burzy. Wszyscy utonęli, tylko on cało wylądował na bezludnej wyspie.

— I co? — Jędrrek wziął ją za rękę.

— Przeżył tam tysiąc przygód.

— Sam jeden?

— Początkowo tak, ale potem zjawili się ludożercy.

— Brr... Niech pani opowie...

— Dzisiaj nie mam czasu. Ale mogę ci pożyczyć opis przygód Robinsona.

— Pójdę teraz z panią.

— Nigdzie nie pójdziesz! Już późno — powiedział Tadek gniewnie.

Jędrrek spojrzał na niego zaskoczony.

— Przecież to niedaleko. Znam drogę. Trafę nawet po ciemku.

— Nie pójdziesz! — powtórzył.

— A właśnie, że pójde! — uniósł się.

— Powiedziałem, że nie, to nie! — krzyknął Tadek nie panując nad sobą.

— Jeśli taki jesteś — wybuchnął Jędrrek — to pójde sobie do domu dziecka. Tu nawet pies nie wytrzymał i uciekł od nas. Rozmawiałem z chłopakami z sierocińca. Mają bardzo dobrze. Byłem u nich na podwieczorku. Jeden obiecał uczyć mnie na harmonii i skrzypcach.

Tadek patrzył na niego zdumiony. W pierwszej chwili nie zrozumiał, co Jędrrek

mówi.

— Ach, to byłeś bez mojej wiedzy?

— Nie jesteś moim ojcem! — wrzasnął Jędrrek. — Robię to, na co mam chęć!

Tadek odruchowo spojrział na nauczycielkę.

— Nie patrz tak na mnie. Ja go do niczego nie namawiałam. Jesteś jego starszym bratem i on musi ciebie słuchać.

— We wszystkim? — spytał Jędrrek zaczepnie.

— Tadek chce, aby ci było dobrze.

— To dlaczego nie puszczasz mnie po książkę.

— Jutro przyniosę ci do szkoły, a teraz i tak nie mógłbyś pójść, ponieważ nie idę do domu, tylko do znajomych.

Otuliła się mocniej płaszczem i już odchodząc powiedziała:

— Zawsze po południu siedzę sama w szkole. Mógłbyś mnie, Tadek, odwiedzić. Oprócz twojego węża otrzymałam dwa inne, bardzo ciekawe okazy.

Uśmiechnęła się, pogładziła Jędrka po włosach i znikła.

Tadek z goryczą odrzucił na bok trzymane w ręku grabie i zbiegł po drabinie do piwnicy. Zaszły się w kącie.

Po paru minutach wśliznął się za nim Jędrrek, zbliżył cicho jak kot i dotknął jego ramienia.

— Gniewasz się? Ja z tym psem to tak tylko powiedziałem. Wiem, że to był głupi kundel. Tam też nie chciałem chodzić w tajemnicy przed tobą. Przecież ja cię nigdy nie opuszczę. To stało się jakoś tak przypadkiem. Chłopcy mnie zaprosili a kiedy już tam wstąpiłem, pokazali mi wszystko. Mieszkają po czterech w pokoju. Każdy ma łóżko z materacem i kołdrą ciepłą, po małej szafce i po pół dużej. Bardzo tam u nich fajnie. Naprawdę. Mógłbyś sam zobaczyć.

— A dlaczego stoją ciągle przy tym płocie? — spytał Tadek ochryple.

— Ja nie wiem, o jakim ty staniu mówisz? Oni wcale nie stoją. Odrabiają lekcje albo bawią się na boisku. Zakładają prawdziwą orkiestrę. Mówiłem ci, jeden taki chce mnie uczyć grać. Już nawet trochę mi pokazywał.

— Ile razy tam byłeś?

— Trzy albo cztery, nie pamiętam.

— Nie przyznałeś się!

— Wiedziałem, że nie lubisz domu dziecka i gniewałbyś się na mnie.

— O czym z nią dziś rozmawiałeś?

— Tłumaczyła, jak mam odrabiać lekcje. Patrzyła, gdzie trzymam książki i jak siedzę przy stole.

— Pytała, co jesz?

— Nie. Przecież ona i tak wie, co jem.

— Skąd?

— Bo ja wiem skąd? Ona wszystko wie.

— Wszystkiego to nikt nie wie, nawet ona! — zachnął się Tadek.

— Dlaczego ty jej nie lubisz?

Milczał, a potem podniósł się, oczyścił knot lampy naftowej i zapalił go. W piwnicy od razu poweselało.

Już więcej nie rozmawiali ze sobą. Jędrak zabrał się do czytania, a Tadek rozpałał w piecyku. Czuł jakąś dziwną gorycz w sercu. Od dawna przyzwyczaił się odpowiadać za dom, za Jędrka. Nawet gdy żyła matka, też się o nią troszczył. Ostatnie dwa lata przed śmiercią ciężko chorowała, była bezsilna, robił więc za nią wszystko — gotował i sprzątał, prał, no i zdobywał pieniądze na życie. Tak jakoś wdrożył się w te sprawy, że teraz sama myśl o pójściu Jędrka do domu dziecka napawała go lękiem. Co wtedy zrobi ze sobą, o kogo się będzie starał? W ogóle czym się zajmie? Do tego Jędrak w tajemnicy przed nim odwiedzał sierociniec. Ani jednym słówkiem nie pisał. A może byłoby najlepiej pojechać na Zachód? Tam znaleźć jakąś pracę? Podobno całe miasta są wolne. Można mieszkać, gdzie się chce. Wprawdzie Jasio Mróz już się rozmyślił, wstąpił do harcerstwa i planuje wyjazd na obóz gdzieś nad jeziora, ale w mieście jest sporo innych chłopaków, którzy pojechaliby chętnie.

Jutro porozmawia z nimi.

— Odgrzać ci krupnik?

— Wolałbym, abyś otworzył taką konserwę z mielonym mięsem, dobrze?

Wahał się może przez sekundę, a potem sięgnął do skrzynki i wyjął puszkę.

— Och, jakiś ty dobry! Daj, ja otworzę. Zjemy całą? — dopytywał.

— Jeśli damy radę.

— To wspaniale! Będzie ucztą!

Pokroili chleb, obrali cebulę, wyłożyli konserwą na talerz. Jedli z wilczym apetytem, popijając gorącą jęczmienną polewką.

Tadek nie mógł spać tej nocy. W piwnicy było duszno. Jędrak pod kocami grzał jak piec.

Na próżno zaciskał powieki. Kręcił się z boku na bok, wystawiał na wierzch stopy, siadał na brzegu pośłania. Głowa aż pękała mu od niewesołych myśli.

Uparty, zgłodniały szczur potraçał wciąż pustą blaszankę leżącą w kącie i szarpał zębami jakieś papiery.

Tadek wziął do ręki — przygotowany w tym celu — kij i nagłym ruchem dźgnął w kąt. Rozległ się przeraźliwy pisk i szczur wskoczył pod łóżko. Teraz w piwnicy cisza aż dzwoniła.

Kłapa była zamknięta, a jednak słyszał poprzez nią pomruk lecących wysoko samolotów.

Zmordowany usnął dopiero nad ranem, a jeszcze we śnie zdawało mu się, że siedzi na łóżku z obolałą od natłoku myśli głową i bosymi stopami odpędza falę szczurów, które chcą się wdrzeć na siennik.

Rozdział 6

— Jestem waszym krewnym. Twoja matka była moją cioteczną siostrą.

Tadek przyglądał mu się nadal nieufnie.

Mężczyzna był wysoki, barczysty. Ubrany w półkożuszek, ściśnięty mocno paskiem, wyglądał na siłacza.

— Działka jest ładna. Do zimy postawię na pewno dom. Przyda się i ta cegła — wskazał ręką. — Poza tym frontowa ściana jeszcze całkiem dobra. Musicie się tylko zgodzić. Będzie wam u mnie dobrze.

Siadł na skrzyni, zapalił papierosa, przyglądając się wszystkiemu z zainteresowaniem.

— O, tę jabłonkę, która stoi tam, w rogu ogródka, sam kiedyś sadziłem. Dostałem ją od jednego Niemca, kolonisty, i przywiozłem ją w prezencie. Smakują wam jabłka? Duże, co?

— Owszem, ładne — przyznał Tadek. — Ale dojrzewają dopiero koło Nowego Roku. Na początku grudnia trzeba je zerwać i położyć do siana.

— Ano, widzisz, na Gwiazdkę jak znalazł — zatarł dłonie. — Na razie postawiłbym cokolwiek. Aby mieszkać.

Tadek noskiem buta kopał ziemię. Właściwie co mu zależy? Jeśli ten człowiek chce budować, niech buduje.

— Zgadzasz się? — spytał ponownie mężczyzna.

— Nie zgadzam — powiedział twardo.

— Jak to?

— Zwyczajnie, nie zgadzam się. To jest nasza ziemia, nasz plac i sami kiedyś na pewno będziemy chcieli się budować.

— Ależ co ci to przeszkadza? Dostaniecie wygodny i ciepły pokój za darmo.

— Nam i tak dobrze.

— Ech, gdyby żyła twoja matka...

— Ona też nie zgodziłaby się. Niech pan idzie do sąsiadów. Mają większe place niż my.

— Przecież ja jestem waszym krewniakiem.

— Gdy mamusia była chora, przydaliby się krewni, ale ich nie było. Teraz dajemy sobie radę sami.

— Myślałem o was, ale jak mogłem pomóc? Prawie całą wojnę ukrywałem się w lesie przed żandarmami. A w domu miałem nędzę może gorszą niż wy.

Tadek milczał.

— Magistrat i tak nie pozwoli wam mieszkać w tej norze.

Tadek zabrał się znów do rąbania drzewa. Uderzał z rozmachem siekierą w grubą szczapę, aż sypały się drzazgi. Dookoła pachniało żywicą. Cały przesiąkał tym zapachem.

— Rąbiesz jak drwal.

Tadek i tym razem nie odezwał się.

— Może potrzebne ci są pieniądze?

— Nic nam nie potrzeba — rzekł, układając polana w wysoką studzienkę.

Mężczyzna wstał.

— Namyśl się — powiedział. — Przyjadę w przyszłą sobotę. Tam gdzie mieszkaliśmy do tej pory, spaliło się co do szczętu, a tu będzie łatwiej i o robotę, bo to miasto. Jeden drugiemu powinien pomagać — zakończył trochę nieśmiało.

Tadek uśmiechnął się.

Patrzył chwilę za nim. Widział jego olbrzymią sylwetkę, niknącą poza parkanem, pewną siebie i trochę groźną.

Wziął naręcz drzewa i schodził po drabinie do piwnicy, kiedy usłyszał płacz, a potem zobaczył Jędrka biegnącego z jakąś dziewczyną. Jędrak miał zakrwawione czoło, poplamioną twarz, ubranie i zanosił się od gwałtownego szlochu.

Rzucił drzewo i w dwóch susach przypadł do brata.

— Co się stało? — spytał przestraszony.

— Upadłem na jakąś blachę.

— Trzeba prędzej wody i bandaż — powiedziała dziewczyna.

Przydźwigał szybko dzbanek z wodą i we dwoje przemywali Jędrkowi ranę.

— W jaki sposób upadłeś? — zainteresował się nagle Tadek.

— Zawadziłem nogą i...

Tadek spojrział na dziewczynę. Spuściła oczy.

— I upadłeś na blachę, tak?

— Przecież mówiłem ci już! — wybuchnął Jędrak.

— Tylko zdarta skóra — rzekł. — Ale mogło to skończyć się gorzej.

— Co skończyć? — Jędrak podniósł głos histerycznie.

— Nie wrzeszcz tak, bo mocniej krwawi.

— To po co się mnie czepiasz?

— Znów bawiłeś się w wyborowego strzelca — rzekł Tadek cicho.

— Ja?!

— Nie potrzebujesz kłamać. Całą twarz masz okopconą, a pod skórą pełno ziaren prochu.

Jędrak raptem skapitulował.

— Tadek, już więcej nie będę. Chłopaki mnie namówili. Znaleźliśmy taśmę do pepeszki. Wbijaliśmy naboje w pień lipy.

— Nie macie bandaża? — spytała dziewczyna.

— Nie. Zresztą to już przestaje krwawić i zaraz zaschnie.

— Ja przyniosę — powiedziała i pobiegła co tchu.

— Nie gniewasz się już na mnie?

— Nie podlizuj się teraz! — powiedział Tadek. — Zawsze wygłupiasz się, a potem jesteś taki przymilny, że nic, tylko cię do rany przyłożyć.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo się przestraszyłem. Huknęło mi prosto w oczy. Tamci dwaj, co byli ze mną, zlekli się i uciekli, aby to nie było na nich. Dopiero Halina, wracała ze szkoły...

— Idę rozpałać. Siedź tutaj — oznajmił Tadek, ale Jędrak zszedł za nim po drabinie. Przeżył bardzo ten wypadek, bo leżąc na łóżku, drżał jak w febrze. Tadek nasypał wiórów do paleniska i podpalił.

— Głodny jesteś? — zagadnął Jędrak.

— Nie.

— A jadłeś coś?

— Tak. Chłopaki z domu dziecka przynieśli kanapkę.

— Nie chcę, abyś zebrał. Oni sami nie mają co jeść.

— Oni mają więcej od nas — Jędrak siadł na łóżku.

W tym momencie usłyszeli udany kaszel. Tadek spojrzał i zobaczył dwa grube, jasne warkocze i zaróżowioną twarz Haliny.

— Mam bandaż — rzekła.

— Wejdz — zaprosił Jędrak. — Tylko uważaj, niektóre szczeble słabe. Zstępowała po drabinie powoli, pełna jakiegoś zdumienia.

— To wy tutaj mieszkacie?

— Fajnie? — spytał Jędrak.

Tadek włożył ostatni kawałek drewna i zamknął piec.

— Daj, zabandażuję — zwrócił się do niej.

— Nie dotykaj. Masz brudne ręce — ofuknęła go. — A ty przysuń się tu, bliżej światła — rzekła do Jędraka. — I nie piszcz. Zaleję ci ranę utlenioną wodą. To trochę szczypie.

— Nie chcę! — Jędrak był bliski płaczu.

— Partyzant — powiedziała drwiąco.

To wystarczyło. Jędrrek nawet nie westchnął, kiedy raz i drugi zalewała mu ranę mującym płynem. A potem bandażowała wprawnie czoło.

— Wyglądasz teraz jak Beduin — uśmiechnęła się.

Stała trochę niepewnie pośrodku piwnicy.

— Posiedź u nas — zaprosił Jędrrek.

Zerknęła na Tadka, zawahała się.

— I wy tu mieszkacie. — Tym razem już nie pytała, ale stwierdziła z głębokim niedowierzaniem.

— Co się tak dziwisz? — mruknął Tadek.

— Ja się nawet nie dziwię, tylko moglibyście przecież znaleźć sobie pokój u kogoś.

— Nie chcemy u kogoś. To jest nasze i tu będziemy mieszkać.

— Ależ to jest okropna nora, zimna, wilgotna. Tu można nabawić się nie wiem jakiej choroby.

— Tobie to nie grozi! — rzucił Tadek.

Cofnęła się aż pod drabinę.

— Jutro przyjdę zmienić ci opatrunek — skinęła Jędrkowi głową.

— Po co ty jej tak dokuczałeś? — zagadnął Jędrrek, gdy dziewczyna znikła.

— Następnym razem, jeśli weźmiesz do ręki amunicję, proch lub coś takiego, stłukę cię na kwaśne jabłko. Zapamiętaj to sobie.

— Ja już naprawdę nie wezmę.

— Nie chcę, aby byle smarkula przychodziła i litowała się nad nami. „Znaleźć pokój” — przedrzeźniał. — A może ty się komuś skarżysz?

— Tadek, co ci się stało? Przecież ja bym stąd nigdzie nie poszedł. A zresztą, kiedyś jak dorosnę, odbudujemy nasz dom.

— Właśnie przed twoim przyjściem był nasz wujek. Też chce tu budować.

— Jaki wujek?

— Nigdy go przedtem nie widziałem — odparł Tadek.

Jędrrek zasypał go pytaniami, ale on odpowiadał niechętnie. Od piecyka płynęło przyjemne ciepło. Uchylił drzwiczki i bawił się zapalonymi drzazgami. Lubił ogień. Chętnie patrzył na płomienie.

Ile to razy, kiedyś w domu, w zimie, siedzieli we trójkę z matką przy otwartym palenisku, grzali się i słuchali, jak opowiadała. W przerwach huczało, pękały głownie, sypały się iskry. Okna były zamalowane przez mróz, a na dworze hulała śnieżycyca. Wtedy szczególnie pokochał ogień. On teraz przypominał mu tamte godziny.

Zupę jedli z jednego garnka. W ten sposób unikali zbędnego mycia naczyń. Jędrrek zwykle jadł z apetytem. Dziś siedział osowiały i leniwie przebierał łyżką.

— Co ci jest? — spytał Tadek.

— Nic. Nie jestem głodny.

— Nałykałeś się strachu.
— Nie dlatego.
— Oberwałeś dwóję?
I naraz zobaczył w oczach Jędrka łzy.
— Mów, o co chodzi?
— Będziesz krzyczał na mnie, ale wcale nie znalazłem tych naboii do pepeszy, tylko dostałem je od jednego chłopaka za książkę.
— Za jaką książkę?
— „Robinsona Cruzoe” pożyczonego od nauczycielki.
— Oszalałeś?! — zerwał się Tadek.
— Nie chciałem, ale on mnie namawiał.
— Który to chłopak?
— Kazik Węgrzyk z siódmej klasy, taki wysoki. Mieszka koło benzynowni.
— Przecież to nie była twoja książka.
— Ja mu nawet mówiłem, ale on tylko się śmiał i powiedział: „Powiedz tej starej, że zgubiłeś, ona i tak uwierzy”.
Płakał coraz głośniej. Trudno było rozróżnić słowa.
— Ile dał ci tych pepeszówek?
— Cały dysk.
— Gdzie je masz?
— Część wystrzelałem, a resztę tam — wskazał torbę na książki.
Tadek wziął ją i wytrzasnął zawartość na łóżko, zebrał naboje, wrzucił do kieszeni i już z drabiny nakazał:
— Odrabiaj lekcje i nigdzie nie wychodź.

Zza chmur wyszło kwietniowe słońce. Ulica od razu poweselała.
Tadek biegł, nie zatrzymując się, aż do stacji benzynowej. Dopiero tutaj zwolnił i skręcił do niewysokiego domu ukrytego za drewnianym płotem zbitym z szerokich desek.
Podwórze wydawało się puste, lecz przy dróżce leżały narzędzia ogrodnicze, taczka załadowana kamieniami i żelastwem zebranych w ogródku. Wszedł cicho na ganek i nieoczekiwanie natknął się na przycajonego Węgrzyka.
— Kogo tu szukasz?
— Właśnie ciebie.
— Nie mam czasu.
Tadek przytrzymał go za bluzę.
— Oddaj książkę!

— Odczep się ode mnie. Nie mam żadnej książki.
— Nie odejdę, dopóki nie oddasz.
— O niczym nie wiem.
— Wyłudziłeś ją za amunicję. Przez ciebie Jędrzek został ranny.
— Przeze mnie?
— Mogło mu wybić oczy. Na szczęście poraniło tylko głowę.
— Nic mnie to nie obchodzi. Wynoś się!
— Nie odejdę bez książki.
— A to stój sobie do wiosny — Węgrzyk gwizdnął i chciał wejść do środka.
Tadek nie wypuścił jego bluzy z ręki.
— Odwal się, dobra? — rzucił groźnie Węgrzyk i z rozmachem uderzył Tadeka kościstym nadgarstkiem w skroń. Zamierzył się po raz drugi, ale Tadek uchylił się i pięść musnęła framugę drzwi.
— Nie próbuj mnie wyganiać, bo i tak ci się nie uda.
— Naprawdę nie mam tej książki — Węgrzyk zmiękł nagle. — Było nas tam kilku. Początkowo chciałem kupić, ale później rozmyśliłem się i wziął ją ten rudzielec z Wólki Profeckiej.
— Nie kłam!
— Naprawdę! — parsknął bezczelnym śmiechem Węgrzyk.
I wówczas Tadek błyskawicznie uderzył go raz i drugi. Stało się to tak nieoczekiwanie, że dryblas zbaraniał. Tkwił z opuszczonymi rękami, a z nosa kapała mu krew. Byli teraz od siebie na odległość trzech kroków.
— Ja też potrafię bić — rzekł Tadek, przygotowany do obrony.
Węgrzyk zacisnął pięści, pochylił się, twarz mu zadrgała. Z przymrużonymi oczami rzucił się naprzód. W ostatniej sekundzie Tadek przysiadł i uskoczył za plecy napastnika. Własna ociężałość i niezgrabne ruchy tylko podnieciły Węgrzyka. Dyszał, parsknął śliną, zbliżając się do Tadeka.
— Nie tkniesz mnie. Inaczej popamiętasz na długo — wycedził Tadek wkładając rękę do kieszeni.
Węgrzyk przystanął.
Tadek uśmiechnął się zagadkowo. W kieszeni miał tylko kawał wojskowego suchara. Zauważywszy wahanie Węgrzyka, wyskandował głośno:
— No, dawaj książkę.
— Nie mam jej.
— Liczę do pięciu.
— A potem?
— Potem rozwalę ci chałupę.
— Spróbuj! — warknął.

Tadek zaczął liczyć:

— Raz, dwa...

Powoli wysuwał rękę z kieszeni.

— No co, nie znasz się na żartach — rzekł Węgrzyk. — Wcale nie zamierzałem zabierać tej książki, tylko chciałem przeczytać, bo podobno fajna.

— Trzy, cztery...

— Nie wygłupiaj się. I tak wiem, że nic nie masz w kieszeni, a książka leży tam, na parapecie.

Tadek zbliżył się i wyjął spod stosu papierów „Robinsona Cruzoa”.

— Masz szczęście — powiedział. — W niektórych sprawach nie lubię żartować.

— A co masz w kieszeni? Mydełko? Czy zaczepniaka?

— Nic. Po prostu kawałek sucharka.

— Tak, baju, baju. Powiedz temu, co do lasu drzewo nosi. Znam się na takich sucharkach.

— Jeśli nie wierzysz, to trudno — odwrócił się i wybiegł na dwór.

— Ty, zaczekaj! — krzyknął za nim Węgrzyk.

Ale Tadek pędził już ulicą. Zwolnił dopiero przy domu. Chwilę stał pod wypaloną ścianą, grzejąc się w popołudniowym słońcu. Przypiekało już mocno. Na ceglach plażowały muchy. Przyjemnie było na nie patrzeć. One zwiastowały bliskość wiosny. Zjawiła się też pszczoła czy osa. Z brzękiem okrążyła jego głowę. Dotknął cegieł. Były ciepłe i od tego dotknięcia wszystko w nim poweselało.

Stanął nad otworem do piwnicy.

Jędrak spał na łóżku. Ręce miał wyciągnięte wzdłuż ciała. Wyglądał tak bezradnie, że aż coś ścisnęło Tadek za gardło.

Cicho oddalił się i siadł na skrzynce. Słońce świeciło mu teraz na odsłoniętą szyję i plecy.

Przyglądał się obrazkowi na okładce książki. Zarośnięty mężczyzna, w dziwnym ubranku ze zwierzęcych skór, stał obok na wpół nagiego chłopaka o czekoladowej skórze i coś tłumaczył mu, trzymając w ręku otwartą książkę.

Słońce rozgrzało go. Było mu dobrze tak za osłoną ściany. Myśl co chwilę wędrowała do Jędrka, ale odruchowo oczy biegły po linijkach druku, aż zaczytał się na dobre. Była to właściwie pierwsza książka, którą pochłaniał z takim zainteresowaniem.

Słońce już opuściło się nisko, dookoła leżał cień, kiedy nagle coś ciężkiego i miękkiego spadło mu na kark. Poderwał się przerażony. Zobaczył obok siebie Jędrka, a na ziemi — umykającego co sił w nogach — wystraszonego kota.

— Masz głupie żarty — powiedział Tadek.

— Ja go nie rzuciłem. Stałem za tobą dłuższy czas i czytałem przez ramię. Kot się znudził i skoczył na ciebie.

- Spaleś dotąd?
- Byłem taki zmęczony.
- Teraz odrabiaj lekcje.
- Odebrałeś mu?
- Zrobiłem to ostatni raz. W przyszłości będziesz sam takie rzeczy załatwiał.
- Nie postąpią tak więcej nigdy. Bardzo się wstydzę. A skąd wzięłeś pepeszowki, żeby mu oddać?

Tadek tylko wzruszył ramionami i znów czytał dalej. Wreszcie zmrok zamazał stronicę książki. Nie pomagało przybliżanie jej do oczu. Przez dłuższą chwilę nie mógł uzmysłwić sobie, gdzie się naprawdę, znajduje, tak zżył się, z Robinsonem, z jego wyspa i zagrodą, z której widać było otwarte morze.

Rozdział 7

Bez miał już duże pąki. Tadek zgniół kilka z nich w palcach. Halina, stojąc po przeciwnej stronie krzaka, przyglądała mu się, poprzez zmrużone powieki. Zauważył to i spieszył się.

— Co się tak gapisz?

— Nie wiedziałam, że tak lubisz kwiatki.

— *Ten bez sadziłem z mamą. A sąsiad, który zginął w ostatnich dniach wojny, szczepił go.*

— Mówisz o panu Ziembie?

— Znałaś go?

— Wszyscy go znali. Stołował się u mojej ciotki przez ostatnie dwa lata okupacji. Zawsze grał ze mną w zielone, nawet w zimie. Kiedy przegrałam, musiałam się, nauczyć zwrotki jakiegoś wiersza. A kiedy on przegrał, rysował mi roślinę albo zwierzaka. Znał ich bez liku. Mam te wszystkie jego rysunki. Mogłabym ci kiedyś pokazać.

— Ja też otrzymałem od niego album polskich roślin, ale zginął jak wszystkie nasze książki.

Halina zerwała listek, naśliniła go i przykleiła sobie na nos.

— Muszę się pilnować. Od takiego słońca zawsze wyłażą mi piegi. Cała twarz mogę mieć białą, a nos się czerwieni i schodzi z niego skóra.

— Bo za długi,

— Wiesz, nie wygłupiałbyś się. Na każdym kroku mi dokuczasz.

— Przecież żartowałem.

Złapała się oburącz metalowej poprzeczki, którą Tadek umocował na dwóch słupach jako coś w rodzaju trapezu do gimnastyki. Zgięła nogi w kolanach i kołysała się powoli. Patrzył na jej odchyloną do tyłu głowę i długie warkocze, rozpuszczone na końcach. Dotykała nimi podniesionych w górę stóp.

— Masz ładne włosy — powiedział.

Zaczerwieniła się.

— Ile razy podciągniesz się do góry? — spytała stając na ziemi.

— Nigdy nie liczyłem, ale chyba dużo.

— Ja siedem — powiedziała.

Znów chwyciła drążek, ale tylko pięć razy zdołała się dźwignąć.

— No, a teraz ty.

Popluł w dłonie, podskoczył i zawisnął na trapezie. Podciągał się rytmicznie, dotykając brodą żelaznego pręta.

— Piętnaście, szesnaście... — liczyła. — Dwadzieścia pięć chyba nie dasz rady?

Przy dwudziestym pierwszym razie poczuł, że słabnie. Zacisnął zęby.

— Dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy... — rozciągała słowa, patrząc na niego z napięciem.

Kiedy wykonał dwudzieste piąte ćwiczenie, miał ochotę przerwać. Czuł, że lada sekunda drążek wymknie mu się z dłoni. A jednak jeszcze trzykrotnie zdołał się podnieść i dopiero wówczas rozluźnił palce i zeskoczył.

— Silny jesteś — powiedziała.

— E — machnął ręką. — Dawno się nie gimnastykowałem.

Serce waliło mu, ale tłumiał oddech, by nie zauważyła, jak bardzo się zmęczył.

— Będę co dzień przychodziła tutaj gimnastykować się. Muszę dojść do takiej formy, jak ty. Zawsze byłam słaba. Tylko w biegach żadna dziewczyna z klasy nie może mi dorównać. Mogłabym kiedyś pojechać nawet na olimpiadę. Zobacz, jakie mam długie nogi — powiedziała podnosząc lekko sukienkę.

Naraz spotkali się oczami i oboje odwrócili spojrzenia.

— Muszę gotować zupę — stwierdził Tadek.

— Chcesz, pomogę ci. Umiem robić grzybową z łazankami.

— Mamy tylko kaszę jęczmienną i ziemniaki — powiedział.

— To jeszcze lepiej. Ugotujemy krupnik, tylko najpierw musimy namoczyć kaszę. Moja mama ją poprzedniego dnia moczy.

— Zrobię po swojemu. Gotuję zawsze jednakowo i smakuje nam.

— Dziś ja wam zrobię obiad — patrzyła błagalnie.

— Powinnaś zostać siostrą miłosierdzia. Lubisz opatrywać rany i opiekować się sierotami.

— Zgódź się ten jeden raz, a jak wam nie będzie smakowało...

— To co? — zagadnął.

— To... — zawahała się.

— To cię pocałuję — rzucił szybko i nagle roześmiał się hałaśliwie jak z nieoczekiwanego żartu.

Ona natomiast spoważniała i odruchowo odgarnęła włosy spadające na policzki.

— Sama rozpale, obiorę kartofle. Ty się nic nie wtrącaj. Najlepiej nie wchodź w ogóle do piwnicy.

Stanęła na drabinie i schodziła w dół. Przyglądał jej się tak długo, aż znikła. Dobiegł go stamtąd dźwięk naczyń, a później jej przytłumiony, niski głos. Śpiewała nie znaną mu piosenkę.

Rozejrzał się dookoła. Cały świat jakby pojaśniał. Niebo wydawało się wyjątkowo niebieskie, słońce takie złote, jak nigdy, zieleń traw i bzu soczysta i przyciągająca; przydymione cegły domu były mniej przydymione.

Wciągnął w płuca ciepłe, czyste, prześwietlone słońcem powietrze. Zdawało mu się, że mógłby go wchłonąć całe morze.

Znów zabrał się do układania cegieł. Od pewnego czasu porządkował ruiny. Cierpliwie rozbijał kawałki muru na poszczególne cegły. Oczyszczał je z zaprawy murarskiej i tynku i układał w stosy. Podglądał to u innych. Wszyscy pogorzelnicy ratowali, co się da, od zagłady. Wynajdywał sobie zresztą najrozmaitsze zajęcia, aby nie myśleć tyle o Jędrku. Jego zachowanie w ostatnim czasie bardzo go niepokoiło.

Niekiedy przestawał stukać młotkiem i słuchał. Dookoła było cicho. Tylko na drzewach krzyczały ptaki, a nad bzem z brzękiem krążyły pszczoły i osy. Aż zdumiewał go spokój panujący dokoła. Trochę dziwnie na tym tle brzmiał śpiew dolatujący z piwnicy. Dochodził jakby spoza grubego muru i przypominał skargę.

Z żelaznej rury, sterczącej między dwoma krzakami porzeczek, wydobywały się obłoczki niebieskiego dymu i wplątywały w zieleń ogrodu. Znów wziął cegłę do ręki. Okruchy wapna pryskały spod młotka. Czuł w ustach ceglany smak. Pył drażnił go w oczy.

„A może porozmawiać z Haliną o całej tej sprawie?” — zastanawiał się. Po południu musiał pójść do wychowawczynie Jędrka. Wezwała go przez jednego z kolegów. Nie powiedział o tym Jędrkowi, ale gdy zagadnął: — Co tam dobrego w klasie? — Jędrk tylko zaczerwienił się, machnął ręką i nic nie odrzekł.

Martwiło go, że Jędrk ostatnio chodzi zakatarzony, kaszle, zrobił się jakiś nieruchliwy. Wraca ze szkoły późno, kładzie się na łóżku i wczesnie zasypia. Trzeba go długo namawiać, aby zjadł cokolwiek.

— Skąd bierzesz wodę?

Drgnął usłyszawszy głos Haliny. Odłożył cegłę i młotek, wziął od mej wiadro.

— Przyniosę sama — protestowała.

— Chodźmy razem — uśmiechnął się.

— Wydajesz mi się taki dorosły — powiedziała, gdy znaleźli się na chodniku.

— Dlaczego?

— Masz takie poważne oczy i tak rzadko się uśmiechasz.

— Nieraz rzeczywiście wydaje mi się, że jestem dorosły — przyznał.

Podstawił wiadro pod kran, a ona pompowała. Patrzył to na srebrne bryzgi wody spadające na pociemniałe dno do cynkowego wiadra, to znów spoglądał na nią. Kiedy

się pochylała, jej ciężkie gęste włosy przesypywały się jak żywe, zakrywając twarz. Wstrząsała głową i odgarniała je do tyłu. Wiadro przelewało się, ale nic nie mówił, tylko patrzył to na wodę, to na nią. Naciskała pompę z zapamiętałością. Oczy miała prawie zamknięte. Ta praca tak ją pochłaniała, jakby była niezwykle ważna.

— Dosyc! — zawołał. — Napompowałeś już pełną beczkę!

Wyprostowała się, odrzuciła włosy i otworzyła szeroko oczy. Postawił wiadro na ziemi. Szybko ujęła za drugi brzeg pałaka.

Słońce świeciło im w oczy. Wiadro kołysało się i woda pryskała pod nogi.

— Smutna jest nasza ulica — odezwała się, gdy stanęli przed wejściem.

— A mnie się właśnie podoba. Teraz, gdy zazieleniły się trawniki i drzewa, jest zupełnie jak dawniej. A gdy jeszcze zasypie się te leje po bombach i usunie gruz...

— Ale tak mało ludzi mieszka dookoła. Ja lubię patrzeć, jak spacerują przechodnie, jak jeżdżą furmanki i samochody. Zawsze mieszkałam na ruchliwej ulicy.

— *A nie wrócisz do Warszawy?* — spytał.

— Nie wiem, ale chyba nie. Wszystko zmieniło się w jedno wielkie gruzowisko. Tatuś jeździł dwa razy, myślał, że znajdzie inne mieszkanie, ale nie udało się.

— Widziałem zdjęcia z Warszawy. Same zgliszcza, przewrócone tramwaje, zerwane mosty, zburzone domy i kościoły.

— Tatuś mówi, że nie da się Warszawy odbudować i za sto lat, a jeśli nawet, to już nigdy nie będzie tak piękna i wielka jak przedtem. Mieszkałam na Marszałkowskiej, blisko Saskiego Ogrodu.

W końcu ulicy Tadek dostrzegł naraz małą figurkę. Poznał Jędrka. Szedł wolno, długim patykiem grając na siatce i na sztachetach.

— Wraca dziś wcześniej — powiedziała Halina.

Tadek wniósł wodę do piwnicy. Wychodząc na dwór, spotkał się na drabinie z Haliną, która akurat schodziła, by gotować dalej. Mimo woli przytulili się do siebie. Jej twarz stanęła w ogniu, on też zaczerwienił się.

Wybiegł na ulicę i ruszył na spotkanie Jędrkowi.

— Wcześniej dziś wracasz?

— Zapomniałem zeszytu do polskiego i nie chciałem iść na lekcję — wyjaśnił Jędrak, nie przerywając wystukiwania po sztachetach.

— Daj, poniosę ci worek. Co on taki ciężki?

— Książki tyle ważą.

— Wygląda, jakbyś cegieł do środka napchał.

— Możesz sprawdzić, jeśli mi nie wierzysz.

— Nauczycielka mówiła coś? — zagadnął Tadek.

— O czym?

— A ja wiem, tak się pytam.

- Nie widziałem jej dzisiaj. Mieliśmy lekcje z kimś innym.
- Głodny jesteś chyba, co?
- Trochę.
- Zupa dopiero gotuje się, ale mam świeży chleb i jest jeszcze konserwa.
- Szkoda otwierać. Poczekam na zupę.
- Wiesz, kto dziś gotuje obiad?
- Halina.
- Skąd wiesz?
- Łatwo się domyślić. Całymi dniami siedzi tu, nie wiem po co.
- Przeszkadza ci?
- Wszystko mi jedno, może siedzieć.

Jędrak zajął do piwnicy i nie odezwawszy się do Haliny wszedł do ogródka między drzewa. Halina już teraz nie nuciła. Krzątała się cicho, Tadek zabrał się znów do swoich cegieł. Stukał młotkiem, ale jednocześnie obserwował Jędraka.

Tak nie ulegało wątpliwości, że coś go gnębi. Przykucnął teraz na ziemi blisko przewoźnego komina i bawił się, zatykając wylot kawałkiem blachy. Nie był z natury złośliwy.

Tadka zaskoczyło jego zachowanie, ale nic nie rzekł. Jędrak robił to jakby automatycznie i wyraźnie myślami był gdzie indziej.

- Coś się zepsuło. Okropnie dymi — Halina wyjrzała z piwnicy.

Jędrak uniósł głowę. Spotkał wzrok Tadka. Rzucił blachę i oddalił się od komina.

- Już nie będzie dymiło — zapewnił Tadek.

— W środku aż siwo — mówiła. — Musi się przewietrzyć. Gryzie w oczy i trudno oddychać.

- Posiedź na powietrzu. Samo się dogotuje.

Odsunął się, robiąc jej miejsce obok siebie na skrzynce. Siadając dotknęła go łokciem. Aż się skurczył.

- Rzeczywiście pachniesz dymem — przyznał.

Wierzchem dłoni otarła łzawiące oczy.

- Ta piwnica jest jednak okropna. Musisz znaleźć jakieś inne mieszkanie.

- Mnie jest tu dobrze — mruknął Tadek, patrząc na stos cegieł.

— Bo przyzwyczaiłeś się. Ale ja, ile razy wracam od was do domu i wchodzę do normalnego pokoju, zauważam różnicę.

- Ty też byś chciała, abyśmy poszli do sierocińca.

— Nie! — zaprzeczyła energicznie. — Ale u mojej cioci jest jeszcze mały pokoik na poddaszu. Pytałam się, czy wynajęłaby...

- Nie prosiłem cię o to.

- Wszyscy mówią, że w piwnicy łatwo zachorować na gruźlicę albo reumatyzm.

Cisnął młotek i wstał.

— Chyba wyjadę na Zachód.

Popatrzyła na mego zdumiona.

— Dawno już o tym myślałem. Jędrak ma ochotę iść do domu dziecka, niech idzie. Ja będę szukał szczęścia gdzieś w świecie.

— Szczęścia? — powtórzyła.

— Co cię tak dziwi?

— Rozmawiałam z mamą i ona mi powiedziała, że mógłbyś ty i on — ruchem głowy wskazała Jędrka — być u nas na zawsze. Widzisz, ja miałam brata, starszego ode mnie o rok, ale nie żyje. Moglibyście...

Tadek popatrzył na nią uważnie. Nie unikała jego wzroku. Mokrymi od łez oczami jakby błagała go o coś. Oderwał spojrzenie od jej twarzy. Popatrzył na słońce.

— Muszę już iść do nauczycielki — powiedział cicho. — Daj Jędrkowi obiad.

Skierował się na ulicę.

— Tadek! — zawołała drżącym głosem.

Nie obejrzał się i nie zatrzymał.

— Tadek! — powtórzyła.

Ale już wybiegł na chodnik. Miała chęć krzyknąć jeszcze raz, ale zobaczyła poprzez siatkę parkanu, że jest hen, przy zakręcie.

Rozdział 8

Długo stał na dziedzińcu, wahając się, i gdyby nie ten niepokój o Jędrka, nie wszedłby.

W szkole było pusto. Pamiętał dobrze pokój nauczycielski. Już z dala zobaczył uchylone drzwi. Chciał, aby go nikt nie zauważył. Nie czuł się pewnie w tych murach.

Zatrzymał się blisko framugi. Spoza drzwi słyszał jakby czyjś oddech. Ostrożnie wychylił głowę. Nie było nikogo. Zobaczył szeroko uchylone okno, przy stole równo postawiane krzesła, pod ścianami półki i regały. Przekroczył próg i odetchnął z ulgą.

I wtedy za nim rozległy się kroki. Nauczycielka szła z drugiego końca korytarza.

— Właśnie czekałam na ciebie — powitała go z uśmiechem. — Obejrzyj nasze nowe okazy — wskazała etażerkę.

Poznał swojego węża, a obok zobaczył dwa inne słoje z gadami.

— Nasze zbiory rosną. Mamy wypchane ptaki: sowę i dzięcioła.

Usiadła za stołem i wskazała mu miejsce naprzeciw.

— Przyszedłem dowiedzieć się o Jędrka — powiedział spoglądając w bok, na pustą ścianę. — Nie wiem, co mu się stało. Przestał czytać. Zrobił się jakiś taki...

— Mieszkacie nadal w piwnicy?

— Tak.

W milczeniu przeglądała zeszyt, który wyjęła z szuflady.

— Wiedziałeś, że on od tygodnia nie chodzi do szkoły? — spytała znienacka.

— Wiedziałem... — zająknął się.

— On jest bardzo ambitny — mówiła w zamyśleniu. — Tydzień temu nie rozumiał czegoś z matematyki. Powiedziałam, aby wytłumaczyła mu jedna z koleżanek. Oburzył się i mruknął: „Nie potrzebuję!” Wtedy klasa wybuchnęła śmiechem. Podczas przerwy wziął worek z książkami i uciekł, a przez któregoś z kolegów dał znać, że choruje.

Tadek czuł się zgnębiony.

— Co mam robić? — spytał.

— Dajesz mu zły przykład. Gdybyś chodził do szkoły, od razu byś zauważył jego wagarowanie. Przez pierwszy miesiąc był najpilniejszym i najzdolniejszym uczniem. Czy

wiesz, dlaczego się zmienił? — zagadnęła.

— Nie — przyznał ze smutkiem.

— Po prostu koledzy — wyjaśniła. — Jest ich sześciu. Tamci z czwartej i piątej klasy, on tylko z pierwszej. Założyli jakiś oddział specjalny. Jednego z nich przyprowadziła do szkoły milicja. Chłopak rozplakał się i opowiedział o pozostałych kolegach.

Znów urwała, czekając jakby na jego słowa.

— Odpowiadasz za niego — dorzuciła po chwili.

— Myślałem, aby go oddać do domu dziecka. On sam ma na to ochotę.

— A co cię do tego skłania? — spytała.

— Może tam będzie mu lepiej, bo chociaż niby nie chorował, ale wygląda źle. Tymczasem wszyscy mówią, że tam przychodzi lekarz i że mają dobre wyżywienie.

— Tak, byłam kilka razy w domu dziecka. Wiedzie im się lepiej niż tym nawet, którzy mają rodziców.

— Nie wiem, jak to załatwić.

— Musisz tam pójść i porozmawiać.

— A czy będą chcieli mnie wysłuchać?

— Spróbuj. Jeśli ci się nie uda, przyjdź i powiedz.

— Spróbuję.

Podniósł się, uważając, że rozmowa już skończona. Lecz nauczycielka przytrzymała go za rękę.

— Ty się mnie boisz — powiedziała.

— Wcale nie — zaprzeczył.

— Widzę, po twoich oczach, że czekasz, aby stąd umknąć. Wytłumacz mi, dlaczego?

Położył rękę na oparciu krzesła i ścisnął je tak mocno, aż czuł gromadzący się między palcami pot.

— Widzisz, ja też jestem sama na świecie — zaczęła zupełnie innym głosem, pełnym jakiejś skargi. — I wiem, że ludzi nie należy unikać, bo samotność jest najgorsza. Chciałabym, żebyś niekiedy przyszedł do mnie i opowiedział trochę o waszych sprawach.

Zaskoczyło go na dworze popołudniowe słońce. Wracał do domu okrężną drogą. Nie śpieszył się. Wiał ciepły południowy wiatr, z ogrodów pachniało bzem i rozgrzaną zielenią. Ocalałe klony rzucały wydłużone cienie na jezdnię i chodnik. Już uprzątnięto połamane słupy telegraficzne, znikły druty skłębione, czyhające na przechodniów jak pułapki, miasto odzyskiwało powoli dawny wygląd. Zresztą wiosną świeże liście i kwiaty przesłaniały zniszczenia, odsuwały je niejako na drugi plan. Po uciążliwej, mroźnej ziemi ten wiosenny krajobraz wydawał się aż nieprawdziwy.

Mijając boisko, usłyszał gwar. Podniósł głowę i zobaczył gromadę chłopaków goniących za piłką. Boisko to dawniej należało do kasyna oficerskiego, ale kasyno zostało

zbombardowane, a teren przyłączono do podwórza domu dziecka, które było obok.

Przysunął się do płotu. Byli tu chłopcy częściowo i domu dziecka, częściowo z miasta. Tadek poznał wśród nich Janka Mrożę. Wyglądało tu zupełnie inaczej niż kiedyś, weselej. Okna domu, pootwierane szeroko, zastawione były doniczkowymi kwiatami. Przy schodkach jakiś mały chłopiec bawił się z psem niewiele mniejszym od niego. Przewracali się nawzajem: raz chłopiec psa, to znów pies chłopca. Malec śmiał się piskiawie, a pies piszczał podobnie jak on, tyle że cieniej.

Stał tak długo. Gonitwa za piłką trwała ciągle. Towarzyszyły jej dzikie wrzaski. Najgłośniej krzyczał Jasio Mróz stojący w bramce. W pewnym momencie zauważył Tadeka. Gwizdnął na palcach i przywoływał ręką. Zagapił się i piłka przeleciała mu tuż koło głowy, trafiając w sam środek bramki. Koledzy otoczyli go, wygrażając, niektórzy śmieli się i bili brawa.

Jasio wsunął ręce do kieszeni, wzruszył ramionami i podszedł do parkanu.

— Chodź grać z nami. Będziemy obaj w ataku. Damy w kość tym gnojkom. Okropnie zadzierają nosa.

— Chodzisz do szkoły? — zagadnął Tadek.

— A nie chciałeś jechać ze mną na Zachód, to co mam innego do roboty? Zresztą w budzie jest fajnie. Udało mi się zapisać do siódmej klasy. Taki bałagan. Jedną przeskoczyłem.

— I dajesz sobie radę?

— Z siostrą chodzę. Ona mi pomaga. Odrabia wszystkie zadania. Kierownik któregoś dnia mnie wezwał, bo ktoś polecał z jęczorem. Ostrzegł, że jestem pod obserwacją. Jak będę się źle uczył, przeniosą mnie do szóstej. Nie ma głupich. Moja siostrzyczka ze skóry wyjdzie, a nie da mnie skrzywdzić — zaśmiał się.

— Często tu przychodzisz?

— Teraz, kiedy cieplej, prawie co dzień. Mamy dwa kluby: „Sparta” i „Ateny”. Zapisz się i ty.

— Nie mam nawet butów do piłki.

— Co się martwisz, te też dobre.

— Muszę iść.

— Poczekaj — zatrzymał go Jasio. — Opowiadał ci Jędrzek, że Węgrzyk i Burzyński chcieli go wykąpać w stawie? Węgrzyk to kawał świni, lubi się znęcać. Ma też jakieś pretensje do ciebie. Kiedy uwolniłem Jędrka, chcieli dobrać się do mojej skóry, ale ze mną nie tak łatwo. Całymi dniami siedzą nad stawem, łapią ryby pieką nad ogniskiem. Przepędzają stamtąd wszystkich chłopaków.

— Dziękuję ci — powiedział Tadek.

— Nie ma za co.

— Wiesz — rzekł nagle Tadek — chyba oddam Jędrka tutaj — wskazał dom.

— On i tak jest tu częstym gościem — stwierdził Jasio. — A chłopakom jest tu kapitalnie. Sam chętnie przeniósłbym się do nich.

— Tak mówisz, bo nie musisz.

— Mróz! Stawaj w bramce! — krzyczeli z boiska.

— Do widzenia — rzekł Tadek.

Uścisnęli sobie ręce i Tadek puścił się biegiem wąską uliczką prowadzącą obok starej łaźni, a następnie wzdłuż koszar. Tuż za terenem wojskowym ciągnęły się pola, dalej w prawo był cmentarz i mokradła.

Latem przychodził tu nieraz z kolegami kąpać się w stawie, w zimie natomiast ślizgać się na butach i na łyżwach po gładkim lodzie. W stawie roiło się od karasi. Mieszkańcy wyławiali je stąd gęstymi siatkami.

Staw dookoła zarośnięty był wierzby, olchą i krzewami lubiącymi wilgoć. Z daleka już usłyszał donośny rechot dochodzący z Żabich Łąk. Opowiadano, że stąd przed wojną wywożono żaby aż do Francji.

Schodził wąziutką ścieżką biegnącą po wzniesieniu. Był gotów rozprawić się raz na zawsze z Węgrzykiem. Czuł w sobie narastającą złość. Wiedział, że tu nie chodzi tylko o Jędrka. Musi pokazać, że dadzą sobie radę sami i nikt nie ma prawa czepiać się ich.

Wyminął pierwsze wierzby. Ścieżka była podmokła. Stąpał po gęstej, wysokiej trawie, rozglądając się, ale nie widział nikogo. Zszedł nad samą wodę. Wspiął się na pochylony pień wierzby i patrzył po okolicy.

Po wodzie wesoło pływało stado dzikich kurek. Popołudniowe słońce oświetlało zachodnią część stawu i gęstą dżunglę trzciny lekko kołysanych przez wiatr. Nie było żywego ducha.

Przysiadł na pniu. Zwisające nogi prawie dotykały wody. Zapomniał o Węgrzyku, właściwie zapomniał o wszystkim, tak było tu ładnie i cicho. Kurki płynęły gromadą, rozsypywały się w szereg, tworzyły podkowę jak na komendę. Coraz to zanurzały pod wodę ruchliwe małe główki, szukając pożywienia. Pływały po stronie nasłonecznionej, tuż przy linii sitowia. Powierzchnia wody pokryta była wielkimi okrągłymi liśćmi i jaskrawo żółtymi kwiatami, bardziej przypominało to czarodziejski ogród niż staw.

Zerwał gałązkę wierzby i odruchowo obgryzał liście. Czuł w ustach gorzki, cierpki smak, który coś mu przypominał. Starał się uprzytomnić sobie — co. Cienie wierzby wydłużały się coraz bardziej. Kurczyła się nasłoneczniona część stawu. Żaby, jakby zaniepokojone zachodzeniem słońca, nasiliły swój wrzask. Widział je, jak siedzą na liściach tuż, blisko, rechoczą co sił szeroko otwartymi gardzielami.

I nagle pomyślał o Halinie. Przyprowdzi ją tu jutro. Weźmie też Jędrka. Zjawią się o tej samej porze co dziś. Nic im nie powie. To będzie niespodzianka.

Siedział rozmarzony — prawie aż do zmierzchu. Powietrze już zmętniało. Od wody ciągnął chłód, ale kurki wciąż płały pomiędzy liśćmi i kwiatami. Ich ruchy przypo-

minały taniec. Zapragnął chociażby na chwilę zmienić się w jedną z nich, aby poznać, co czują. Pozazdrościł ptakom, pozazdrościł nawet żabom i wierzbie, na której siedział, i słowikom, które nagle zaśpiewały w zaroślach.

Wracał do domu powoli. Oglądał się, przystawał i słuchał. Już nic pamiętał, po co tu przyszedł. Słowiki zachłystywały się, dusiły niemal od śpiewu, a jemu serce tłukło się niespokojnie. Wszystko wokół było takie niezwykle. I naraz ogarnął go smutek.

Stanął przy kapie olch. Widział, jak na najwyższych czubkach drzew znikają ostatnie blaski słońca. Dopiero po chwili poczuł łzy płynące po policzkach. Sam nie wiedział, dlaczego płacze. Ścierał je dłońmi z twarzy. Były ciepłe, duże i żywe. Płakał i cieszył się, że nikt go nie widzi, że dookoła jest szaro i pusto.

„Tak, na pewno przyprowadzę tu jutro Halinę, Jędrak może nie zechce, ale ona przyjdzie”. Coś się w nim otwarło. Myśli rozjaśniły się. Już nie czuł tego lęku, który w ostatnich dniach tak go przygłuszał. Wiedział, jak rozmawiać z Jędrkiem, co robić, jak ułożyć dalsze życie. Wszystko wydawało się takie proste, takie zrozumiałe, aż trudno było uwierzyć, że przedtem czuł i myślał inaczej.

Rozdział 9

— Powiedz dokładnie, co mówiła? — nalegał Jędrek.

— Pytała się, ile masz lat, czy chodzisz do szkoły, czy lubisz się uczyć.

— I co jeszcze?

— Oh, nie nudź! — mruknął Tadek i dalej układał w wielkiej brezentowej torbie rzeczy brata.

— Chłopaki opowiadali, że ona, jak kogoś lubi, jest słodka jak miód, lecz nieraz potrafi zawziąć się na kogoś i wtedy bywa gorsza od jędzy.

— A dlaczego miałyby ciebie nie lubić? — rzekł Tadek, wyprostowując się.

— Bo ja wiem? Kiedyś zaszedłem do domu dziecka. Strzelaliśmy z procy do tarczy przyczepionej na ścianie i ja niechcący zbiłem portret.

— Czyj portret? — zdziwił się Tadek.

— Jakiegoś generała czy prezydenta. Wisiał na wprost okna. Kierowniczką wybiegła przed dom, ale dałem drapaką.

— Widziała cię?

— Nie wiem.

— Głowy ci za to nie urwie — stwierdził Tadek. — A jeśli będzie ci tam źle, bierz torbę na plecy i do mnie z powrotem.

— Obiecałeś mi codziennie odwiedzać. Zawsze zdobędę coś do jedzenia i schowam dla ciebie.

— Mnie nic nie trzeba. Odkąd handluję z wojskiem, mam wszystko. Jeszcze tobie przyniosę.

— O mnie się nie martw. Dostanę ubranie, buty, palto na zimę. Tam nawet dają pióra, ołówki i zeszyty. Potem chłopaki z sierocińca handlują tym na przerwach w szkole.

— Ty chyba nie będziesz tak robił?

— Coś ty!

— No, to spakowaliśmy co do joty.

— A moja poduszka?

— Przecież tam dają całą pościel.

— Na innej poduszce nie zasnę. Mamusia mi ją specjalnie zrobiła. Zaszyla w niej śpiocha i czarownika, bym smacznie spał i miał ładne sny.

— Zgoda.

Tadek patrzył na wnętrze piwnicy z żalem. Niewiele tu zostało — trochę jego ubrań i te najniezbędniejsze sprzęty. Kiedy pozapinał torbę, nagle zwrócił się do Jędrka szorstko:

— Wychodź już. Za długo marudzisz.

Dzień był pochmurny, ale bardzo ciepły. Tadek dźwigał torbę i poduszkę pod pachą. Jędrak z workiem wypchanym książkami i zeszytami podążał obok.

— Wolałbym jeszcze kilka dni zostać z tobą.

— W każdej chwili będziesz mógł do mnie przyjść.

— Akurat. Myślisz, że stamtąd można wyrwać się jak z domu. Pilnują, i to bez przerwy, a gdy chce się gdzieś iść, trzeba meldować dokąd, z kim i kiedy wrócisz.

— Nieś poduszkę, bo mi niewygodnie — podał mu Tadek.

— Wróćmy się, Tadziu. Ja nie chcę jeszcze iść do sierocińca.

— Zrobimy próbę przez trzy dni. Jeśli nie spodoba ci się, będzie wszystko po staremu.

— Za miesiąc już wakacje. Chodzilibyśmy razem kąpać się w stawie i w rzece — marzył Jędrak.

Tadek przyspieszył kroku. Też miał wielką ochotę zawrócić. Po co w ogóle ta próba? Czy naprawdę tak źle im było? Brakło im chleba? Odkąd handlował z żołnierzami, nie głodowali.

Spojrzał na Jędrka.

— Nos ci się wydłużył — powiedział, chcąc go rozweselić.

Ale Jędrak skrzywił się jak do płaczu.

Zaczął siąpić drobny deszcz. Tadek przechylił nieco głowę, żeby czuć na rozpalonych policzkach chłodne krople.

Na podwórzu domu dziecka stała ciężarówka, ale w pobliżu nie było nikogo.

Przy furtce zawahali się. Jędrak objął ręką słupek. Wyglądało to, jakby nie chciał iść dalej. Tadek pchnął go lekko naprzód, a po chwili dzwonił do drzwi.

— O tej porze odrabiają lekcje i kierowniczka zamyka na klucz — wyjaśnił Jędrak.

Rozległ się chrobot zamka i ujrzeni na progu młodą czarnowłosą kobietę w szarej sukni. Patrzyła na nich surowo.

— A wy po co tutaj?

Spojrzeli na siebie z zakłopotaniem.

— On przyszedł na próbę — wytłumaczył Tadek.

— Na jaką próbę? Przecież tu nie teatr, a my nie przygotowujemy żadnego przedstawienia.

- Ma побыć kilka dni, zobaczy, czy mu się spodoba — powiedział Tadek chmurnie.
- Dziwne zwyczaje i kaprysy. Jak sierota, to musi mu się podobać.
- Musi to na Rusi — mruknął Tadek cicho.
- Coś ty powiedział? — podniosła głos.
- Ach, jesteście!

W tej chwili za jej plecami ukazała się kierowniczką, wysoka, jasna, uśmiechnięta.

— Chodź — wyciągnęła rękę do Jędrka. — O, przekroczyłeś właśnie próg swojego domu. Od tej chwili wszystko, co w nim jest, należy również do ciebie. A teraz chodźcie, właśnie jest podwieczorek, umyjecie ręce i pójdziecie do jadalni.

Zza jakichś drzwi wypadło trzech chłopców.

— Jędrak! Cześć! — otoczyli go, wyraźnie uradowani, że przyszedł. Wyglądało, jakby czekali na niego. Nim Tadek się spostrzegł, we czwórkę znikli gdzieś w głębi budynku.

— Pani Zosiu — zwróciła się kierowniczką do brunetki. — Proszę zaopiekować się rzeczami Jędrka, przejrzeć dokładnie. Zresztą wie pani, co trzeba zrobić.

— A co to jest? — młoda kobieta wskazała zawiniątko.

— Jego poduszka — wyjaśnił Tadek.

— Po co? Tu dostanie nową. Takich rzeczy nie przyjmujemy.

— Ale on nie zaśnie inaczej. Mamusia specjalnie zrobiła tę poduszkę dla niego.

— Dobrze. Daj mi tę poduszkę — powiedziała kierowniczką.

Obie kobiety oddaliły się. Został sam w długim korytarzu. Skądś dochodziły rozmowy chłopców i brzęk szklanek. Rozglądał się. Wszystkie drzwi były zamknięte. Na podłodze leżał gruby czerwony chodnik. Miejsce to przypominało urząd.

Odczekał parę minut przekonany, że kierowniczką pamięta o nim i zaraz wróci, ale kiedy nie zjawiała się, ostrożnie wycofał się do korytarzyka. Odciągnął zasuwę i naciśnął klamkę. Chwilę stał jeszcze na schodkach. Tu nawet nie dolatywały głosy z wnętrza domu. Deszcz padał teraz gęsty.

Szedł przez miasto, nie chroniąc się przed strumieniami. Nawet przyjemnie było czuć rześiste bryzgi na twarzy, karku. Ulice opustoszały, tylko przy niedawno wzniesionym kiosku zobaczył drobną sylwetkę. Zbliżył się. Tak, odgadł — to była właśnie Halina. Ale nie miał chęci z nią teraz rozmawiać. Stała pod okapem, chroniąc się przed deszczem. Kiosk był zamknięty.

Stąpał blisko parkanu. Zastanawiał się, czy zauważyła go. Doszedłszy do kiosku, ukrył się również pod daszkiem. Halina stała po przeciwnej stronie. Wystarczyło obejść jedną ścianę. „O czym ona może teraz myśleć?”

— O czym myślisz?

Drgnął cały usłyszawszy ją tuż przy sobie.

— Widziałam cię z daleka. Odprowadziłeś Jędrka?

Wystawił dłoń. Strużka spadająca z daszka rozpryskiwała się na rękę.

— Przemokłeś cały.
— Nic mi nie będzie, to majowy deszcz.
— Byłam u was. Zapomnieliście zamknąć piwnicę i napadałoby do środka.
— Po co tu stałaś?
— A tak. Chciałam przeczekać ulewę.
— Posłuchaj, jak cicho dookoła — powiedział. — Tylko ten deszcz. Ani jednego człowieka, ani jednego samochodu.
— Dobrze tu stać — rzekła cicho.
Patrzył na pobliski parkan, za którym rósł wybujały żywopłot, rozkwiecony żółto.
— A tobie dobrze tutaj? — spytała.
Przeniósł wzrok na nią.
— Chciałem, żebyś poszła ze mną nad staw. Tam jest tak... — Chwilę szukał słowa.
— Jak nigdzie — dodał.
— Lubię być z tobą wszędzie — powiedziała ledwo dosłyszalnie, czerwieniąc się.
— Ale chodźmy — nagle zmieniła ton, jakby otrząsając się. — W piwnicy czeka na ciebie niespodzianka.
— To biegnijmy! — Chwycił ją mocno za rękę, szarpnął gwałtownie.
Pośliznęła się i o mało nie upadła. Pędził co sił w nogach, ciągnąc ją za sobą. Dyszała. Ledwo nadążała za nim.
— Wolniej — prosiła, śmiejąc się. — Brak mi tchu!
Ale on jeszcze przyśpieszał. Deszcz, zacinał. Kiedy dopadli do piwnicy, oboje zmoknięci do suchej nitki, Halina trzymała się za serce i dyszała.
— Wariat jesteś! — wykrztusiła.
Podniósł klapę.
— Wchodź szybko!
— Tylko nie zamykaj, bo się udusimy — powiedziała, kiedy znaleźli się w środku.
Siedzieli na łóżku, oddychając szybko. Prosto z nieba na podłogę z desek, ułożoną przez Tadka, padały duże, wesołe krople.
— O, to jest ta niespodzianka.
Zobaczył papier. Uniósł go. Pod nim znajdował się głęboki talerz pełen naleśników.
— Jeszcze ciepłe — szepnęła.
Wziął jeden, ugryzł. Słodkie konfitury przykleiły się do warg.
— Ty je smażyłaś?
— Smakują ci?
— Szkoda, że nie ma Jędrka — powiedział.
Naleśniki znikwały szybko z talerza.
— Jedz i ty.
— Już jadłam. To tylko dla ciebie. Chcesz, to zrobię ci herbatę?

— Nie warto rozpalać. Tu i tak gorąco.

Zaczerpnął z wiadra zimnej wody i popił. Deszcz wciąż padał. Siedzieli w milczeniu. Jadł, a ona z uśmiechem patrzyła na niego i bawiła się małą chusteczką. Rozprostowywała ją na kolanie, układała w kwadrat lub w trójkąt, przykładała do twarzy, zakrywała nią oczy.

— Dlaczego nic nie mówisz? — spytała.

Skończył jeść i siedział z głową opartą na rękach.

— Myślę o Jędrku. Ciągłe mi się zdaje, że zaraz wróci.

— Mieliliśmy pójść nad staw...

— Poczekamy, aż przestanie padać, bo roztopiłabyś się po drodze.

— Przebierz się, bo się przeziębisz.

— Mam tylko te spodnie — przyznał. — Ale bluzę mogę zmienić. Zaczął szukać zapasowej bluzy w skrzynce z ubraniami.

— Chodź, zobacz! — zawołał w pewnej chwili. — Całe gniazdo myszy!

— Nic cierpię ich! — krzyknęła prawie. — Wyrzuc je!

Strzepnął bluzę. Zatrzasnął skrzynię.

— Nie wyjdą stamtąd.

— Nie znoszę wszelkich gadów, płazów, gryzoni i robaków — rzekła z obrzydzeniem. — Nie mów tylko tego Jędrkowi, bo zauważyłam, że on je uwielbia. Wczoraj złapał mnie na ulicy rozpromieniony i o mało nie wcisnął mi do ręki żywego kreta. Nakrzyczałam na niego. Kazałam wypuścić. Miał bardzo nieszczęśliwą minę, patrząc, jak zwierzątko błyskawicznie wyrzuca łapkami pulchną ziemię i chowa się w norze. „Nie ma nic śliczniejszego niż krecie futerko” — dowodził mi, a ja o mało nie zemdlałam. Nie chciałam, żeby to zauważył, bo nieraz trzymają się go głupie żarty i mógłby mnie straszyc.

— A nie boisz się, że ja to będę robił?

— Nie.

Zdjął bluzę i koszulę, cisnął na łóżko, założył suchą.

— Chętnie bym ci pocerowała ubranie. Umiem szyć — zaproponowała.

Popatrzył na swoje dziurawe spodnie, na postrzępione mankiety u bluzy.

— Nie lubię szyć — przyznał nieśmiało.

— Ale ja to zrobię chętnie.

— Widziałaś, jak pięknie rozkwitł nasz bez dziś rano? — zmienił temat. — Cały krzak biały. Kwiaty napęczniały od nocnego deszczu. Gdy będziesz szła do domu, narwę ci ogromny bukiet.

— Jutro mi narwiesz.

— Dlaczego jutro?

— Wezmę sobie na podróż.

— Jedziesz gdzieś? — zdziwił się.

— Tak. Wyjeżdżamy całą rodziną. — Patrzyła pod nogi. — Wczoraj wieczorem wrócił tatuś. Wziął pracę w Warszawie i znalazł gdzieś pod miastem mieszkanie. Rodzice nie chcą tu siedzieć. Ciągnie ich Warszawa, nawet taka spalona. Już dziesięć razy zdecydowali się zostać i na próżno. Załatwili nawet ciężarówkę, która zawiezie nam rzeczy.

— I ty musisz jechać?

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Skoro jadą rodzice, co mam zrobić?

— A ciotka? U niej ci źle? Przecież tutaj chodzisz do szkoły.

— Prosiłam mamę, ale nie zgodziła się. Powiedziała, że tam też jest szkoła.

W zamyśleniu bębnił palcami po stole.

— Przyjadę tu. Na pewno wrócę, i to niedługo, nawet gdybym miała uciec — mówiła gorączkowo. — Rozmawiałam z ciocią. Zaprasza cię do siebie. Da ci pokoik, ten z balkonikiem, ja w nim najlepiej lubiłam spać. Tam zostawiam wszystkie swoje książki, okazy przyrodnicze i rysunki. Zostawiam jeszcze coś, ale nie powiem ci, musisz sam odszukać.

— Ale ja wcale nie pójdę do twojej ciotki.

— Dlaczego?

— Bo nie chcę niczyjej łaski. A zresztą wyjeżdżam na Zachód. Może nawet jutro. Mam trochę pieniędzy. Wystarczy mi na podróż. Zamknę piwnicę na kłódkę i tak będzie najlepiej.

— Ale ja tu wrócę — zapewniała.

— Możesz nie wracać!

— Dlaczego się na mnie gniewasz?

— Co ci przyszło do głowy? Znudziło mi się siedzieć tutaj.

— Tam będzie ci lepiej? — spytała.

— Nie wiem. Pojadę, to zobaczę. Jak będzie, to będzie.

Deszcz ustał. Na podłogę padały pojedyncze krople. Tadek podszedł do drabiny i wyjrzał na dwór.

— Zobacz, jakie wszystko jest umyte! — zawołał.

— Masz do mnie żal i dlatego chcesz wyjechać na Zachód? — spytała, nie podnosząc się z miejsca.

Popatrzył na nią.

— Może nie pojadę.

— Nie jedź! — podbiegła do niego. — Ja wrócę niedługo. Tylko patrzeć i będą wakacje, a wtedy żadna siła mnie nie zatrzyma. Poza tym już uzgodniłam to i z rodzicami, i z ciocią. Im zależy, abym miała świadectwo z tej nowej szkoły.

Stali obok siebie na drabinie, oparci ramionami, i rozglądali się po ogrodzie. Niebo przejaśniło się. Nad miastem wisiała niewyraźna tęcza, a na mokrych drzewach, okapu-

jących gęsto, już rozbłysły słoneczne plamy.

Weszli między drzewa.

— Teraz pokażę ci bez. O, weź do ręki tę kiść.

— Jaka ciężka. Jak pachnie — westchnęła. — Nie mogę się nawąchać i napatrzeć.

— To zjedz ją — zażartował.

— Jesteś okropny!

— Zerwę ci tę najładniejszą.

— Nie chcę! — złapała go za rękę. — We flakonie zaraz zwiędnie i wcale nie będzie taka śliczna. Nie lubię kwiatów ciętych. Najładniej wyglądają na krzaku albo na kłombie.

Potrząsnął gałęzią. Deszcz świetlistych kropel posypał się jej na głowę. Tylko zmrużyła oczy.

— To perły — powiedział.

— Jeszcze — prosiła przybliżając się.

Wstrzymał oddech. Była tak blisko niego.

— Będzie ci smutno beze mnie? — szepnęła.

Coś uwięzło mu w krtani. Nie mógł przemówić. Naraz szybko objęła go i pocałowała w usta. Stał oszołomiony, gdy tymczasem ona ukryła się za krzakiem bzu.

— Nie możesz jechać! — zawołał.

Postąpił krok i rozchylił gałęzie.

— Gdzie jesteś? Halina, odezwij się!

Na wiśni siedział ptak z czerwonym krawatem, niespokojny przestępował z nóżki na nóżkę i wołał:

„Tu, tu! Po co to! Po co to! Oj, oj, oj! Juuuu...”

Tadek obszedł cały ogród i podwórze, lecz Haliny nie było nigdzie. Zajrzał do piwnicy, ale i tam jej nie zastał. Wyszedł na ulicę. Jezdnia i chodniki błyszczały od wody powleczonej słońcem.

„Na pewno już jej nie zobaczę” — myślał. I nagle przejęła go ostra tęsknota za Jędrkiem. Jak mógł oddać go do sierocińca!

„Muszę go stamtąd zabrać — postanowił. — Tylko czy Jędrzek zechce wrócić?”

Rozdział 10

Pociemniało. Tadek leżał na łóżku i patrzył w nieco jaśniejszy otwór. Naraz rozległy się ciche kroki i ktoś poruszył drabiną. Uniósł się na łokciach, wstrzymując oddech.

— Tadek! — usłyszał.

Zeskoczył z łóżka. Już był na górze.

— Halina! Skąd się, tu wzięłaś? Przecież miałaś dziś rano wyjechać?

— Ale nie wyjechałam, jak widzisz.

— A rodzice?

— Pojechali beze mnie.

— Co się stało?

— Nic. Po prostu okazało się, że jestem chora, mam wysoką temperaturą i musze, zostać.

— Co ci jest? — zmartwił się.

— Zachorowałam dla ciebie.

Wziął jej rękę i szybko podniósł do ust.

— Jesteś taka dobra.

— Nie mów tak — wyrwała dłoń.

— Myślałem, że nigdy nie zobaczymy się — powiedział drżącym głosem.

Usiedli na schodkach. Z ogrodu płynął zapach bzu. Od nagrzanego muru tchnęło ciepłem. Na niebie iskrzyły się gwiazdy. Po drugiej stronie ulicy, między gałęziami drzew, w jakimś oknie pełgało światło.

— Jak cicho — powiedział po długim milczeniu.

I dalej siedzieli bez słowa, dotykając się lekko ramionami.

Tuż nad nimi szybował nietoperz, cichuteńko popiskując w mroku.

— Chodźmy nad staw — zaproponowała. — Zaraz wyjdzie księżyc. — Będzie widno jak w dzień. — Wzięła go za rękę.

— Byłem dziś w pobliżu domu u dziecka — zaczął, kiedy wyszli za miasto, na długą, wysadzaną drzewami aleję spadającą ku mokradłom. — Obserwowałem Jędrka. Biegał razem z innymi, bawił się, jakby sierociniec był dla niego prawdziwym domem.

— Powinieneś się tym cieszyć.

— Nie mogę. Sądziłem, że on będzie tęsknił, myślał o powrocie.

— Chciałbyś tego?

Dłuższą chwilę nie odpowiadał.

— Nie lubię być sam — rzekł wreszcie. — Teraz i mnie ta piwnica wydaje się okropna. Ubiegłej nocy słyszałem jakieś kroki nad sobą. Ktoś przesuwał cegły. Bałem się, i to chyba po raz pierwszy w życiu. Kiedy Jędrak był przy mnie, nie lękałem się niczego. Sprawiało mi nawet przyjemność wyjść o północy na podwórze, sięść na pniu, patrzeć w niebo i słuchać tej wielkiej ciszy.

— Jeśli chcesz, będę przychodziła do ciebie. Zawsze mogę wymknąć się, kiedy ciotka zaśnie, tak jak dziś. Zamykam się na klucz od środka i wydostaję oknem. Zupełnie jak w książkach, prawda?

— Nie wiem. Nie znam książek.

— Ale chyba lubisz czytać?

— Do tej pory nie lubiłem. Zawsze miałem co innego do roboty.

— A dla mnie świat w książkach bywa ciekawszy i lepszy niż ten prawdziwy. Bardziej go rozumiem i kocham.

— Posłuchaj — zatrzymał się.

W dali silnie i jednostajnie śpiewały potężne żabie chóry.

— Słyszałeś o topieliskach? Podobno jest ich tu pełno i można utonąć.

— To bajki — oznajmił stanowczo. — Błota o tej porze tak zarastają trawą, że bez obawy można po nich spacerować. Uginają się tylko jak pierzyna, i to wszystko. Nie bój się, znam dobrze te pustkowia.

Pod drzewami leżał gęsty cień, odruchowo dotykała jego ręki, aby czuć się pewniej.

— Okropnie wrzeszczą te żaby. Tyle ich i tak blisko. Właściwie — mówiła nieśmiało — brzydzę się żab. Za nic w świecie nie wzięłabym najładniejszej z nich do ręki. Kiedy szłam przez las. Zaczepiłam włosami o gałąź i taka mała zielona żabka siedząca na liściu spadła mi na włosy. O mało nie zemdlałam. Raz niechcący zdradziłam się z tym swoim lękiem przed kolegami w szkole. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo mi dokuczali. Poczynając już od następnego dnia, co dzień miałam żabę w tornistrze albo w butach, w worku z kapciami, to znów w kieszeni płaszcza. Wolałam chodzić na wagary. Nienawidziłam tych wszystkich chłopaków i nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się nade mną znęcają. A jaki ty byłeś w szkole? Czy taki sam?

Trzymał ją za przegub dłoni i nie odpowiadał. Dopiero kiedy powtórzyła pytanie, odchrząknął i rzekł cicho:

— Taki sam.

— Nie! — zaprzeczyła. — Ty nie mogłeś być taki! Pamiętam, kiedyś strasznie się rozplakałam, prosiłam, a oni tylko się śmieli. Ty byś mnie na pewno zrozumiał.

— Staw już niedaleko. Teraz będzie podmokły teren. Uważaj, można się pośliznąć. Pod stopami chłupotało i coś jakby odskakiwało spod nóg.

— Tu są tysiące żab — szepnęła.

— Może chcesz wracać?

— Nie. Z tobą nawet nie boję się tak.

Szli wsparci o siebie ramionami. Znow grunt się nieco podniósł, a wkrótce potem zobaczyli rozległą taflę wody. Tu już nic nie tłumilo żabiego rechotu. Wydobywał się ze-wsząd, bliski, chropawy, natarczywy.

— To przypomina mi jakiś okropny sen. Nawet gwiazdy gdzieś znikły i księżyc — powiedziała tuląc się do niego.

Nagle przestał słyszeć rechot żab, tylko w skroniach i w uszach huczało mu tętno.

— A jednak dobrze mi tutaj.

Ona również miała zmieniony głos. Każde jej słowo brzmiało ostro i nienaturalnie.

Mijały całe kwadransy. Otaczała ich ciemność i te żaby niegroźne, ale podchodzące jakby coraz bliżej i bliżej. On pierwszy odzyskał panowanie nad sobą.

— Wracamy? — zapytał.

I nagle te słowa odczarowały cały świat. Znow poczuli się zwyczajnie, zetknęli się w ciemności rękami. To nie był okropny sen, ale ziemia nad brzegiem stawu. Pomimo pochmurnego nieba dostrzegli kontury krzewów i drzew, ujrzeli odbłask lustra wody i zarysy brzegu. Wyogromniałe żabie wołania przycichły i zmalowały. Nie były to już napierające, przerażające swoją niesamowitością żabska, ale zwykłe, ukryte gdzieś w błocie i zaroślach żaby, rechoczące monotonicznie.

— Przyjdziemy tutaj w dzień albo tuż przed zachodem słońca, kiedy będą wszystkie kolory.

Skądś pojawiły się komary. Całe stada. Brzęczały dookoła nich, czepiały się twarzy, rąk, zapuszczały swoje żądła przez ubrania.

— Uciekajmy. Zjedzą nas! — zawołała.

Pędzili, trzymając się cały czas za ręce. Dopiero pod miastem zwolnili kroku.

— Okropne miejsce — powiedziała ze śmiechem. — Żaby i komary.

Zawtórował jej. Nie mogli pohamować tych wybuchów wesołości. Śmieli się szczerze, głośno, niepohamowanie. Ucichli dopiero, zauważywszy na drodze sylwetkę wysokiego mężczyzny z papierosem w ustach. Stał naprzeciw nich i jakby czekał.

Halina zawahała się, przyciągnęła ramię Tadka.

— Kto to? — szepnęła.

— Nie bój się — objął ją w pól.

Poczuł w sobie niezwykłą siłę, urósł jakby, zmężniał. Teraz kiedy ona była przy nim, nie uląkłby się nikogo na świecie. Obroni ją w każdej sytuacji.

— Skąd to wracacie? — silny snop światła wydobył z mroku ich postacie.

— Ach, to pan — ucieszył się Tadek. — Byliśmy nad stawem.

— W nocy? — zdziwił się milicjant.

Tadek raptem poczuł, że czerwienieje. Zgasła latarka. Milczał, uradowany z ciemności.

— No, idźcie, a na przyszłość wcześniej odbywajcie takie spacery. Tu, w okolicy, nie jest zbyt spokojnie.

Wyminęli go szybko. Milczeli aż do samego domu.

— Nie chce mi się iść do piwnicy — odezwał się, dopiero gdy Halina weszła na ganek.

Nagle skrzyknęły drzwi.

— Halina? Bój się Boga! Gdzieś ty była? — zabrzmiał głos ciotki.

Tadek chciał się ukryć za węglem, ale już go zobaczyła.

— Nie zatrzymuj jej nigdy tak długo. Strasznie się denerwowałam.

— To nie on, ciociu, sama zawiniłam. Chodziliśmy nad staw.

— Gdzie?

— Nad staw.

— O tej porze?

— To ja już sobie pójdę. Dobranoc — powiedział.

— Zaczekaj — nakazała stanowczo. — Wejdz do środka. Mam ci coś do powiedzenia.

Wahał się.

— No prędej. Jestem tylko w nocnej bieliźnie i zimno mi stać tak na ganku.

Zatrzymał się niespokojny na progu. Ciotka podkręciła knot naftowej lampy. Różowy blask wydobył z mroku meble, którymi zatłoczone było pomieszczenie, a także bladą twarz Haliny. Patrzyła na ciotkę wyczekująco.

— Co się stało, ciociu? Taka jesteś zmieniona.

— Zdenerwowałam się.

— Nie zrobię już tego nigdy. Będę zawsze wracała w porę.

— Co ja przeżyłam! Ktoś dał mi znać, że została ranna jakaś dziewczyna. O mało mi serce nie pękło. Pobiegłam do szpitala. Widziałam tę małą na korytarzu. W pierwszej chwili, gdy zobaczyłam, że to nie ty, odetchnęłam, ale tylko w pierwszej chwili. Była blada i nieprzytomna, cała w bandażach poplamionych krwią.

— Jak to się stało? Gdzie? — spytała Halina, przejęta.

— Paśla kozę pod lasem i trafiła na nie wykryta minę.

— Będzie żyła? — spytał Tadek.

— Nie wiem. Ale chciałam cię prosić, żebyś nie ciągnął Haliny w takie miejsca. Wszyscy chłopcy teraz strzelają. Noszą przy sobie pełno prochu i naboju. Pokaż, co masz w kieszeniach?

Tadek popatrzył na nią zaskoczony.

— Ja takich rzeczy nie noszę — wyjąkał.

— Pokaż, bo inaczej jutro nie puszcę Haliny na krok z domu.

— Proszę sprawdzić.

— Wyłóż sam, tu, na stół.

— Ciociu, jak możesz.

— Nie wtrącaj się!

Tadek z pewną rezygnacją wsunął dłoń do kieszeni spodni. I zaraz oblał go pot. Pierwszą rzeczą, jaką wyczuł, był magazynek z nabojami, który znalazł poprzedniego dnia w piwnicy na podłodze. Musiał wypaść Jędrkowi. Schował go i zapomniał. Spojrzał z rozpaczą na ciotkę, potem na drzwi wiodące na dwór.

— Widzę, że masz nieczyste sumienie.

— Tak — przyznał. — Mam naboje w kieszeni. Znalazłem je u nas na podłodze. Chciałem wyrzucić i zupełnie o tym zapomniałem. Przyniósł je na pewno Jędrak.

— Idź i więcej się nie pokazuj! Nie lubię kłamców!

Był już w progu, kiedy Halina złapała go za rękę.

— Teraz nigdzie nie pójdziesz! Zostaniesz. A jeśli go wygonisz — zwróciła się do ciotki — ja też pójdę!

— Dobrze, ale jeszcze jutro rano odwiozę cię do rodziców.

— Jeśli mnie znajdziesz! — krzyknęła wyzywająco Halina.

— Co ci się stało? Dziecko, jak ty do mnie mówisz?

— A co on tobie zawinił?

— Odpowiadam za ciebie. Idź, chłopcze, wyrzuć te naboje i pamiętaj, żeby to było ostatni raz.

Wyszedł na dwór, cisnął magazynek w krzaki i szybko zaczął się oddalać.

— Zaczekaj! — usłyszał.

Przyspieszył kroku, ale nie odbiegł zbyt daleko. Ukrył się za najbliższym drzewem, wcisnął między parkan a chropowaty pień i słuchał, czy nikt za nim nie idzie. Było pusto i cicho, tylko jeszcze raz doleciało do jego uszu:

— Taaadek!

Wyszedł na chodnik. Wołanie nie powtórzyło się więcej. Jedyne dźwięki, jakie słyszał, to stukanie własnych butów po trotuarze.

Potykaçąc się, wszedł do piwnicy. Wziął zapałki i zapalił kaganek. Knot drgał nerwowo, płomień przygasał, to znów wybuchał, aż wreszcie uspokoił się i płonął równym stożkiem. W kącie chrobotowały szczury. Siadł na łóżku.

„Okropna jest ta piwnica — pomyślał. — Lepiej już spać w ogrodzie pod jabłonką”.

Robił tak nieraz, kiedy jeszcze żyła matka. Kładł na ziemi siennik wypchany trawą, okręcał się w koc i leżał na wznak, z szeroko otwartymi oczami, patrząc poprzez li-

ście na wygwieżdżone niebo. W trawie grały świerszcze, skądś dochodziło szczekanie psów, a on śnił z szeroko otwartymi oczami i tylko co pewien czas uświadamiał sobie, że widzi gałęzie i niebo. Podnosił się z siennika z pierwszymi promieniami słońca. Lubił chodzić po rosie bosy. Stopy robiły się aż różowe od szorstkiej trawy, wilgoci i chłodu.

Kaganek znów harcował. Płomień wydłużał się, to kurczył, niby jakaś żywa, nerwowa istota.

„A może lepiej było zostać u Haliny?”

Hałasy w kącie wzmogły się. Odbывała się tam zabawa albo bójka, której towarzyszyły piski. Nie wytrzymał. Złapał ciężki fajansowy kubek i rzucił go z siłą w kąt. Rozległ się donośny brzęk i w jednej sekundzie zaległa absolutna cisza. Kawałek fajansu upadł tuż przy jego nogach. Schylił się i wziął go do ręki. Na skorupie ujrzał wymalowaną żółtą pszczołę. Dopiero teraz uświadomił sobie, że zbił ostatni kubek, jaki miał — pamiątkę z dawnych czasów. Ścisnęło mu się serce. On i Jędrzek kochali ten kubek. Nieraz kłócili się ze sobą, kto ma z niego pić, matka musiała ich godzić. Jędrzek, odchodząc, wsadził go między swoje rzeczy, ale po zastanowieniu wyjął i postawił na stole.

— Ja tam dostanę inny — powiedział, ale Tadek widział, jak w jego oczach błysnął żal.

Patrzył uporczywie na tę żółtą pszczołę, a serce kurczyło mu się coraz mocniej i mocniej, aż zmieniło się w małego skulonego z bólu owada.

Rozdział 11

Ciężarowe samochody, pokryte grubą warstwą kurzu, wolno przesuwały się przez szeroką bramę, zataczały łuk i ustawiały w rzędzie, jeden obok drugiego. Ogromny teren wypełnił się szeregami aut, z których w pośpiechu wysiadali żołnierze. Dawniej odbywały się tu mecze piłki nożnej i zawody sportowe, ale w ostatnich latach boiska zarosły, bramki gdzieś znikły, a na bieżniach i skoczniach puściły się pędy krzewów.

Tadek przechodził obok ciężarówek, przyglądając się wszystkiemu ciekawie. Wkrótce zobaczył gromadę chłopców, a także dorosłych, nadciągających z różnych punktów miasta.

Kierowcy z wyraźnym zadowoleniem rozsiadali się na trawie, rozbijając prymitywny obóz. Niektórzy z miejsca zabierali się do drobnych napraw, inni szli z wiadrami po wodę albo po prostu z mydłem i ręcznikiem do pompy znajdującej się przy bramie. Żołnierze byli zmęczeni, czuło się w ich zachowaniu wielką ulgę, że nareszcie mogą wyprostować zbolące kości po długiej i niewygodnej jeździe.

Uwagę Tadka zwrócił młody czerwonoarmista, ubrany w niebieski, mocno przetłuszczony kombinezon. Otworzył żelazną skrzynię z narzędziami, umocowaną pod ciężarówką, i gniewnie wyrzucił ze środka wszystko po kolei, szukając widocznie jakiegoś narzędzia. Obok samochodu wyrosła sterta najrozmaitszych przedmiotów. Znalazł wreszcie benzynową maszynkę. Uśmiechnięty patrzył na nią, to na Tadka.

— Gdzie jest woda? — spytał.

Tadek wskazał ręką.

— Przynieś — powiedział i podał duże skórzane wiadro.

Tadek pobiegł do pompy. Kilka minut czekał w długiej kolejce. Żołnierze podchodzili z wiadrami, z butelkami. Niektórzy mieli nawet miednice. Paru chłopców na zmianę usłużnie pompowało. Obfity strumień płynął nieustannie. Wielu żołnierzy podstawiało kubeczki albo wprost dłonie i piło chciwie orzeźwiająca wodę.

Tadek nabrał pełne wiadro i zawrócił. Ledwo jednak zagłębił się między ciężarówki, obstąpili go kierowcy. Ten zaczerpnął menażką, tamten napił się wprost z wiadra. Nie było rady, musiał iść znów pod pompę. Postanowił więc niepostrzeżenie okrążyć ko-

lumnę ciężarówek, bo inaczej nigdy nie dotarłby z pełnym wiadrem na miejsce.

Młody żołnierz, ujrawszy go, niecierpliwie przywołał ręką. Maszynka benzynowa, ustawiona na dwóch ceglach, już tryskała płomieniem. Czerwonoarmista splukał wodą duży emaliowany garnek, potem napełnił go po brzegi i ustawił nad ogniem.

Tadek teraz dopiero zobaczył innego żołnierza, o wiele starszego, z siwą czupryną i z siwymi, długimi wąsami. Leżał na grubym, szarym kocu rozciągniętym na trawie. Głowę, skrył w cieniu padającym od ciężarówki, oczy osłonił łokciem i najwidoczniej próbował usnąć, ale sen chyba nie przychodził, bo powieki rozchyły się coraz, a spod nich błyskały ogromne, czarne oczy.

— Gdzie można kupić mleko? — spytał młodszy.

— Mogę przynieść. Dajcie pieniądze — zaproponował Tadek.

— A jakie pieniądze? Polskie czy rosyjskie?

— Polskie — odparł.

— Nie mamy polskich.

— To może coś sprzedacie.

Starszy żołnierz odsłonił głowę i siadł.

— A co byś kupił?

— Nie wiem. Żołnierze sprzedają różne rzeczy.

— Łońka, daj mu konserwy.

Po chwili Tadek biegł, niosąc trzy puszki z mięsem. Zamiast iść do bramy popędził na przełaj do dobrze znanej dziury w płocie. Cały teren był solidnie ogrodzony grubymi jesionowymi deskami. Kiedyś mecze piłki nożnej były płatne. Specjalnie zrobiono taki parkan, aby kibice nie zaglądali przez szpary. Zastanawiał się, skąd wziąć pieniądze na mleko. Ostatnich kilkadziesiąt złotych wydał rano na chleb.

Był przy stacji benzynowej, kiedy przypomniał sobie Giętka. Przyjaciel wrócił po wielu tygodniach nieobecności i widzieli się przelotnie poprzedniego wieczora.

Gietek był w domu. Akurat rąbał drzewo i układał w wysokie kominy.

— Masz pieniądze? — spytał go Tadek.

Gietek odłożył siekiere.

— Ja nie mam, ale matka ma. Ile chcesz?

Szybko przemnożył w myślach. Tak, musi mieć dwadzieścia litrów mleka, i to zaraz.

— Pożycz mi pięćset złotych. Oddam wam za godzinę.

— O, to sporo...

— A po co ci tyle? — usłyszał głos matki Giętka.

Odwrócił się.

— Dzień dobry pani. Chcę kupić mleka dla żołnierzy z kolumny samochodowej.

— Ach, już wiem, mam, on mi wczoraj mówił, że w ten sposób zarabia.

— Jak to, zarabiasz i nie masz pieniędzy?

— Wydałem — uśmiechnął się.

— Coś chyba mało zarabiasz.

— Dużo, tylko trzeba szybko działać, bo inaczej inni uprzedzą.

— Pomogę ci — rzekł Gietek.

W parę minut później pędzili z dwoma wiadrami i bańką do mleczarni.

— Po co wam tyle mleka? — zdziwiła się mleczarka.

— Dla kota — wyjaśnił Gietek.

— Jak to: dla kota? — nie rozumiała.

— Mamy takiego przedpotopowego kocura, który wypija dwadzieścia litrów naraz.

— Oj, mały kpiarzu — zaśmiała się. — A może weźmiecie jedno wiadro kwaśnego? Świeżutkie, bardzo smaczne i dużo tańsze — dodała.

— Doskonale — zgodził się Tadek.

Na boisko weszli również przez dziurę w płocie. Ledwo jednak znaleźli się między pierwszymi samochodami, zebrał się wokół nich istny tłum żołnierzy. Brali pełne mienazki mleka, płacąc dosłownie wszystkim. Ten dał nowy skórzany pas, ów futrzane rękawiczki, inny koc, poza tym konserwy.

Tadek nie targował się, ale Gietek był nieustępliwy — twardo bronił wiadra z mlekiem, sam nalewał, na każdy wymienny towar krzywił się i mówił:

— Za mało.

Tadek podziwiał jego odwagę, kilka razy nawet szturchnął go.

— Nie wygłupiaj się, Gietek.

Ale przyjaciel nie zwracał na niego uwagi.

Wkrótce mieli worek wypchany różnymi rzeczami. Gietek zarzucił go sobie na plecy, wziął do ręki dwa wiadra.

— Dogonisz mnie, idę znów do mleczarni.

Tadek ledwo obronił bańkę, którą niósł dla siwowłosego żołnierza.

Jeszcze trzykrotnie obracali z wiadrami pełnymi mleka. Za czwartym razem mleczarka nie wytrzymała z ciekawości i poszła za nimi, ale zgubili ślad, bojąc się konkurencji. Nikt do tej pory nie wpadł na pomysł, by handlować z żołnierzami mlekiem. Ludzie najczęściej przynosili wódkę, zresztą Tadek robił to samo. Przypadek zrządził, że odkrył tak wspaniały interes.

Wieczorem, kiedy znaleźli się w izbie Gietka, czuli się dumni z pracowicie spędzonego dnia.

— Musimy się teraz podzielić — powiedział Tadek.

— Czym chcesz się dzielić?

— Wszystkim.

— Mnie się nic nie należy. Ja tylko pomagałem. To wszystko jest twoje. Kiedy to sprzedasz, oddasz nam pięćset złotych.

— Musimy się podzielić. Bez ciebie i połowy tego bym nie zarobił.

— Nic nie wezmę — oznajmił stanowczo Gietek.

Tadek przeniósł spojrzenie na jego matkę i zobaczył jeszcze porozumiewawcze mrugnięcie, które wymieniła z synem.

— Gietek ma rację. To był twój pomysł. On ci tylko pomógł, jako koledze. A jeśli chcesz, ja sprzedam to wszystko. Ciebie może ktoś oszukać.

— Nie chciałbym robić pani takiego kłopotu.

— Nie mówmy o tym, już ja wiem, jak to załatwić. A teraz, co byście powiedzieli na ziemniaki ze słoniną i zsiadłym mlekiem?

— Hura! — wrzasnął Gietek. — Lecę do ogródka po koperek. Nawet nie wiesz, mamo, jaką miałem ochotę na to mleko, żebyś wiedziała! Niektórzy żołnierze pili łakomie jak zgłodniałe cielęta, aż mi ślinka ciekła.

— Fajnie, żeś przyjechał — powiedział Tadek, gdy znaleźli się w ogrodzie.

Na grządce po ciemku szukali kopru.

— Niewiele brakowało, a zostalibyśmy na wsi u ciotki. Odkąd ojciec nie żyje i spłonął nasz dom, mamie jest tu ciężko.

Tadek trzymał w palcach pęczek kopru, wdychał jego zapach i słuchał cichego głosu Giętka.

— Chłopcy, chodźcie prędzej! Stygną ziemniaki!

Tadka coś ścisnęło za gardło. To wołanie przypomniało mu jego matkę. W ten sam sposób przywoływała go na kolację, a jemu jeszcze nie chciało się wracać do domu, stał z kolegami na chodniku, planowali, co będą robić nazajutrz, dzielili się wrażeniami z kończącego się dnia.

— No, chodźmy już — rzekł Gietek. — Mama ostatnio stała się taka niecierpliwa.

Pachniało smażoną słoniną i świeżym koprem. Tadcowi przypomniał się jeszcze wyraźniej dom, a jednocześnie wspomnienie to było takie odległe i aż nieprawdziwe jak ze snu.

Matka Giętka siedziała z rękami opartymi o stół. Patrzyła na obydwóch. Uśmiechała się, widząc, jak zachłannie czerpią ziemniaki i mleko.

Kiedy zaczerwieniło się dno miski, sięgnęła po garnek i dosypała ziemniaków.

— Rośniecie, to trzeba dużo jeść.

Dotknęła dłonią ręki Tadka. Zrobiła to jakby mimochodem, lecz jego znów ogarnęło wzruszenie. Palce, w których trzymał łyżkę, drżały.

— Jutro z samego rana pójdziemy znów z mlekiem — mówił Gietek. — Kolumna ma stać trzy dni. Przez ten czas zrobimy fortunę.

— Już dosyć zarobiliście. Nie należy kręcić się koło wojska. A poza tym nie wiem, czy powinniście zajmować się takim handlem.

— Dlaczego? — oburzył się Gietek.

— To jednak nie jest takie bardzo uczciwe.

— Jak to, nie napracowaliśmy się? Przecież nikogo nie oszukiwaliśmy.

— Mleko kosztowało was dwa tysiące złotych, a to wszystko — wskazała przyniesione przez nich rzeczy — warte jest ponad dziesięć tysięcy.

— Mamo, tak handlują ludzie na całym świecie. Inaczej nie opłacałoby się handlować. Gdybyś wiedziała, jacy zadowoleni byli żołnierze, nie mówiłabyś tego.

— Jednak jutro nie pójdziesz z mlekiem, tylko z zeszytami do szkoły.

— O, znów zaczynasz. Już raz zgodziłaś się, abym zaczął dopiero od poniedziałku.

— Sam tak sobie zaplanowałeś.

Łyżka z mlekiem przekrzywiła się nieco. Strużka białego płynu popłynęła po jego szarej, świeżo wypranej bluzie.

— Tadek nie chodzi i świat się nie wali.

— Wcale mi się to nie podoba, że on nie chodzi. W życiu trzeba coś umieć, a wy powinniście umieć bardzo wiele. Zawsze marzyliśmy z ojcem, abyś w przyszłości ukończył uniwersytet. Nam brakowało wykształcenia. Kto wie, jak by się nasze losy potoczyły, gdybyśmy kiedyś mogli się uczyć. Twój ojciec, chociaż był tylko dorożkarzem, zawsze miał przy sobie książkę. Uważano go za dziwaka, ale niejedną w ciężkiej chwili przychodził prosić o radę.

Siedzieli nad pustymi talerzami, uważnie słuchając jej słów. Ale ona nie miała ochoty mówić zbyt wiele. Podniosła się, nalała do miednicy wody i zmywała naczynia.

Gietek wziął ustną harmonijkę i zaczął grać. Widząc zaciekawione oczy Tadka, przerwał na chwilę.

— Nie wiedziałaś, że gram? Na wsi nudziło nam się. Mieliśmy dwie harmonijki. Mama kiedyś grywała, zaczęła więc mnie uczyć. Teraz często występujemy w duecie.

— Musisz wszystko wygadać — uśmiechnęła się.

— Mamo, zostaw te garnki i zagraj.

— Co ty, niemądry jesteś? To zabawa dla takich chłopaków, jak wy.

— Och, zawsze jesteś taka przy innych.

— Niech pani zagra — Tadek spojrzał na nią prosząco.

— Kiedy indziej.

— Mamo, nie daj się tak prosić. Zrobimy za ciebie, co tyko każesz.

— Straszni z was nudziarze — powiedziała z udaną irytacją. Wytarła ręce i siadła obok Gietka na kozetce.

— Nie spodoba ci się moje granie — powiedziała do Tadka. — Umiem tylko same smutne melodie.

I raptem jakby coś jej się przypomniało, wstała i poszła w drugi koniec pomieszczenia.

— To tak zawsze — szepnął Gietek. — Kiedy zaczyna grać, płacze.

Wkrótce znów usiadła przy synu. Początkowo ich granie wydało się Tadekowi nie-
zwykle. Matka Giętka, w kraciastym fartuchu, z nieco rozczochranymi włosami, wyglą-
dała dziwnie. Małe organki w jej dużych dłoniach były niewidoczne. Patrząc można by
pomyśleć, że przesuwała puste dłonie koło ust.

Gietek grał z przymkniętymi powiekami. Wkładał w to całą swoją duszę. Oboje za-
pomnieli o Tadeku. Siedzieli naprzeciw siebie i grali jakby jedno dla drugiego. Muzyka
ta nastrojała smutno.

Podniósł się i korzystając z mroku, który zalegał izbę, cicho podszedł do otwartych
drzwi i wymknął się na podwórze. Nie zauważyli jego odejścia. Jeszcze przez jakiś czas
słyszał przytłumioną melodię partyzanckiej piosenki.

Na rogu ulicy natknął się na patrol. Jeden z milicjantów oświetlił jego twarz.

— Ach, to ty — powiedział znajomy głos. — Co tu robisz? Często jakoś spotykam cię
o późnej porze na ulicy.

— Wracam od kolegi.

— Przyjdź do mnie jutro. Chcę z tobą porozmawiać w sprawie twojego brata.
Chcieliśmy posadzić go do kozy. Strzelał z samopału zrobionego własnoręcznie. O mało
nie zranił kolegi.

Zgasił latarkę i już odchodząc dodał:

— Myślę, że ty jesteś inny.

„»Ty jesteś inny«. Co on miał na myśli?” — zastanawiał się leżąc już na swojej pry-
czy.

Oczy miał szeroko otwarte, ale nic nie widział. Dookoła panowały ciemności. Nawet
kwadratowy otwór prawie nie odcinał się od reszty sufitu.

Szczury jak zwykle uprawiały swoje wściekle harce. Ciemność jeszcze potęgowała
odgłosy. Skrobanie pazurów i zębów zwielokrotniało się i trudno było uwierzyć, iż to
tylko małe gryzonie szarpia kawałki drewna i szmaty.

Niewiele obchodziły go szczury. Zobojętniał na ich obecność. Złościł się tylko, kiedy
wskakiwały na łóżko, lecz to zdarzało się rzadko. Bliskość człowieka przerażała je.
Kiedyś w dzień zastał szczura na drabinie. Wpatrzył się w niego przenikliwie. To spoj-
rzenie sparaliżowało gryzonia, skamieniał, nie mógł poruszyć łbem. Dopiero krzyk po-
działał jak cios — szczur spadł na ziemię niby kamień. Ile strachu musiał przeżyć ten
mały zwierzak.

Tadek nagle zapragnął wydostać się stąd.

Usiadł na posłaniu. Bosymi stopami dotknął szorstkich desek.

Było mu źle bez Jędrka. Lubił słuchać jego równego podczas snu oddechu, dotykać
jego dłoni, włosów albo policzka. To uspokajało i dodawało otuchy.

Wyjął latarkę spod poduszki, wciągnął spodnie, narzucił bluzę i wyszedł na dwór.
Akurat w wyrwie między chmurami zażółcił się księżyc. Mur i czubki wysokich drzew

nabrały nikłego, zielonkawego odblasku.

Dziwnie wyglądał świat. Był taki tajemniczy i nieprzyjazny.

Z jakimś żalem pomyślał o Gietku. To już nie był ten sam przyjaciel, co kiedyś. Miesiące rozłąki zrobiły swoje. Dawniej z trudem rozstawali się wieczorem. Zawsze mieli sto rzeczy do opowiedzenia sobie. A teraz Gietek wolał grać na organkach, zapomniał o nim. Tadek, słuchając ich muzyki, czuł się nieszczęśliwy. Tymi organkami odgradzili się od niego, zresztą może nie tylko od niego.

Rozdział 12

Zarzucił wędkę i siedział patrząc na leniwie kołyszący się spławik. Słońce już ciążyło ku zachodowi. Woda w rzece pociemniała nieco, nabierając niebieskiej, głębokiej barwy. Patrzył, jak wokół spławika tworzą się małe wiry i wyrzucają nikłe plamki piany. Wikliny były nieruchome. Cisza aż przenikała w głąb mózgu. Najłżejszy powiew nie poruszał gałązkami. Sam też zachowywał się cicho, by nie mącić tego przedwieczornego spokoju. Bose stopy, do połowy zanurzone w żółtym piachu, ścierpły od niewygodnej pozycji.

Halina i Jędrak też leżeli bez słowa tuż obok, na piasku, jak dwie olbrzymie złociste ryby. Ona miała zamknięte oczy, może nawet spała. Jędrak, wsparty na łokciach, patrzył na wodę i spławik.

Krzyk rybitwy, która musnęła nieoczekiwanie powierzchnię rzeki, zabrzmiał nienaturalnie głośno. Odprowadzili ją spojrzeniami. Leciała nad wodą, spadając od czasu do czasu jak kamień. Zanurzała dziób i głowę, zostawiając na gładkiej toni kilka zmarszczek.

Raptem spławik zniknął. Tadek czekał, aż znów wyskoczy, ale zamiast tego napięła się żyłka i wygiął czubek wędziska. Pociągnął lekko. Wędka nie drgnęła. Szarpnął mocno. Złapał za żyłkę.

— Uważaj — przestrzegł Jędrak — bo znów się urwie.

Pod powierzchnią zakipiało raptem, z dna wyskoczyły pęcherze powietrza, a potem błysnął srebrny grzbiet.

Tadek skupił całą uwagę. Serce biło mu nieznośnie, lecz palce wprawnie chwyciły żyłkę. Ryba stawiała opór, ale była coraz bliżej żółtego piasku.

Jędrak szybko wszedł do wody, pochylił się i wówczas Tadek szarpnął mocno.

Na piach wyskoczyło wrzecionowate, różowe ciało. Ryba była niezwykła. Nie miała prawie łuski, tylko trochę przy ogonie i na grzbiecie. Wzdłuż boków biegiły czerwonawe pręgi.

Szarpnął żyłkę, chcąc bardziej odsunąć zdobycz od rzeki. Zrobił to zbyt gwałtownie — żyłka pękła. Ryba odbiła się. Już końcem ogona uderzyła o wodę... I wtedy Jędrak

rzucił się na nią. Przygniótł rybę całym swoim ciałem do piachu. Tadek wsadził palce pod skrzela. Otwierała szeroko pysk, ukazując ostre, drapieżne zęby.

Teraz pochylali się nad nią we troje.

— Ogromna. I taka piękna. Puść ją — poprosiła Halina.

— Zwariowałaś chyba! Jeszcze nigdy takiej nie złapałem — oburzył się Tadek.

— Zrób to. Puść. Patrz, jak ona łapie powietrze.

— Zaraz się uspokoi — stwierdził Jędrak i sypnął na rybę garść rozgrzanego piachu.

— Wrzucę ją do wody — powiedziała.

Spróbowała wziąć rybę w dłoń, ale wysliznęła się jej, uderzając pyskiem w piach.

— Wrzucicie ją! — krzyknęła. — To okropne!

Patrzyli obaj na siebie.

— Prędszej! Na co czekasz? — szarpnęła Tadek za ramię.

Ryba biła o piach ogonem. Wyskakiwała w powietrze i padała znów bezradnie, nieruchomiejąc na chwilę.

Wreszcie schylił się, chwycił ją mocno i cisnął z rozmachem w wodę.

— Głupi! — wrzasnął Jędrak i skoczył do rzeki.

Ryba zniknęła pod wodą, za chwilę wydostała się na powierzchnię. Jeszcze spróbowała zagłębić się, lecz naraz błysnął jej czerwony brzuch i tak już pozostała.

Jędrak wyciągnął ją na brzeg, położył na mokrym piachu i patrzył, czy oddycha. Nie oddychała.

— Co wyście zrobili? Zabiliście ją!

Jędrak parsknął śmiechem.

— Zwariowała! A po cośmy tu przyszli? Tylko opalać się?

— Ona była taka śliczna.

— A zobaczysz, jaka będzie smaczna.

— Ja jej nie będę jadła.

— Sami zjemy. Rozkroi się ten różowy brzuch, urżnie łeb, oskrobie...

— Przestań! — powiedział ostro, milczący dotąd, Tadek.

— Z dziewczynami nie warto nigdzie chodzić. Wszystko zepsują.

Jędrak chwycił rybę za ogon i z uśmiechem rzucił ją pod nogi Halinie.

Cofnęła się gwałtownie..

— Znow go napadło — powiedziała, patrząc wyczekująco na Tadek.

Jędrak chichocząc podszedł do ubrań, wziął swoje spodnie, kopnął z zamachem sukienkę Haliny i wkrótce zniknął między wiklinami.

— Powinieneś mu dać za to porządne lanie.

— To nic nie pomoże. Próbowałem. Z nim już nie tak łatwo. Gryzie i wrzeszczy, że słyhać na kilometr.

— Ja wiem, on nie lubi, kiedy my jesteśmy razem — mówiła.

Tadek odwrócił się i spoglądał na rzekę.

— Zazdrosny jest. Specjalnie mi dokucza. Nie chciałam skarżyć, ale gdy ty chodziłeś z wędką pod most, wziął garść piachu i sypnął mi prosto w oczy, a później śmiał się, kiedy je przemywałam w rzece.

— Jutro wyjeżdża na kolonie. Przez cały sierpień będziemy mieli spokój.

— Ciebie to niewiele obchodzi, że on mi dokucza.

— Nie potrafię go bić, a tego, co mówię, nie słucha. Odkąd jest w domu dziecka, nikogo nie słucha. Widziałas, specjalnie nosi pełne kieszenie prochu i nabojów. Chwali się tym, pewien, że nikt mu nic nie zrobi.

Spokojnie przywiązał do żyłki nowy haczyk i zaczął nakładać przynętę.

— Nie łap już więcej — poprosiła. — I tak masz całą siatkę ryb.

— Jeszcze ostatni raz.

Siadła zrezygnowana na piachu.

— A może byś chciał, żebym pojechała już do rodziców?

Położył wędkę na ziemi. Przykucnął obok niej i w zamyśleniu przesypywał w dłoniach piasek.

— Chciałbym mieć dwadzieścia lat — rzekł z odrobiną rozpaczony w głosie.

Przysunęła się do niego, położyła mu dłoń na kolanie.

— Ja też — szepnęła.

Nagle objął ją, przytulił i całował po oczach, po czole, w usta. I wówczas usłyszeli śmiech Jędrka. Stał niedaleko. Twarz wykrzywił mu grymas złości. Śmiał się, ale z oczu jego płynęły łzy. Po chwili zniknął na dobre w wiklinach.

Siedzieli teraz przygnębieni. Patrzyli przed siebie na ziemię, gdzie leżała różowa, zdechła ryba, nie śmieli spojrzeć sobie w oczy ani odezwać się.

— Pójdziemy już? — spytała, kiedy znikły ostatnie blaski słońca.

Milczał i dalej siedział nieruchomo.

— Powiedz coś — nalegała. — Ja tak nie mogę.

A kiedy i tym razem nie odezwał się, uklękła przed nim i objęła go ramionami.

— Za miesiąc skończą się wakacje i będę musiała odjechać od ciebie.

Gładził ją po włosach.

Od rzeki powiał lekki wiatr, chłodząc ich rozgrzane ciała. Wieczór był widny. Na niebie rozsiało się mnóstwo gwiazd. Wikliny teraz szemrały śpiewnie. Ledwo uchwytnie pluskała o brzeg fala. Słuchali nawzajem swoich oddechów. Czuli w dłoniach swoje dłonie. Obejmowali się mocno, jakby się bali, że coś ich może rozłączyć. Żadne z nich nie myślało o powrocie do miasta.

— Chciałabym, aby tak było zawsze.

— I ja też. Tylko nie mogę zapomnieć o Jędrku — przyznał ze smutkiem.

— Lepiej było, gdy mieszkał z tobą. On chyba nie cierpi domu dziecka, dlatego stał się taki.

— Przecież nie mogę go zabrać z powrotem. Sam nie wiem, co będę robił. Odkąd skończył się handel z wojskiem, trudno wyżyć. Próbowałem dostać jakąś pracę, ale tylko pytano wszędzie: „Nie masz rodziny? Dlaczego nie chodzisz do szkoły?”

— Przecież pilnujesz straganu i płacą ci za to.

— Co to za praca! Dwa razy w tygodniu. Wczoraj spotkał mnie ten milicjant i znów mi radził, bym zgłosił się do domu dziecka. Mówił, że lepiej zrobić to dobrowolnie, bo od września nie ma mowy, abym — jak do tej pory — mieszkał sam i nie chodził do szkoły.

— A dlaczego ty właściwie nie chcesz chodzić do szkoły? Przecież musisz kimś zostać. Ja chcę na przykład być lekarzem i leczyć dzieci. A ty?

— Ja? Nie wiem. Może milicjantem.

— Przyrzeknij mi, że zaczniesz się uczyć. Mogłabym ci teraz pomóc i poszedłbyś od razu do szóstej klasy.

— Szkoła zawsze mnie nudziła. Nie mogłem wysiedzieć w ławce. Wolałem wałęsać się po lesie, chodzić na ryby. Nie widziałem w tym całym uczeniu nic mądrego.

— Teraz jest inna szkoła. Przedtem uczyłeś się tylko pisać i czytać. Niemcom nie zależało, aby polskie dzieci umiały wiele.

— O, popatrz, płynie łódka — przerwał jej.

Rzeczywiście, blisko brzegu przesuwała się łódź z niewielką latarnią, umocowaną na dziobie. W środku stał człowiek. Wydawał się ogromny.

— Czy on nas widzi? — spytała cicho.

Łódź raptem skręciła do brzegu. Słysząc było tarcie dna o piach a potem plusk i brzęk łańcucha. Zamarli. Z łodzi wysiadło dwóch ludzi. Rozmawiali o czymś ze sobą półgłosem, a potem jeden z nich ruszył w stronę wiklin. Rozległy się trzaski łamanych gałęzi.

Tadek podpełzł na brzuchu, wziął ubrania i szybko dopadli wiklin.

— Nie zobaczyli nas? — dyszała wylękniona.

— Na pewno nie.

Podał jej sukienkę.

— Trzymaj to — rzekła.

Cofnął rękę.

— To ryba. Zabrałam ją.

Obserwowali mężczyzn na brzegu. Tam gdzie niedawno siedzieli, płonęło teraz małe ognisko. Mężczyźni krzatali się wokół niego. Zawiesili kociołek nad płomieniami i rozmawiali ze sobą półgłosem.

— To rybacy — stwierdził Tadek.

— Chodźmy już stąd — poprosiła. — Nie podobają mi się ci ludzie.

— Poczekaj — szepnął.

Nim zdołała zaprotestować, pochylony prześlizgiwał się między wiklinami, a potem wyprostował się i jak gdyby nigdy nic ruszył w stronę ognia.

Kiedy schylał się po wędkę leżącą na piachu, jeden z mężczyzn podniósł się i zawołał:

— Halo, kto tam?

Tadek, mruknąwszy coś, pośpieszył na brzeg, gdzie miał zanurzoną siatkę z rybami. Minutę później był już przy Halinie.

— Idziemy — rzekł.

Słyszeli podniesione głosy za sobą. Po chwili odbłask ognia zniknął, głosy też stały się ledwo uchwytnie. Krzaki rosły rzadziej, aż w końcu wydostali się na łąkę.

Naraz ujrzeli przed sobą małą figurkę, stojącą pośrodku ścieżki.

— Jędrak, co tu robisz? Zaczekaj! — wołali oboje.

Lecz on oddalał się szybko. Próbowali go dogonić, ale zaraz między pierwszymi domami miasta zgubili ślad.

— Ukrył się gdzieś — powiedziała Halina. — Tyle na nas czekał — dziwiła się. — Myślałam, że już dawno śpi w sierocińcu.

— Weźmiesz te ryby do siebie? — spytał.

— Nie mogę. Obiecałam ciotce, że dziś nie pójde nad rzekę. Miałam przez całe popołudnie szyć sobie u koleżanki spódniczkę — zaśmiała się cicho.

— Sam nie zjem wszystkich, zepsują się. Trzeba je szybko smażyć.

— Możesz zanieść Gietkowi.

— Tak chyba zrobię. Odprowadzę cię tylko pod dom i pójde do niego.

— Lepiej rozstańmy się na rogu. Ciotka może czekać przed domem jak wczoraj.

— Jak chcesz — zgodził się. — A jutro przyjdiesz do mnie?

— Spotkamy się nad stawem przy wierzbie. Przybiegnę tam zaraz po śniadaniu.

— Mieliliśmy pójść na jagody — przypomniał.

Przy kiosku z gazetami zatrzymała się.

— To przy wierzbie, nie zapomnij — szepnęła.

Stała blisko. Czuł zapach jej włosów, nagranych od słońca. Pochylił się i szybko pocałował ją w policzek.

— Dobranoc — powiedziała już z daleka.

Jej sandały stuknęły rytmicznie o chodnik, coraz ciszej i ciszej. Wyminął stację benzynową i już skręcał w uliczkę, przy której mieszkał Gietek, gdy usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się.

— Gdzie idziesz? — zabrzmiał głos Jędraka.

— Do Giętka, dać mu trochę ryb.

— Dobrze. Ja poczekam na ciebie przed furtką.
— Już późno. Dlaczego nie jesteś w sierocińcu?
— Wypisali mnie.
— Co?
— Wypisali mnie.
— Jak to cię wypisali?
— Zwyczajnie przekreślili czerwonym ołówkiem moje nazwisko i powiedzieli, bym poszedł, gdzie pieprz rośnie.
— Kłamiesz!
— No, to kłamię, ale więcej tam nie pójdę! Nigdy nie pójdę! Nie zmusisz mnie do tego! Jeśli każesz mi wracać, to ucieknę tak, że nikt mnie nie znajdzie.
— Ale co się stało?
— Nic.
— Przecież było ci tam dobrze.
— Dobrze — powiedział. — Co ty wiesz?! Wszystko na komendę. Wstawać, jeść, spać, robić lekcje, czytać książkę, bawić się. Nawet teraz, w czasie wakacji, tak samo.
— Zastanów się, Jędrak, w domu dziecka miałeś wszystko.
— Nic nie miałem. Rewidowali mi kieszenie. Kierowniczka wyznaczyła specjalnego strażnika, który za mną chodził jak cień. A dziś rano zabrała mi rewolwer — wybuchnął płaczem.
— Jaki rewolwer? Co ty gadasz?
— Prawdziwą belgijską siódemkę i cały magazynek z nabojami.
— Pistolet prawdziwy?
— Chyba że nie zmyślony.
— Skąd go miałeś?
Jędrak naraz umilkł.
— No, powiedz?
— Nie powiem. Nigdy nikomu! Ona też mnie o to pytała, dwie godziny trzymała w swoim pokoju i wierciła mi dziurę w brzuchu.
— Chodź. Nie pójdę do Giętka.
Ruszył przodem. Jędrak podążał bez pośpiechu za nim.
— A co z koloniami? — zapytał Tadek.
— Nic mnie nie obchodzi!
— Cieszyłeś się z wyjazdu.
— Ale już się nie cieszę. Tam byłoby tak samo. Jeść, śmiać się i spać na gwizdek. Odjeżdżają jutro o ósmej rano. Specjalnie dzisiaj uciekłem, aby mnie nie zmusili do wyjazdu.
— Co ci strzeliło do głowy? Rozumiesz chyba, że w piwnicy nie będziemy mogli

mieszkać. Kiedy tylko zaczną się deszcze jesienne, zaleje nas. Nawet teraz w nocy z zimna szcękam zębami. A co zrobić w zimie? Poza tym słyszałem...

— Nic mnie nic obchodzi, co ty słyszałeś i co wiesz. Tam nic wrócę za skarby świata. Będę mieszkał chociażby sam i nie bój się, poradzę sobie. Potrafię handlować nie gorzej od ciebie. O, pomacaj, ile mam pieniędzy. — W mroku zaszeleścił banknotami. — Wiem, gdzie jest ogromny magazyn broni i amunicji, ukryty tak, że nikt tam nie trafi, nikt nie odszuka. Znalazłem go przypadkowo. I te pieniądze to też...

— Chyba nie handlujesz bronią?

— A właśnie handluję. I starczy mi towaru jeszcze na bardzo długo. Tam są całe skrzynie wszystkiego. Lecz nawet tobie nie pokażę. Nikt nie może się dowiedzieć. O, zaraz by rozdrapali.

— Ty chyba straciłeś rozum? Za takie rzeczy grozi straszna kara. A poza tym nie umiesz się z tym obchodzić. Byle jakiś nieostrożny ruch...

— Bądź spokojny. Potrafię lepiej od sapersa rozebrać pistolet, rozkręcić granat.

— Chyba tego nie robisz?

— A właśnie robię.

— I po co ci to?

— Żebyś ty wiedział, jakie to ciekawe. Pamiętasz te zapalniki, które miał Jasio Mróz?

— Poczekaj, tu gdzieś mam latarkę — powiedział Tadek.

Zbliżył się do stosu cegieł i po omacku zaczął szukać. Naraz ktoś stanął przy nim.

— To ja — zabrzmiał głos Haliny. — Przyniosłam ci szarlotkę.

— Jest Jędrak — powiedział.

Zaświecił latarką, ale Jędrka nie było. Oświetlał każdy kąt, załamane ściany. Wybiegł na ulicę. Szukał za drzewami. Wołał. Jędrak jakby rozplynął się w mroku. Już zawracał w stronę piwnicy, gdy w oddali błysnął słup ognia i rozległa się potężna detonacja.

Tknęło go jakieś złe przeczucie. Nieprzytomny puścił się w tamtą stronę.

Kiedy nadbiegł, akurat zza rogu wyszedł patrol milicyjny. Ujrawszy Tadka, jeden z nich szybko podszedł i rzucił ostro:

— Co to było?

— Nie wiem — odparł.

— Nie kłam!

— Nie wiem.

— Rzuciłeś granat?

— Nie miałem żadnego granatu. To nie ja.

— A kto?

— Myślałem, że to...

— Zrewiduj go — powiedział drugi.

Milicjant, bez ceremonii, silnymi dłońmi dokładnie i boleśnie obmacywał go od szyi aż do stóp.

— Nie ma nic przy sobie — stwierdził wreszcie. — Ale trzeba go zabrać na posterunek. To pewnie jeden z tych pirotechników, którym życie niemiłe.

— Ja naprawdę... nie strzelałem. Nic nie wiem.

Och, jaką miał chęć opowiedzieć o Jędrku, o tym jego magazynie. Niechby go złapali i wzięli w obroty. Musiałby im wyjawić wszystko.

— No, to posiedzisz sobie. Wsadzimy cię do celi, nie dostaniesz jeść ani pić, to szybko przypomnisz sobie, jak było z tym wybuchem.

Nagle stracił całą chęć tłumaczenia się. Tracony lekko ruszył przodem jak aresztant. Milicjanci rozmawiali między sobą i jakby zapomnieli o nim.

Szedł wolno. Już zobaczył światła w komendzie milicji, ale nie przejął się całą tą przygodą. Mogą go wsadzić, do jakiej tylko chcą celi. Skręcili w bramę, kiedy naraz ujrzał Jędrka. Zachodził z boku, śpiesznie, tak aby przeciąć Tadekowi drogę.

— Co tu robisz? Uciekaj stąd! — krzyknął Tadek.

— Puśćcie go! To nie on strzelił — rzekł Jędredek.

— Wynoś się do domu! — Tadek podbiegł do niego.

Ale Jędredek zamiast uciekać przypadł do milicjantów.

— To ja rzuciłem trzy zapalniki. O, takie jak ten, zobaczcie. On jest niewinny. Boi się takich rzeczy.

— Pokaż no — milicjant oświetlił Jędrka, chwytając go jednocześnie mocno za rękę. Ten aż syknął z bólu. Milicjant wziął ostrożnie zapalnik.

— Masz takich więcej?

— A mówiłem, uciekaj! — gniewnie powiedział Tadek.

— Gdzie rodzice?

— W grobie! — mruknął ze złością Jędredek.

— On jest w domu dziecka. Nie mamy rodziców.

— W takim razie dlaczego jeszcze nie śpi? Marian, zaprowadź ich. Tylko pilnuj, by ci się ptaszki nie wymknęły. A temu trzeba dać nauczkę.

Błyskawicznym ruchem uniósł Jędrka w górę i ciszę ulicy rozdarły jednocześnie krzyk i siarczyste kłapnięcia.

Tadek rzucił się i wpił zębami w rękę milicjanta.

— O, gryziesz!

Milicjant puścił Jędrka i chciał złapać Tadeka za ramię, lecz ten wyniósł się i skoczył na jezdnię. Słyszał za sobą dudnienie kroków.

Kiedy zmęczony zwolnił, zobaczył, że uliczka jest pusta. Ukrył się za drzewem. Słuchał uważnie. Nie było widać ani milicjantów, ani Jędrka. Ostrożnie podszedł do rogu. Tu również panowała cisza. „A może Jędredek też uciekł i teraz czeka w piwnicy?”

Rozdział 13

Tadek!

Mieszkam nad samym morzem. Przez okno widzę olbrzymie fale zalewające plażę. Wcale nie nudzę się tutaj. Kąpię się kilka razy dziennie. Zbieram bursztyny i kolorowe meduzy. Blisko też jest las, ale nie wolno tam chodzić, bo jeszcze są w nim miny. Jednak fajnie jest w domu dziecka.

Czytał kartkę chyba już z dziesięć razy. Wyobrażał sobie morze błękitne, ciągnące się hen, nieskończenie, aż za najdalszy horyzont, fale rozplywające się na złotym piachu plaży i doznawał mieszanych uczuć radości i tęsknoty.

Jędrak odjechał bez pożegnania. Po prostu nazajutrz rano przypilnowali go, aby nie oddalał się nigdzie. Przez dwa tygodnie milczał i dopiero teraz przysłał kartę. Był to pierwszy list, jaki Tadek otrzymał w życiu.

Siedział na pieńku służącym do rąbania drzewa i patrzył na ogród. Wszędzie widział ślady kończącego się lata: dojrzałe jabłka i gruszki, przywiedle nieco liście chwastów zarastających większą część ogrodu.

Od tygodnia wiodło mu się źle. Zapasy żywności wyczerpały się doszczętnie. Miał tylko tyle, co w ogrodzie. Wydał też ostatnie złotówki.

Gietek wyjechał z matką na wieś. Obiecał zaprosić go do siebie. Mieli chodzić nad rzekę, do lasu i na pastwiska. Bardzo liczył na Gietka. Ale mijały dni i tygodnie, przyjaciel się nie odezwał.

Halina też odjechała. Któregoś dnia zjawili się jej rodzice i zabrali ją od ciotki.

Gotował sobie akurat kartoflanekę na obiad, kiedy sfrunęła po drabinie i zadyszana, zapłakana przypadła do niego.

— Zabierają mnie. Wyjeżdżam. Przyślę ci adres. Muszę tu wrócić! Albo ty tam przyjedziesz! Pisz do mnie często, a i ja będę pisała.

Nie zdążył nawet jej odpowiedzieć. Dotknęła jego ręki. Nawet nie uścisnęli sobie dłoni i już wybiegła. Po jej wyjściu siedział zdruzgotany.

Został sam.

Z miasta wyjechali prawie wszyscy. Ulice, i tak ciche, teraz opustoszały zupełnie.

Zerwał gałązkę dzikiej mięty. Wąchał ją, rozcierał w palcach i na nowo próbował sobie wyobrazić morze. Dni do końca wakacji wydawały mu się nieskończenie długie. Chciałby teraz biec z Jędrkiem po ciepłym, czystym piachu plaży na spotkanie wysokiej morskiej fali.

Wstał z pieńka. Z jabłunki spadło duże czerwone jabłko i wylądowało blisko niego w pokrzywach. Nawet nie schylił się, by je podnieść. Nic go dziś nie cieszyło. Odczuwał dotkliwie swoją samotność.

Poza tym prześladowała go natrętna myśl. Parę dni temu zjawił się u niego siwo-włosy mężczyzna i zaczął go namawiać, aby poszedł do domu dziecka. Początkowo Tadek w ogóle nie chciał o tym słyszeć, mężczyzna jednak tłumaczył mu cierpliwie, że dalej tak mieszkać nie może, że musi chodzić do szkoły, tak jak wszystkie dzieci w Polsce.

— Lepiej zrób to sam i dobrowolnie — mówił. — Od września, czy chcesz, czy nie, i tak musisz pójść do domu dziecka.

Powiedział, że jest opiekunem właśnie nad sierotami i jego obowiązkiem jest zadbać, aby każde dziecko uczyło się.

Przekonał chłopca, że tak będzie lepiej, ale Tadek nie przyznał mu głośno racji. Słuchał z pochmurną twarzą cichego, lecz stanowczego głosu mężczyzny, unikając jego wzroku. Dziwne miał oczy ów człowiek — duże, bladoniebieskie i tyle promieniowało z nich ciepła, iż trudno było nie uśmiechnąć się i nie zgodzić z tym, co mówił.

Od owego dnia Tadek dwukrotnie przechodził obok domu dziecka, zaglądając przez parkan. Okna i drzwi domu były pootwierane, widział malarskie drabiny, robotników w kombinezonach, spiętrzone łóżka. Gruntownie remontowano budynek. Świeży zapach farby niósł się aż na ulicę.

Ugniatł gałązkę mięty w soczystą, pachnącą kulkę. „Co powie Jędrak, kiedy się dowie, że i ja... A Gietek? I Halina? Właściwie jak wygląda morze, gdy się na nie patrzy?”

Widział morze w filmie i na zdjęciach, ale zwykle było ono ciemne lub szare. W willi doktora wisiał obraz przedstawiający prawdziwe morze. Woda sfalowana lekko, widoczna spoza rzadkiej mgły poranku, miała błękitnozielonkawy kolor. Blask słońca tak przenikał przez fale przydymione tą mgłą, że tworzyły lekką grę barw i światła. Chętnie patrzył na obraz. To sprawiało mu radość.

Od tamtej pory została w nim, ukryta głęboko, tęsknota do morza. Jędrak swoją kartą jeszcze ją odnowił.

Spoglądał wokoło. Tu horyzont był bardzo blisko, za niedalekimi drzewami i domami, za wypaloną ścianą. Nie cieszyła go nawet zieleń. Dziś wydawała się ona przyru-

działa. Niebo też pochyliło się nisko. Wydłużone chmury tworzyły jednolite sklepienie z nielicznymi tylko przerwami, przez które nagle, na krótko, padał słoneczny blask.

A tam świeci cały czas słońce. I piasek jest gruboziarnisty, przyjemny w dotyku, tak jak w niektórych miejscach nad Wisłą. A kiedy się idzie po nim boso mokrym brzegiem, zapada się nieznacznie pod stopami, skrzypi cichutko i chłodzi rozgrzane nogi; wystarczy stąpnąć krok dalej, już jest suchy, przesypujący się i ciepły.

Z zielonej miętowej kulki wypłynęła już resztką soku, palce pachniały miętą. Akurat wyszło na chwilę słońce. Chciał udać się w głąb ogródka pod ulubiony krzak agrestu, gdy usłyszał za sobą donośny głos:

— Dzień dobry, kuzynie.

Odwrócił się. Blisko piwnicy stał uśmiechnięty ów krewny, którego widział parę miesięcy temu.

— Zapomniałeś już chyba o mnie?

Mężczyzna miał ogorzałą twarz, wesołe oczy i włosy prawie siwe od słońca.

— Przyjechałem do miasta z towarem. Sprzedałem, co było, i pomyślałem: wpadnę do kuzyna — zaśmiał się. — Koso patrzyłeś na mnie wtedy, nie wydawałem ci się godnym krewniakiem. Ale odwiedzić nie szkodzi. Oczywiście nie z pustymi rękami, przywiozłem gościńca.

Tadek zobaczył w jego ręku wiklinowy koszyk.

— A gdzie Jędrzek?

Poczuł w sercu dziwne ciepło. „Zapamiętał imię”.

— Już od dawna w sierocińcu. A teraz przysłał mi kartkę znad morza. O, proszę posłuchać.

Aż unióś się na palcach, kiedy czytał:

— *Mieszkam nad samym morzem. Przez okno widzę, olbrzymie fale zalewające plażę.*

Gdy skończył czytać, szybko spojrzął na mężczyznę. Ten uśmiechnął się, ale z odrobiną smutku. W jego oczach Tadek widział także tęsknotę. Był pewien, że i on przez ułamek sekundy zapragnął być tam, nad tą wielką, błękitną wodą. I odczuł tkliwość dla tego człowieka.

— Zaraz przyniosę panu krzeselko.

— Nie fatyguj się, Tadek. A do mnie mów: wuju.

Ale Tadek zbiegł do piwnicy i przyniósł najlepsze krzesło. Ustawił je na cementowym fundamencie.

— O, wyłóż to na tej skrzynce — wuj podał mu koszyk. — Trochę sobie zjemy, a reszta zostanie dla ciebie.

W środku znajdował się ser, sucha kiełbasa, wiejski chleb pieczony na chrzanowym liściu, osełka masła też owinięta w chrzanowy liść i spory kawałek solonej słoniny.

— Masz jakąś wodę? Okrutnie chce mi się pić. I Danuśka też spragniona.

— Mam kompot, tylko bez cukru — powiedział.

— Przynies. Kwaśny lepiej gasi pragnienie. Weź też wiadro, to napoimy konia — usłyszał, gdy był już w piwnicy.

Wniósł garnek z kompotem, kubek i wiadro.

— Niech wuj odpocznie. Ja sam konia napoję.

— Uważaj tylko, bo lubi szczypać. Krzywdy nie robi, ale przestraszyć może.

Złapał wiadro i pobiegł na ulicę. Na schodkach o mało nie przewrócił dziewczyny z długimi czarnymi warkoczami, ubranej w czerwoną sukienkę. Stali naprzeciw siebie zaskoczeni. Ona była czerwona jak jej suknia, a i on czuł się zakłopotany nagłym spotkaniem.

— Ach, to ty jesteś Danuśka? — odezwał się pierwszy. — A ja myślałem, że to koń.

— Koń? No, wiesz — popatrzyła na wpół obrażona.

— Poznajcie się, pocałujcie — rozległ się z tyłu głos. — Jesteście kuzynami.

Dziewczyna wyduła wargi, prychnęła i ukryła się za furmanką. Tadek widział tuż za kołem wozu tylko jej opalone na brązowo nogi, obute w czerwone sandały.

Podbiegł do studni i energicznie pompował wodę. Jeszcze prawie musującą podsunął pod koński pysk. Koń szarpnął się, lecz Tadek, uprzedzony, tylko uchylił nieco głowę i koń zadowolony ze swego żartu, chciwie zanurzył chrapy w wodzie.

Wiadro było coraz lżejsze. Tadek patrzył ze zdumieniem, jak szybko znika zawartość. Pierwszy raz poił konia. Dotknął wolną ręką grzywy. Koniowi lekko zadrgała skóra, ale pił dalej. Głaskał teraz zwierzę pewnym, spokojnym ruchem.

— Ładny koń, co? — spytał wuj Michał. — To nasz dobroczyńca i żywiciel. Gdyby nie on, z głodu byśmy na tamten świat powędrowali. Pracował na nas całą wojnę.

Wuj Michał lekko poklepał konia po karku. Ten spojrział wielkimi, wypukłymi oczami na swego gospodarza. Wyglądało to, jakby porozumiewali się wzrokiem.

— No, chodź, Danusiu, zjemy coś, bo niedługo będzie pora wracać.

Kiedy znaleźli się na podwórzu, Tadek zauważył, jaka jest zaskoczona. Spoglądała na jedyną popękaną ścianę, na ułożone stosy cegieł, na bujnie zarośnięty ogród.

— Gdzie ty śpisz? — spytała.

— Tam — wskazał piwnicę.

Ostrożnie, z widocznym niedowierzaniem podeszła do otworu.

— Tu? — zagadnęła patrząc w dół.

— A co się tak dziwisz?

— Ja bym tam nie weszła za skarby świata.

— Nikt cię do tego nie namawia.

— Stęchliznę czuć aż tutaj.

— A ty mieszkasz lepiej?

— Pewnie. Nasz dom spłonął, ale zatrzymaliśmy się u rodziny.

— Gdzie?

— W Łagowie. Byłeś tam?

— Nie, ale słyszałem.

— No, to jak, Tadek, budujemy się do spółki?

Uczuł na swoim ramieniu ciężką rękę.

— Fundamenty są dobre, zdrowe, cegiel też ocalało sporo.

— Wuj chyba żartuje z tą budową?

— Gdybyś się zgodził, jeszcze w tym miesiącu moglibyśmy się zabrać do roboty. Mam dwóch braci murarzy, a ja jestem z zawodu stolarz. Kryłem w swoim życiu również dachy, kopałem studnie. Czego człowiek nie robił.

— Jeśli wuj chce naprawdę...

— Zgadzasz się?

— Zgadzam. — Patrzył na zadowoloną twarz kuzyna i był rad ze swej decyzji. Właściwie co mu przeszkadza. Sam i tak by nigdy nie postawił domu, a jeśli znajdzie się dla niego pokój...

— Jadąc zastanawiałem się, jak z tobą rozmawiać, no a teraz już nie potrzeba żadnych dyplomacji. W domu będzie miejsce i dla ciebie, i dla Jędrka.

Danusia przygotowywała zimny obiad. Kroiła chleb, kiełbasę, ser. Spoglądał na jej zwinne, smukłe ręce. Jeszcze nie widział tak szybkich, zgrabnych dłoni. Wykonywała dwie czynności jednocześnie. Wuj Michał uchwycił ten jego wzrok i odgadł, bo powiedział:

— O, a gdybyś wiedział, jak ona haftuje! Igła w jej palcach tylko miga. Wszystko potrafi uszyć. Będzie z niej tęga krawcowa.

— Nie pleć, tato. Ani mi się śni szyc komuś kiecki i portki. Zostanę nauczycielką.

— Też sobie ubzduriała.

Jedli kanapki posypane szczypiorkiem, który Danką narwała obok, w ogródku, i popijali kwaśnym kompotem.

— Teraz w polu mamy spokój — podjął wuj Michał. — Do wykopków nie ma co robić. Za dwa, trzy dni przyjadę, przywiozę trochę narzędzi, no i zaczniemy budować.

Tadek popatrzył bez przekonania na cegły.

— O, nie bój się. Wszystko przemyślałem. Już rozmawiałem o materiałach. I pieniądze się znajdują, skoro zgodziłeś się.

Wuj Michał wyjął z kieszeni stolarski metr, mierzył fundamenty i w skupieniu notował coś ołówkiem na kawałku papieru.

— Będiesz jeszcze jadł? — zagadnęła Danką, kiedy skończył czwartą kromkę.

— Chyba nie — zawahał się.

— W takim razie gdzie ci to schować, aby jakiś kocur nie zjadł?

— Trzymam wszystko w tamtym garnku glinianym, z tą ciężką pokrywą.

— Dlaczego nie w piwnicy?

— W piwnicy szczury by zjadły. Przed nimi trudno cokolwiek uchować.

— Szczury? Och, nie mów mi nawet o nich. Okropnie się brzydę.

— Chodźmy do ogrodu — powiedział.

— Co to za kwiaty? Kto je tu sadił? — dotknęła wielkich czerwonych kielichów rosnących wzdłuż ścieżki. — Ty sadiłeś?

— Nie.

— A kto? Jędrak?

— Nie.

— Dlaczego jesteś taki tajemniczy?

— Nie wszystko jedno, kto to sadił?

— Mnie to interesuje. Kwiaty są śliczne, ale kto je sadił?

— Znajoma.

— Jaka znajoma?

— Jedna taka.

— Sąsiadka?

— Nie sąsiadka.

— Starsza?

— A coś ty taka wścibska?

— Ja i tak wszystko wiem — uśmiechnęła się ironicznie i pokiwała głową.

— Co ty możesz wiedzieć?

— Och, jak ładnie pod tym agrestem! Chyba często się tu opalasz? Nawet koc rozłożony. — Siadła przy krzaku. — A co to wisi? Na czerwonej wstążce niebieski grzebyk. Ty go tutaj przyczepiłeś?

Tadek stał ze spuszczoną głową jak skazaniec. Przed jej ślepiami nic się nie mogło ukryć.

— Jak ona ma na imię?

— Europa! — rzucił z gniewem.

— Nie wygłupiaj się. Na pewno Halina.

Aż otworzył usta.

— A widzisz, czuję, że zgadłam. No, siadź tu przy mnie i opowiedz mi o niej. A jeśli nie chcesz, to powrózę ci z ręki.

Nim zdołał zaprotestować, wzięła go za rękę.

— O, jaka dziwna linia — zaczęła. — Czeka cię bardzo długie i trudne życie...

— Pleciesz bzdury! — zamknął dłoń.

Wyprostowała mu palce.

— Nie wierzysz we wróżby? Nauczyła mnie odgadywać przyszłość stara Cyganka. Podczas frontu siedziała z nami dwa miesiące w schronie. Na dworze była strzelanina,

aż ziemia trzęsła się od wybuchów, a ona mnie uczyła.

Końcem wskazującego palca powoli prowadziła po zagłębieniach jego dłoni.

— Będiesz w życiu cierpieć więcej niż inni. Niedługo czeka cię wielka zmiana...

Tym razem na dobre uwolnił rękę.

— Takie głupstwa gadać potrafi każdy!

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Ja naprawdę umiem wróżyć.

Zaśmiała się kpiąco.

Naraz wtuliła głowę między kolana i rozplakała się.

— Nie chciałem nic złego! — zawołał. — Żartowałem, tak jak i ty.

— Ja wcale nie żartowałam. Mówiłam ci prawdę. A ty mnie tak nie lubisz.

— Ja ciebie nie lubię? Skąd ci to przyszło na myśl?

— No, to siądź tu bliżej.

Popatrzył w kierunku domu. Zobaczył wuja mierzącego wciąż fundamenty. Dotknął jej pleców. Drżały nieznacznie pod jego palcami.

— Nie gniewaj się — szepnął.

— Chciałam ci powróżyc, ale sama przeraziłam się, że będziesz miał takie okropne życie.

Przeniósł wzrok z jej szyi na krzak agrestu. Przypomniał sobie, jak na parę dni przed odjazdem Halina zawieszała ten grzebyk. „On będzie ci mnie przypominał” — powiedziała. Wtedy agrest był jeszcze zielony. Niektóre tylko jagody, wychylone hardziej do słońca, nabierały złotawego połysku. Teraz dojrzały wszystkie. Zmieniły się w różowe krople wygrzanego przez słońce soku, zamkniętego w przeźroczystej skórce. Nie zrywał agrestu z tego krzaka. Czekał, aż wrócą Halina i Jędrak.

Drgnął uczuwszy na dłoni ciepłą i mokrą od łez rękę.

— Już nie będę ci wróżyć.

Popatrzył na nią.

Oczy miała zaczerwienione, a na rzęsach jeszcze wisały łzy.

Rozdział 14

Tadek czekał już bardzo długo. Nogi mu zdrętwiały od siedzenia na twardej ławce.

Dawno minęła piąta po południu. Już słońce zawisło nad lasem, naprzeciw drewnianej wieży triangulacyjnej. Tam zwykle chowało się, zabarwiając szczyty drzew i samą wieżę na różowo.

Stacja była pusta, gdzieś tylko, w odległym jej końcu, posapywał parowóz. Prócz siwowąsęgo, starszego kasjera, drzemiącego przy stole, nie zauważył ani jednego kolejarza czy pasażera.

— A może dziś nie będzie pociągu — powiedział.

Powieki pod siwymi brwiami uniosły się i wyjrzały spoza nich wypukłe, zmęczone oczy.

— Będzie — rzekł. — Tylko musisz być cierpliwy. Tory są zniszczone i dlatego zdarzają się opóźnienia. Po tamtej wojnie tak samo było.

Znów powieki opadły.

— A na kogo ty tak czekasz? — spytał nie patrząc.

— Na brata. Dziś wraca z kolonii. Był nad morzem z całym domem dziecka. Przysłał mi stamtąd dwie pocztówki.

— Aż dwie? — znów powieki się podniosły.

— Tak.

— No, to dobry brat. Ja mam brata w Ameryce, to przez dwadzieścia lat przysłał mi tylko jeden list. Widzisz, różni są bracia.

Znów powieki opadły.

— A ile on ma lat?

— Osiem skończył.

— Osiem skończył czy dziewięć zaczął?

Tadek zawahał się, wzruszył ramionami, nie odpowiedział.

— A ty dlaczego nie byłeś z bratem? Znasz już morze?

— Ja nie jestem z domu dziecka.

— Nigdy nie kąpałem się w morzu, a miałem na to wielką ochotę — mówił kolejarz.

— Teraz już jestem za stary, ale przed wojną prowadziłem parowóz i często jeździłem na Hel, właśnie latem, gdy plaże były obleżone przez nagusów. Ale zwykle przyjeżdżałem taki śpiący po trzynastu godzinach nocnej pracy, że kładłem się w dyżurce kolejowej i spałem jak zabity. Chyba ze dwa razy byłem tylko na plaży. Zdjąłem kamasze, zanurzyłem nogi do kostek i znów trzeba było siadać na parowóz i wracać. Całą noc jechałem i myślałem o tych plażach, obiecując sobie następnym razem spędzić chociażby jeden dzień tak jak inni.

Tadek czekał przekonany, że usłyszy coś więcej, lecz kolejarz umilkł. Chłopiec zastanawiał się przez chwilę, czy kasjer śpi, czy nie śpi, wreszcie po cichu odszedł. Postanowił jeszcze raz wyjrzeć na peron.

I wtedy usłyszał jednocześnie — bardzo odległy gwizd lokomotywy i dzwonek telefonu w głębi stacji. Wybiegł szybko aż na tory. Stał między szynami, osłonił oczy, patrzył. Nie było nic widać. Przyklękął i przyłożył ucho do szyny. Coś bardzo nieuchwytnego drżało w jej wnętrzu.

Wkrótce też zjawił się na peronie kolejarz. Ziewał, przeciągał się, wierzchem dłoni przecierał oczy.

— No i doczekałeś się brata.

Spojrzał dookoła.

— Tylko ty jeden przyszedłeś, a przecież w domu dziecka mieszka cała hurma.

Pociąg ogromniał i rósł.

— Odsuń się! — krzyknął kolejarz.

Tadek odskoczył. Hucząc i sycząc parą, przejechała lokomotywa, a za nią — raz, dwa, pięć wagonów. Dwa osobowe, trzy towarowe, każdy w innym kolorze. Jędrka zobaczył natychmiast. Wychylony do połowy z okna wołał coś, machał rękami, śmiał się. Teraz Tadek biegł przy nim. Coś zaciskało mu gardło. „Miesiąc — myślał — to okropnie dużo”.

Kiedy pociąg zamarł, Jędrka wyrzucił swój worek prosto na peron, potem podał Tadekowi paczkę, mówiąc: — Ostrożnie. — I zwinnie wyskoczył przez okno.

Dookoła zaroilo się. Wsiadło kilkadziesiąt chłopców i dziewczynek. Każde trzymało w ręku tobołek, niektóre po dwa. Tadek wziął bagaż Jędrka.

— To idziemy — powiedział.

Nawet się nie przywitani. Jakoś niezręcznie im było całować się, podawać ręce. Stali tylko jeszcze chwilę naprzeciw siebie, uśmiechając się.

— No, chodź — przynaglał Tadek.

— Poczekaj, nie mogę. Muszę razem ze wszystkimi.

— Jak to — zdziwił się — nie pozwolą ci?

— No, pewnie, że nie, każdy musi trzymać się grupy.

Na peronie formowały się szeregi. Chłopcy osobno, dziewczyny osobno.

Tadek trzymał rzeczy Jędrka i czekał, przyglądając się wszystkiemu. Jędrak przyłączył się do grupy kolegów, śmiał się, coś opowiadał, wymachując jak ptak ramionami, a potem stanął w rzędzie z innymi. Wychowawcy sprawdzali listę obecności, a potem wszyscy ze swoimi bagażami, nie opuszczając kolumny, ruszyli do miasta. Droga prowadziła przez pola i młody, brzoźowy las.

Tadek zrównał się z Jędrkiem.

— Mam ci sporo do opowiadania. Musisz przyjść do mnie. Zobaczysz, jakie zmiany nastąpiły.

— Dziś chyba już za późno. Zaraz będzie kolacja, i do łóżek. Jechaliśmy całe dziesięć godzin.

— Szkoda — powiedział Tadek.

W tym momencie podszedł do nich wychowawca. Przyjrzał się Tadekowi i zapytał dosyć podejrzliwie:

— A co ty tu robisz?

— To mój brat — odezwał się Jędrak.

Wychowawca przyjrzał się Tadekowi jeszcze uważniej.

— Ty się nigdy nie strzyżesz? — zagadnął.

Tadek spuścił oczy. Był zły. Słowa wychowawcy zwróciły na niego uwagę kilkunastu chłopców. Słyszał chichoty i jakieś uwagi. Był przekonany, że śmieją się z niego.

— Skoro nie możesz dzisiaj, w takim razie przyjdź jutro — powiedział do Jędrka.
— A ja pójdę tędy, skrótem.

Jędrak wziął swoje rzeczy i chętnie obiecał zjawić się nazajutrz.

— Przywiozłem ci coś — powiedział.

Ale Tadek wszedł już między brzoźki. Ukryty za nimi, długo patrzył za odchodzącymi. Jędrak nie obejrzał się ani razu. Rozmawiał z sąsiadem i to go pochłaniało całkowicie.

Tadek urwał gałązkę brzoźową i ze zdenerwowania uderzył się nią lekko po policzku. Wcale nie chciał iść skrótem. Po prostu nie mógł iść z nimi. Czuł się obcy. Ale nie tylko wobec tych — uśmiechających się nie wiadomo z czego — chłopców. Nie poznał Jędrka. Zajęty swoimi sprawami, ledwo Tadka zauważył.

A on cieszył się już od wczoraj. Nad ranem nie mógł spać. Zerwał się pierwszy, wziął taczkę i pojechał po piasek. Kiedy wrócił, wuj Michał dopiero wygrzebał się z pościeli. Stał jeszcze zaspany na podwórzu i patrzył na sunące nisko chmury.

— Coś ty taki ranny ptaszek? — spytał.

— Wuj zapomniał? Przecież dziś wraca Jędrak.

— Nie zapomniałem, ale to dopiero pod wieczór. Przyprowadź go od razu tutaj. Musi zobaczyć, jak się buduje dom.

— Przyprowadzę na pewno.

Pełen zapału zabrał się do rozpalania ognia i gotowania kawy. Cały dzień upłynął mu w podnieceniu. Ciekawy był, co powie Jędrak, kiedy nagle zobaczy, jak bardzo podrosły ściany domu.

Wuj po długim namyśle zdecydował się budować na tych samych fundamentach. Sprowadził do pomocy dwóch braci i wynajął jeszcze dodatkowo murarza. We czterech przystępowali do pracy o świcie, a kończyli po ciemku, robiąc tylko niezbędne przerwy na drugie śniadanie i później obiad.

Tadek gotował, nosił wodę, mieszał zaprawę i woził z wyschniętego strumienia gruboziarnisty piasek. Teraz nie musiał troszczyć się o chleb — wszystkiego było pod dostatkiem. Wuj postanowił do zimy zakończyć budowę, nie szczędził więc swoich sił, poganiał innych. Co dwa dni zjawiała się ciotka, przywożąc zapasy żywności, a z nią przyjeżdżała niekiedy Danką. Wówczas zawsze starali się oboje wymknąć gdzieś dalej, aby móc spokojnie ze sobą porozmawiać.

Kiedy Tadek wyszedł z brzeziny, między drzewami mocno poszarzało. Wypogodzone pod wieczór niebo wypełnione było nikłym, różowym światłem.

Odkąd zaczął rosnąć dom, inaczej patrzył w przyszłość. Postanowił zabrać Jędrka z sierocińca i o tym chciał z nim na gorąco porozmawiać. Wiedział, że podobało mu się nad morzem, ale to co innego być na wakacjach, bawić się i kąpać, a zupełnie co innego mieszkać w domu dziecka. Pamiętał dobrze ten wieczór, kiedy, wracając z Haliną z nad rzeki, spotkali go czatującego na nich przy wiklinach.

Czuł żal do Jędrka. Przecież mógł odłączyć się od gromady. Ostatecznie nikt by mu nic za to nie zrobił. Pragnął tego tym bardziej, że Jędrak wydał mu się teraz jakiś o wiele poważniejszy. Zwiedził taki kawał Polski, widział inne miasta.

Jeszcze raz spojrzął na drogę, ale chłopcy już dawno znikli za pierwszymi zabudowaniami.

Nie chciało mu się wracać do domu. Zaraz za brzozowym laskiem skręcił w prawo i podążał ścierniskami do jaru. Stąpił ostrożnie. Sztywne źdźbła kłuły go w stopy. Ostatnio zajęty pracą rzadko miał okazję zaglądać tutaj.

Skończyły się ścierniska i szedł teraz po łące. W kilku miejscach przecinały ją okopy. Uważał, aby nie wpaść do któregoś z nich. Zarośnięte bujnym zielskiem tworzyły niebezpieczne pułapki. Wreszcie wspiął się na wzgórze i siadł na pniu po ściętej sośnie. Objął spojrzeniem całą okolicę.

Już znikło różowe światło rozjaśniające niebo. Brzozowy las nie jaśniał bielą, ale przypominał czarną ścianę. Jeszcze najwidniej było nad ścierniskami.

W dole przed sobą miał wąwóz, jak zwykle mroczny. Wiatr nieznacznie szamotał gałęziami rosnących tam krzaków i drzew, wywołując nieustanny pomruk. Od łąk ciągnął

zapach zwiędłych ziół.

Nie chciało mu się wstawać z pnia. Opanował go smutek. W czasie samotnych wędrówek po okolicy często odwiedzał to miejsce. Tu mógł śpiewać głośno swoje ulubione piosenki, aż echo niesło się hen, po polach. Nikt go nie słyszał. Czuł się taki wolny i nieskrępowany jak nigdy i nigdzie. Ale dziś nie miał ochoty śpiewać.

Zapadające ciemności jakoś niepokoiły go. Od wąwozu wiało chłodem. Podążał — połną drogą, bardziej wyczuwając niż widząc wąską, zarośniętą trawą ścieżkę.

Pod lasem zobaczył blask niewielkiego ogniska i na jego tle ludzkie sylwetki. „Pewnie chłopcy pasący konie pieką ziemniaki” — pomyślał. Chwilę patrzył w tamtą stronę. Chętnie poszedłby i posiedział przy ognisku, ale oczywiście nie zrobił tego. Koniarze nie lubią, kiedy ktoś nieproszony zagłada do nich. Są podejrzliwi. Mają swoje sprawy i nie chcą wtajemniczać w nie obcych. Kiedyś próbował nawet zbliżyć się, lecz przyjęli go nieżyczliwie.

W oknach domów migotało światło lamp naftowych, na ulicach było pusto. Na podwórze dostał się przez parkan.

— To ty, Tadek? — usłyszał głos wuja.

— Tak.

— A gdzie Jędrzek?

— Był zmęczony i poszedł spać.

— Ano, pewnie. Mały jeszcze. Chodź, czekamy na ciebie z kolacją.

Nagle ustąpił cały smutek. Ze wzruszeniem patrzył na wuja wyglądającego pewnie, a jednocześnie dobrodusznie w blasku padającym z wielkiej naftowej latarni, którą trzymał w ręku.

Rozdział 15

Na teren szkoły dostał się przez dziurę w płocie. Było jeszcze wczesnie. Ukryty za krzakami, spoglądał na drzwi wejściowe. Na razie uczniowie zjawiali się pojedynczo. Wreszcie zobaczył liczniejszą gromadkę — tych z domu dziecka. Jędrak szedł na czele, rozglądając się bacznie na wszystkie strony.

Tadek cofnął się głębiej w krzaki. Za nic nie chciał, aby go tu zobaczyli. Śmieliby się, że tchórzy. Coraz więcej przybywało chłopaków i dziewczyn. Biegali dokoła budynku, to znów zbici w małe gromadki rozmawiali z ożywieniem. Mignęła mu postać Giętka. Ujrzał też Jasia Mroza z siostrą, wyrrywających coś sobie nawzajem.

„Nie, muszę poczekać, aż wejdą do klas” — postanowił. „Przyjdź normalnie jak wszyscy” — przypominały mu się słowa nauczycielki. I wtedy wydawało mu się, że właśnie tak zrobi.

Nareszcie rozległ się dzwonek. Boisko błyskawicznie opustoszało. Ucichło dookoła. Wahał się, co robić. Teraz byłoby najlepiej dogonić całą gromadę i wtopić się w nią.

Już nie było nikogo, gdy wyrzwał. Do połowy odsłonięty, spoglądał na puste, szeroko otwarte drzwi.

I naraz wyskoczył stamtąd Jędrak. Tadek przykucnął szybko. Jędrak stał na cementowych schodkach i rozglądał się. Nie ulegało wątpliwości, po co wybiegł. Tadek już nawet nie patrzył w tamtym kierunku. Za nic by teraz nie wszedł do szkoły. Jutro umówi się z Gietkiem i wówczas przyjdzie normalnie, razem z innymi. Przecież nie musi zaraz pierwszego dnia.

Siedział na trawie, z brodą opartą na kolanach, obserwując poprzez liście szkolne okna.

Nie spał prawie całą noc. Bez przerwy myślał o tym, jak będzie dzisiaj. Nie chciał zwracać na siebie uwagi. „Obstąpią mnie — myślał. — Będą się dziwić, pytać”. I poza tym ta szósta klasa. Czy da sobie radę? Sam właściwie myślał o piątej, ale nauczycielka pierwsza to zaproponowała.

— Chętnie dam ci trochę dodatkowych lekcji. Jestem święcie przekonana, że po miesiącu uzupełnisz wszystkie zaległości.

Taka była zadowolona, że zjawił się. Zastanowiło go, dlaczego jej na tym zależy. Co ona teraz sobie myśli? Pamiętała chyba o nim i musiała zauważyć, że nie przyszedł. „Niepotrzebnie wchodziłem dziurą. Trzeba było odważyć się”.

Wstał niezadowolony z siebie.

Co powie Dance? Obiecała przyjechać pojutrze. Jak zwykle będzie wypytywała szczegółowo. Jeśliby nawet skłamał, to Jędrzek wygada wszystko.

Przebiegł szybko wolną przestrzeń dzielącą go od parkanu. Miał uczucie, jakby z okien budynku patrzyły nań dziesiątki par oczu. Przedarł się przez gęsty żywopłot i z ulgą wyskoczył na ulicę.

Zwinął zeszyt w rulonik i chował go do kieszeni, kiedy zobaczył nauczycielkę.

Szła szybko, nie dalej jak pięć kroków od niego.

— Wyobraź sobie, spóźniłam się — mówiła zadyszana. — Pierwszy raz w mojej karierze szkolnej. Czy przedostanę się przez tę dziurę? — spytała.

Przez chwilę stał jak sparaliżowany.

— Nie wiem — wyjąkał.

— Chodź, spróbujemy. Ty też się spóźniłeś?

— Ttak.

— Początek roku, to trudno się przyzwycząić.

Lekko popchnęła go w stronę dziury.

— Idź pierwszy.

Przelazł automatycznie, a ona tuż za nim.

— O, poszło doskonale, a bałam się, że nie dam rady. Już co najmniej czterdzieści lat nie łąziłam przez dziury w płocie, a okazuje się, że to najlepszy sposób — mówiła. — Pierwsza lekcję mam właśnie w twojej klasie.

Przed schodkami na sekundę zawahał się.

— Prędkiej, prędkiej — przynaglała. — Wstyd tak się spóźnić.

Zaraz za progiem trafili na kierownika.

— Widziałem przez okno — groził nauczycielce palcem, uśmiechnięty szeroko. — Ładnie to, ładnie dawać taki przykład młodzieży.

— Ach, raz na pół wieku każdemu może się zdarzyć — zaśmiała się.

— To ten nowy? — spytał.

Skinęła głową.

Tadek drżał z przejęcia. Spoza drzwi dochodziły głosy nauczycieli i uczniów. Gdzieś nagle cała klasa wybuchnęła śmiechem.

— No, wchodzimy.

Raptem znalazł się między tablicą a wyprężoną na baczność gromadą uczniów.

— Siadajcie — powiedziała nauczycielka po przywitaniu. — Tu masz wolne miejsce — wskazała Tadekowi pierwszą ławkę.

Siadł, skurczył się, niemal wstrzymał oddech. Czuł na sobie spojrzenia całej klasy.

— A co to za zwyczaj? Dlaczego wy tam w ostatniej ławce siedzicie we trzech?

— Tu nam wygodniej, proszę pani.

— Jeden z was do pierwszej ławki, szybko.

Ale jakoś żaden się nie kwapił. Dobrą minutę spierali się, kto ma iść.

— Kozłowski, proszę do pierwszej ławki — kazała surowo.

Wysoki, chudy chłopak, z czarną jak węgiel czupryną, niechętnie przeczłapał przez całą klasę i zły, sztywny siadł obok Tadeka. Chłopak był w krótkich spodniach. Tadek widział jego kolana podrapane i czarne od brudu. Nie lepiej wyglądały stopy, które oparł na poprzeczce.

Znał Kozłowskiego, ale nigdy się z nim nie przyjaźnił. Spotykali się na plaży, a ostatnio kilkakrotnie sprzedawali razem owoce żołnierzom z kolumn samochodowych. Kozłowski często po południu biegał po mieście z gazetami. Trochę nawet dziwiła Tadeka jego obecność w klasie. Był pewien, że nie chodzi do szkoły.

— No, jak spędziliście wakacje? Opowiedzcie po kolei. Zaczynaj ty — zwróciła się do dziewczynki siedzącej przy oknie.

Czerwona z wrażenia łapała przez chwilę powietrze ustami otwartymi, jak ryba.

— Byłam u babci na wsi.

— I co tam robiłaś?

— Pałam krowy.

Grzmot śmiechu wstrząsnął klasą. Dziewczyna z czerwonej zrobiła się sina.

— Co was tak rozśmieszyło? — spytała nauczycielka. — To bardzo miłe zajęcie paść krowy.

Znów kilka głosów parsknęło.

— W waszym wieku codziennie pałam i zawsze wspominam to jako coś bardzo przyjemnego. Łąki były pod lasem. Tam zbierała się cała dzieciarnia ze wsi. Kiedy posyłano kogoś do innej roboty, był nieszczęśliwy i wykręcał się od niej, jak mógł, aby czym prędzej przybiec na pastwisko. No, powiedz jeszcze coś — zachęcała łagodnie.

— Ja też bardzo lubię paść. Zrobiliśmy sobie taki szałas i w czasie deszczu całymi dniami graliśmy w karty i opowiadaliśmy różne przygody.

— No, dobrze, siadaj. A teraz ty.

Tadek nie mógł słuchać. Denerwował się. Kolejka niebezpiecznie zbliżała się do niego. „Co powiedzieć? — myślał. — O Halinie? O parowie? O listach Jędrka? O budowaniu domu?”

— No, a teraz Kozłowski. Po twojej minie widzę, że miałeś ciekawe wakacje.

— Wcale nie, proszę pani. — Kozłowski wstał i w zdenerwowaniu gniótł pięściami ławkę.

— No, gdzie byłeś?

— Siedziałem w domu.
Kilku chłopaków zarżało. Kozłowski ukrył ręce za sobą i pogroził pięścią śmiejącym się.

— Ale co robiłeś? Chodziłeś na ryby?
— Nie lubię ryb.
Znów ktoś prychnął.
— Grałeś w piłkę?
— Jasne! — ożywił się. — Co dzień. Mamy fajną drużynę... — urwał.
— Dobrze — powiedziała. — Siadaj. Jutro we dwóch — wskazała Tadka — macie przyjść do szkoły ostrzyżeni. Nie można nosić na głowie strzechy.
— Głowa to nie stodoła — wyrwał się ktoś z tyłu.
Uciszyła klasę.
— No, a ty?
Tadek wstał. Drżały pod nim nogi. W głowie miał pustkę, a w gardle tak sucho, aż go drapało.

— Ja też nigdzie nie wyjeżdżałem. Bardzo często chodziłem na ryby. Mam dwie wędki. Dostałem od jednego znajomego milicjanta. — Opuściło go zdenerwowanie. Czuł, że wszyscy słuchają go z uwagą.
— No, dosyć — powiedziała, gdy otworzył usta, by mówić dalej.
Usiadł z ulgą, ale trochę i zawiedziony.
Na przerwie, zaraz po dzwonku, wbiegł do klasy Jędrrek. Potracił wychodzącą właśnie nauczycielkę i od razu przyskoczył do Tadka.
— I jak było? — spytał.
— Coś tak wpadł jak bomba? — ofuknął go Tadek, wciąż jeszcze onieśmielony.
— A ja ciebie widziałem za krzakiem — powiedział Jędrrek.
Tadek obejrzał się, ale nikt ich nie słuchał.
— Trzymaj — Jędrrek wyciągnął spore zawiniątko w papierze — dostałem dziś dwa śniadania, jedno dla ciebie.
— Schowaj. Ja nie chcę, już jadłem.
— Trzymaj. Mam wyrzucić? — Wcisnął je Tadkowi do ręki. — To lecę. Mamy aparat fotograficzny. Będziemy robić zdjęcia.
Roztracił gromadę dziewczyn i wybiegł na korytarz.
— Co on ci przyniósł?
Tadek spojrział. Obok stał Kozłowski.
— Nie wiem. Coś do jedzenia.
— Rozwiń. Pokaż.
Kiedy Tadek rozwijał, obok stanął również Jasio Mróz.
— Cześć — powiedział.

Uścisnęli sobie ręce.

W papierze znajdowały się dwie kanapki z kiełbasą.

— Ty, daj kawałek — powiedział Kozłowski przetykając ślinę.

Tadek podał mu jedną kanapkę.

— Ale pycha! — rzekł z pełnymi ustami.

— Nie wyjechałeś? — spytał Tadek Jasio Mróz. — Budujesz dom. Widziałem. Zaszedłem tam któregoś dnia, ale ciebie nie było.

— To nie ja buduję, wuj. Trochę mu pomagam.

— Jak ci się podoba w budzie?

Tadek rozejrzał się.

— Czy ja wiem?

— Chodź. Dziś nie ma co dłużej siedzieć — szepnął Mróz. — Same nudy — dodał widząc wahanie Tadeka.

— Zostanę.

— Nie ma sensu. Pierwszego dnia lekcje są zawsze takie aby, aby.

Jasio podszedł do parapetu, wychylił się, popatrzył na boki.

— Droga bezpieczna. Trochę gnojków, ale oni to pestka. Skacz za mną — mruknął i błyskawicznie przesadził parapet.

Tadek poszedł odruchowo za jego przykładem. Jasio, nie śpiesząc się, podążył do bramy. Gwizdał coś z cicha, nie rozglądając się. Tadekowi niespokojnie biło serce. Zerkał nerwowo za siebie, pewien, że lada chwila ktoś zawoła go.

Odetchnął, kiedy znaleźli się na ulicy.

— Idziemy na strzelnicę. Fajna pogoda. Będzie się można opalać na piachu. Cały czerwiec tam przesiedziałem z chłopakami — powiedział Jasio.

Tadek nie odzywał się. Był niezadowolony ze swego zachowania. Właściwie dlaczego uciekł z lekcji? Tyle kosztowało go przełamanie pierwszych lodów i dał się tak łatwo wyciągnąć na wagary. Jędrak na pewno go teraz szuka, a i nauczycielka musiała zauważyć.

— Wiesz, ja chyba wrócę.

— Zwariowałeś? Boisz się?

— Nie, ale co będziemy robili na strzelnicy?

— Jak to: co? — Jasio gwizdnał. — Człowieku! Mogę przysiąc, zastaniemy całą bandę. Można grać w karty, opowiadać kawały. Chłopaki przynoszą różne ciekawe rzeczy.

— Ale uciekać, tak po pierwszej godzinie?

— No, w tej chwili i tak już za późno. Lekcja się dawno zaczęła. Nie wejdiesz chyba w połowie godziny do klasy? — spytał drwiąco.

Kroczyli teraz uliczką wiodącą za miasto. Domy stały rzadko, ogrodzone najczęściej siatkowym płotem. Niektóre ledwo było widać spoza zieleni. W przerwach między za-

budowaniami ciągnęły się kartofliska lub pasy łąk. W oddali czerniał sosnowy las.

— W zeszłym roku też byłeś w siódmej klasie — zagadnął raptem Tadek.

Jasio Mróz zmieszał się.

— Co ty wciąż o tej szkole? Byłem, ale nie dostałem świadectwa. Za dużo opuściłem.

— I w tym roku chcesz tak samo?

— Na razie mam czas. Do wakacji zdążę zrobić wszystko. Grunt to chodzić ostatnie dwa miesiące. Wtedy zapomną o wagarach i przejdzie się do następnej klasy. Ale dosyć o szkole. Zobacz, idą chłopaki.

Włożył dwa palce do ust i przeraźliwie gwizdnął. Odpowiedzieli mu natychmiast. Z daleka machali rękami.

— Stare wiarusy — ucieszył się.

Przyśpieszyli kroku. Tadek został nieco w tyle. Na otwartej przestrzeni słońce przygrzewało dosyć mocno. Czuł je na plecach i na odsłoniętym karku. Powietrze pachniało kartoflaną nacią i Tadekowi nawet podobało się tutaj, drażniły go tylko przeraźliwe gwizdy, którymi popisywali się tamci. Chętnie by zawrócił lub poszedł gdzieś w bok. Ale jak to zrobić? Wspinał się po piaszczystym zboczu, zarośniętym z rzadka krzakami. Tamci już zagłębiali się w las. Zwolnił. A nuż zgubi im się. Kiedy dotarł do pierwszych sosen, zobaczył, że rozsiedli się między drzewami i palą papierosy.

— Chcesz zapalić? — Jasio wyciągnął paczkę „górników”.

— Nie palę.

— To naucz się. My wszyscy palimy.

— Próbowałem, ale mi nie smakuje. Gorzko w gębie i rzygać się chce.

— To tak pierwszy raz, a później idzie jak z płatka.

Przyglądali mu się wszyscy ciekawie. Wziął papierosa i siadł na kępie mchu. Któryś rzucił mu na kolana zapaliki.

— Później zapalę.

— Na pewno nie potrafisz — powiedział Baryła.

Jego kpiący ton dotknął Tadeka. Przełamał papieros, zgniótł w palcach i rzucił na trawę.

— Tak ci zależało, abym zapalił — rzekł.

— I takiemu dać fajkę! — warknął ze złością Baryła.

— Nie twoje! Czego się wtrącasz! — Tadek już był zły na dobre.

— Po coś ty go tu sprowadził? To okropny mięczak! — powiedział Baryła do Mroza.

— Nie bój się, pójdę sobie. Ale uważaj z tym „mięczakiem”.

— Bo co? — zaśmiał się, puszczając długą, cienką smugę dymu w stronę Tadeka.

— Bo możesz dostać w zęby.

— Widzieliście go? Bokser.

— Czego się do niego przyczepiłeś? To jest mój kolega — odezwał się Jasio Mróz pojednawczo.

— Tfu, taki kolega! Wstydzilibyś się przyznawać. Gęba jak u Chińczyka, nawet ślepia żółte.

Tadek zacisnął zęby. Postanowił milczeć.

Wyjął scyzoryk, wziął kawałek świeżo ułamanego jałowca i cierpliwie ucinął gałązki.

— Zaraz zatniesz się w paluch. Zobaczymy, jaką krew masz. Na pewno zieloną albo wodnistą jak u żaby.

Ktoś prychnął. Inni tymczasem wyraźnie czekali, co dalej nastąpi.

— Słuchaj, Baryłka, nie czepiaj się go — znów łagodnie interweniował Jasio Mróz. — Lepiej chodźcie ze mną — ciągnął. — Wiem, gdzie wisi na drzewie spadochron. Moglibyśmy tam pójść i jakoś zdjąć. Tylko to kawał drogi.

— W którym miejscu? Nie bujasz? — zainteresowali się.

— Nie traficie. Muszę sam zaprowadzić. Tak wplątany między gałęzie, że trudno w pierwszej chwili zauważyć.

— No, to możemy iść, tylko bez tego — Baryła wskazał Tadeka.

— A ja myślę, że bez ciebie — powiedział Tadek i nim tamten zdążył się zorientować, zerwał się jak sprężyna i rzucił na niego z impetem.

Kilka pierwszych ciosów oszołomiło Baryłę. Zwinął się w kłębek, skulił, osłonił głowę rękami. Widząc tę jego bezbronność Tadek opuścił ręce. Głupio było bić leżącego. Złość opuściła go całkowicie. Zauważył, że pozostali chłopcy spoglądali na niego z ukosa, uznali widocznie nagły atak za niesprawiedliwy i nawet Jasio Mróz odwrócił twarz gdzieś w bok, udając, że przygląda się na wpół uschniętej sośnie.

Tadek już chciał się cofnąć na swoje miejsce, kiedy Baryła raptem, kocim skokiem, wyprostował się, poderwał go za kolana i Tadek oszołomiony wyrznął z całej siły głową o ziemię. Czuł teraz ciosy na całym ciele. Baryła bił szybko. Pięści miał suche, twarde. Każdy ich cios był przenikliwie bolesny.

Spora chwila upłynęła, zanim ochłonął z oszołomienia. Przetoczył się po trawie, unikając ciosów, ale nim stanął na nogi, otrzymał jeszcze całą serię uderzeń w twarz, głowę i szyję. Otworzył oczy. Wszystko tańczyło przed nim. Oparł się o sosnę, odruchowo osłaniając się rękami.

— No co, dosyć? — pytał Baryła, szczerząc żółte od tytoniu zęby.

Tadek milczał. Wściekłość paraliżowała go.

— Na drugi raz pomyślisz, co robić i jak się zachować.

Baryła ostentacyjnie wsunął ręce do kieszeni.

Wtedy Tadek skoczył na niego. Ale chłopak był chytry. Ostentacyjny ruch z cho-

waniem rąk do kieszeni był zwykłą prowokacją. Zamiast dosięgnąć ciosem — Tadek sam otrzymał potężne uderzenie głową w brzuch. Dusił się. Nie mógł złapać powietrza. Ostry ból przewiercał mu wnętrzności.

Zerwali się wszyscy, otoczyli go.

— Przesadziłeś! — napadli na Baryłę. — Taki blady. Co mu zrobiłeś?

Baryła strzyknął śliną przez zęby.

— Nic. Powije się, poskręca, ale za to zapamięta całą przygodę.

Rozstawił szerzej nogi, wyjął z kieszeni papierosa i zapalniczkę zrobioną z gilzy tytoniowej. Zaciągnął się dymem z wyraźną satysfakcją.

Tadek leżał teraz twarzą do ziemi. Już mógł oddychać, ale ból żołądka ustępował bardzo powoli. Naraz poprzez cierpienie, rozpacz i złość dotarł do niego zapach ziemi. Pachniała próchnica, grzybami, przywiedłą trawą i igliwem. Wdychał w siebie to powietrze jak balsam, coraz głębiej, nienasycenie. Czuł, że ono przynosi mu ulgę.

Ból cofał się, jakby ktoś powoli, ale systematycznie wykręcał mu z brzucha wielki świder.

Całym wysiłkiem woli opanował wzbierający w piersiach szloch. Och, gdyby teraz mógł być sam i płakać. Nagle przypomniały mu się ostatnie lata, wszystko, co spotkało jego i Jędrka. Tłumione dotąd i nieuświadomione krzywdy i gorycze, jakich los im nie szczędził, opadły go, ścisnęły mu krtań, doprowadzając do niepohamowanej rozpacz. Jak strasznie chciał być sam i płakać.

Oślonił głowę ramionami. Na policzku czuł ostre sosnowe igły.

Ból brzucha teraz już się nie liczył, w porównaniu z tą rozpaczą prawie nie istniał. Dlaczego to właśnie on jest na świecie sam, bez matki, bez domu. Już czuł łzy pod powiekami.

— Nabrał kolorków. Będzie żył — usłyszał.

I ten wesoły, nieco zjadliwy głos opamiętał go. Nie, za nic na świecie nie wolno mu płakać. Dałby im darmo wspaniałe przedstawienie.

Odetchnął kilkanaście razy równo i głęboko. Jeszcze ostatnich kilka skrętów świdra i już mógł ostrożnie poruszyć brzuchem. Wreszcie powoli uniósł się na łokciu i siadł. Dookoła nie było nikogo. Zdumiony rozejrzał się uważniej. Tak, został sam. Opierając się o pień sosnowy stanął na nogach. Gdzieś z głębi lasu dosłyszał głosy chłopaków. Musieli już być daleko. I dopiero teraz naprawdę odczuł całe swoje poniżenie. Przez chwilę był oślepiiony nienawiścią.

Nie daruje! Nie może darować! Nie mógłby oddychać, spać, jeść, patrzeć na słońce, gdyby nie wyrównał rachunku.

Rozdział 16

Wracając ze szkoły, spotkał listonosza.

— Różański to ty?

— Tak — potwierdził Tadek.

— Dawno u was nie byłem, a poza tym zmylił mnie ten dom. Trzymaj. Grubsza korespondencja. I charakter pisma wyraźnie damski.

Na progu stanął wuj.

— Dzień dobry! — zawołał. — Z czym Pan Bóg prowadzi?

— Niestety, nie z pieniędzmi.

— Ba, a przydałyby się — wuj aż zatarł ręce.

— O, musiał pan wsadzić sporo grosiwa w ten dom. Wyrósł jak na drożdżach.

— Nie tyle grosiwa, co pracy — dotknął mięśni rąk. — We czterech po osiemnaście godzin na dobę. A i on też popracował zdrowo — wskazał Tadek.

— Cóż zrobić, praca nas kocha — powiedział listonosz poprawiając torbę.

— Chce pan może zobaczyć od środka? — zaprosił listonosza wuj.

Z dumą pokazywał świeże tynki, surowe jeszcze futryny i część dębowej podłogi.

— O, ten domek to postoi — rzekł z uznaniem listonosz.

Wuj uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał.

— Ba, kto to może wiedzieć. Nie takie były domy, z betonu i żelaza, i co z nich zostało? Kupa gruzu.

Mężczyźni wyciągnęli papierosy, rozsiedli się na stosie desek, wspominając ciężkie czasy. Tadek skorzystał z okazji i wymknął się do ogrodu.

Zaszył się między krzaki agrestu. Leżąc na swoim ulubionym posłaniu, miał przed oczami czerwoną wstążeczkę i niebieski grzebyk, zawieszony na gałązce agrestu. Krzak już zbrązowiał. Liście opadły. Po jagodach nie zostało nawet śladu. A jednak ta wstążka i grzebyk jakby zatrzymały najlepszy czas. Były niezmiennie.

Powoli rozdarł kopertę.

Kochany...

Czuł, jak przenika go ogień, oddychał szybciej, płycej.

...Nie pisałam tak długo, bo wciąż myślałam, że już jutro, że za dwa dni albo trzy będę mogła przyjechać. A potem rodzice zabrali mnie ze sobą do Zakopanego. Kilka razy próbowałam pisać do Ciebie, ale wciąż mi coś przeszkadzało. Zakopane jest przepiękne. Giewont zwisa nad miastem, a kiedy dostałam się na szczyt Kasprowego, to aż się rozplakałam, że Ciebie tu nie ma. Myślałam sobie, że jak dorośniesz i kiedy się ze mną ożenisz, to zamieszkamy właśnie w Zakopanem. Z naszego okna będzie widać góry. Robiłam, co mogłam, aby wrócić do ciotki. Udawałam ciężko chorą. Przez trzy tygodnie sztucznie nabiłam termometr, skarżyłam się na podwarszawski klimat, dowodząc, że najlepiej czułam się u ciotki. Mama zaprowadziła mnie aż do trzech lekarzy. Badali mi krew, prześwietlili, a kiedy mieli mi zrobić jakieś badanie żołądka, przestałam podrabiać sobie temperaturę. Zrozumiałam, że na razie nic z tego nie wyjdzie. Co dzień myślę o Tobie. A może wyjechałeś i ten list Ciebie nie zastanie? W nowej szkole mam fajne koleżanki. Wstaję jak najwcześniej i kiedy wszyscy jeszcze śpią, piszę dziennik z myślą właśnie o Tobie, abys go mógł przeczytać i w ten sposób wiedzieć, co przez ten czas robiłam i myślałam. Chciałabym, abys i Ty taki pamiętnik prowadził. Na pewno przyjadę do cioci na Wszystkich Świętych. To już za dziesięć dni. Podaję Ci adres mojej koleżanki. Adresuj na nią, a w nawiasie zaznacz: dla Haliny. Ona wie wszystko o nas. Bardzo się przyjaźnimy. Chce Ciebie koniecznie poznać. Ja jestem trochę zazdrosna. Mam jeszcze na jutro napisać długie wypracowanie. Czy moja wstążeczka i grzebyk wiszą jeszcze? Całuję Cię gorąco sto razy

Twoja na wieki H.

Czytał list dwukrotnie i coraz głębszy smutek rodził się w jego sercu. Halina wydawała mu się prawie nierzeczywista. Na próżno starał się dłużej zatrzymać jej obraz w pamięci — rozplątywał się, znikał, przybierał postać różnych dziewczyn, jakby kryła się za ich sylwetkami. Danki obraz był o wiele przejrzystszy. Wystarczyło lekko przymrużyć powieki, a już pojawiała się tuż obok uśmiechnięta, z wielkimi, zdziwionymi i niedowierzającymi oczami.

Dotknął palcami wstążki. Grzebyk zakołysał się, gałązka przechyliła ku dołowi, potem znów odgięła i naraz spoza zbrązowiałego liścia ukazała się ostatnia już chyba jagoda. Wziął ją w dwa palce. Była duża, zmarszczona, na wpół sucha. Nacisnął mocniej, aż pękła przy szypułce. Dotknął językiem. Miała kwaskowy smak sfermentowanego soku. Pachniała winem. Rozcierał owoc językiem o podniebienie.

I nagle zdumiał się. Smak i zapach jakby wzmocniły pamięć, wyostrzyły jeszcze przed chwilą trudne do zatrzymania rysy Haliny. Widział ją obok siebie tak wyraziście, jak żywą.

Śmiał się z niej, kiedy zawieszala grzebyk.

— Amulet odstrasza ptaki, które przynoszą nieszczęście, wydziobując agrest

— żartował.

Lecz ona była poważna. Lekko przytakiwała ruchem głowy.

— Przyjdź tu zawsze, kiedy będziesz nieszczęśliwy. Ja wierzę we wszystkie czary.

Istotnie przychodził nieraz, chował się tu za krzakiem i spędzał długie godziny. Ale nie tylko sam. Siadywał tu z Danką i Jędrkiem, chociaż brat złościł się zawsze na ten grzebień. Wiedział, że pochodzi od Haliny, a nie cierpiał jej.

Tadek złożył list starannie i ukrył go w wewnętrznej kieszeni bluzy. Kiedy wrócił na podwórze, zastał tam Gietka. Ucieszył się, ale trochę i zdziwił. Przyjaciel od paru tygodni nie zachodził do niego. Spotykali się przelotnie w szkole, zamieniali ledwo po kilka słów. Tadek kiedyś zaproponował Gietkowi, by się wybrali po orzechy na wzgórze za miastem. Oczywiście nie chodziło mu o orzechy, chciał się rozmówić z przyjacielem, lecz Gietek nie poszedł. Tłumaczył się chorobą matki.

Dzisiejsza wizyta zaintrygowała Tadeka.

— Dom prawie gotowy — podziwiał Gietek obchodząc budynek dookoła. — Ładniej wygląda niż tamten, jeszcze z tą nadbudówką. My też myślimy budować się — ciągnął — ale dopiero za parę lat.

Wuj Michał szklął właśnie okno wychodzące na ogród. Z zainteresowaniem patrzyli, jak tnie szkło, a potem ustawia je w ramie i umocowuje.

— Chętnie bym wam pomógł.

— Pracy tu nigdy nie zabraknie.

— Świetnie. Umówimy się kiedyś. Dziś wpadłem tylko na krótko. Chciałem z tobą o czymś porozmawiać.

Poszli w głąb podwórza i usiedli na stosie desek.

— Słuchaj — zaczął. — Nie wiem, czy zauważyłeś, z kim się zadaje Jędrak.

Tadek milczał.

— Obserwuję go od pewnego czasu — ciągnął Gietek. — Tym bardziej, że w mojej klasie jest jego najlepszy przyjaciel, Marian Kronen, taki cichy, nieśmiały chłopak. Rzadko otwiera gębę. Lubi bawić się z młodszymi. Imponuje im widocznie, bo lgną do niego. Jędrak i Kronen prawie nie rozstają się ze sobą.

— Ale co w tym złego?

— *Właśnie o to chodzi. Pasją obydwóch jest wszystko, co strzela, pali się i wybucha. Uprawiają istny handel w szkole. Amunicję... tę można znaleźć wszędzie. Ale przynoszą skądś zapalniki, spłonki, proch najrozmaitszych rodzajów. Jędrak jest mały, nie zdaje sobie sprawy, co robi, ale Marian Kronen ma prawie czternaście lat i kiedyś już był przy tym, jak pocisk rozerwał dwóch jego kolegów.*

— Domyślam się wszystkiego — rzekł Tadek przygnębiony.

— Otóż musisz z Jędrkiem pogadać — radził Gietek. — Bo to może źle się skończyć. Na przykład dziś po szkole wynikła sprzeczka między Jędrkiem a chłopakami z domu

dziecka. Poskarżyli się na niego kierownicze i miał do nich o to pretensję. Klócili się obok szkoły, szarpali na sobie ubrania, dopóki nie zjawiał się przypadkiem patrol milicyjny. Przechodził akurat tamtędy, no i dali drapaką. Ale słyszałem wyraźnie, jak Jędrzek groził, że rzuci im pod nogi zapalnik. Był zły. Czułem, że jeśli nie dadzą mu spokoju, nie zawaha się i zrobi to. A co by się dalej działo, to chyba wiesz sam najlepiej. Moja mama też któregoś dnia widziała, jak ukryty za budką z gazetami, handlował czymś podejrzanym. Myślę, że on ma jakieś źródło, z którego bierze te wszystkie świństwa. Powinno się go wytropić.

Tadek nerwowo obgryzał gałązkę zerwaną z jabłoni.

— Nie bardzo wiem, jak sobie z nim poradzić. Dopóki mieszkał tutaj, orientowałem się, co robi, gdzie chodzi, ale nie mogę siedzieć w domu dziecka i pilnować go. Też mam swoje lekcje i muszę pomagać wujowi. Chcemy skończyć wszystkie prace przed pierwszymi mrozami.

— Jeśli chcesz, ja mogę z nimi pogadać — zaproponował Gietek.

— Dobrze. Najpierw spróbuj sam, a potem...

Naraz drzwi domu otwarły się i na podwórzu wypadła Danka.

— Cześć, Tadek! — zawołała biegnąc w jego stronę.

Zasłaniał sobą Giętka. Zauważyła go dopiero, podszedłszy zupełnie blisko. Zarumieniła się, spoważniała i wolno wyciągnęła do Tadka rękę.

— To jest właśnie Gietek — powiedział. — Mówiłem ci o nim.

Przyjaciół poderwał się i też uściskał jej dłoń.

— Przywiozłam na rowerze zapas jedzenia.

Mówiła nieco podniesionym, innym niż zwykle głosem. Kołysała się w biodrach, co chwilę poprawiała włosy i zerknęła na Giętka, udając, że go nie dostrzega.

— A jak ci idzie w szkole? Co przerabialiście ostatnio? Czytasz może jakąś ciekawą książkę? Bo ja mam świetny romans.

Nie miał ochoty odpowiadać. Te pytania drażniły go.

— Zostańcie tu — powiedział, przerywając jej w pół słowa. — Ja muszę coś załatwić po sąsiedzku.

Ominął dom i wypadł na ulicę. Nie miał nic do załatwienia, skłamał, ale zachowanie Danki złościło go. Wyraźnie chciała mu grać na nerwach, zagarniając dla siebie Gietka.

Podkradł się do parkanu i ostrożnie zajrzał w głąb podwórza.

Siedzieli obok siebie na deskach, opowiadali coś i śmieli się. „Na pewno ze mnie” — przemknęło mu przez myśl i serce w nim zamarło. Musi słyszeć, o czym mówią, musi.

Podszedł cicho do węgła budynku. Wytężył słuch. Lecz ich głosy brzmiały niewyraźnie. Nie było innego sposobu, przemógł się i zbliżył do nich.

— O, już wróciłeś? — powiedziała Danka. — Ciekawa jestem, jaka to ważna sprawa,

którą tak szybko załatwiłeś.

Przysiągłby, że uśmiechnęła się drwiąco.

— To tajemnica — odparł spokojnym tonem. — Powiedz lepiej, co u ciebie słysząc?

— Organizuję w swojej szkole przedstawienie — rzekła swobodnie. — Sama napisałam sztukę. Przywiozłam ją ze sobą. Jeśli chcecie, mogę wam przeczytać. Już rozdzieliłam role, mam aktorów. Obiecano nam wypożyczyć nawet salę na występy. Przyjedziesz chyba zobaczyć przedstawienie? — zwróciła się wyraźnie do Giętka. — Oczywiście obaj — zreflektowała się.

— Przyjadę chętnie — powiedział Gietek. — W zimie również występowałem w przedstawieniu. Na wsi, gdzie mieszka moja ciocia, żyje stary poeta ludowy. Napisał specjalną sztukę o matce z trojgiem dzieci, która czekała na powrót męża z niemieckiej niewoli. Ja grałem właśnie najstarszego syna. Wiejskie kobiety płakały w czasie przedstawienia. Nawet nie wiecie, jakie to niezwykle uczucie, kiedy wszyscy patrzą i słuchają z zapartym tchem. Za pierwszym razem pomyliło mi się wszystko i uciekłem ze sceny. Gonili mnie przez pół wsi, w końcu złapali i przyprowadzili znów na salę. Musiałem grać dalej.

— A później?

— Ach, to już szło jak z płatka.

— Jeśli chcecie, to przeczytam wam moją sztukę. Mam ją nawet przy sobie.

— Zostaw ją, to sam przeczytam — rzekł Tadek.

— Dlaczego mówisz: „sam”. Ja chcę Gietkowi również przeczytać.

— Tak mi się powiedziało.

Zobaczył wzrok przyjaciela i zrobiło mu się nieswojo.

Gietek nagle wstał, otrzepał spodnie i rzekł niezbyt głośno:

— No, to ja już uciekam.

— Zajdę do ciebie jutro lub pojutrze. Może spotkamy się w szkole — powiedział Tadek.

— Do której klasy chodzisz? — spytała Danka.

— Do siódmej.

— O, to tak jak ja.

Nie wiadomo dlaczego zaśmiała się głośno.

Odprowadził Giętka do furtki. Danka podążyła za nimi również.

— To twój rower? — zagadnął Gietek, wskazując jaskrawoczerwony wehikuł.

— Mój. Przyjeżdżam nim tutaj.

Obejrzał dokładnie.

— Wygląda solidnie. Mogę przejechać się kawałek?

— Oczywiście.

— A po co to? — wskazał przymocowany do ramy drewniany krążek.

— Nie wiesz? O, po to! — zwinnie wskoczyła i siadła na ramie. — Jeśli mnie nie wrócisz, to możemy jechać — zaśmiała się.

Tadek patrzył, jak jadą chodnikiem, zasypanym gęsto jesiennymi liśćmi. Słyszał ich głosy beztroskie i ożywione. Miał ochotę gdzieś uciec, ale jednocześnie musiał patrzeć. Do Danki odczuwał prawie nienawiść.

Odprowadzał ich oczami aż do końca ulicy. Był pewien, że Gietek zawróci, tymczasem skręcił w prawo i zniknęli mu z oczu. Czekał na nich bardzo długo. Minuty wlokły się niemiłosiernie. Ilekroć ktoś pojawił się hen, w oddali, serce zaczynało mu bić żywiej, ale to wciąż nie byli oni.

Dopiero gdzieś po godzinie zobaczył Dankę. Wracała sama. Nie śpieszyła się. Jechała brzegiem jezdni, ostrożnie wymijając wyrwy. Szybko odszedł od furtki. Nie chciał, aby go widziała czekającego.

Poprzedniego dnia zaczął budować nowy gołębnik, chciał bowiem, jak kiedyś, znów hodować gołębie. Wziął wymierzoną już wczoraj deskę i zaczął ją piłować. Odwrócony tyłem do furtki, nie spojrzał w tamtą stronę ani razu. Przepiłowawszy, odmierzył nowy kawałek. „Danka już dawno powinna być”. Piła była dosyć tępa, drzewo twarde, od wysiłku bolało go ramię, ale nie przerywał pracy. Pokusa, aby się odwrócić, stawała się nie do odparcia. Wreszcie, schylając się po następny kawałek deski, nie wytrzymał i spojrzał za siebie. Danka siedziała na wysokim pieńku pod bzem, pochłonięta czytaniem.

— Ach, to już wróciłaś! — patrzył na nią wyzywająco.

Nie odzywała się. W ogóle nie słyszała.

Przysunął się bliżej.

— Co czytasz?

— „Huragan” Gąsiorowskiego. Znasz? Gietek mi pożyczył.

— Byłaś u niego?

— Poznałam jego mamę. Szalenie mi się podoba. I jak pięknie oboje grają na organkach. Gietek obiecał i mnie nauczyć grać. Reperuje właśnie swój rower. Ma do mnie przyjechać w niedzielę.

— A może weźmiesz go sobie na zawsze?!

Podniosła wyżej głowę, przyjrzała się pilnie Tadekowi.

— Coś ci się nie podoba?

— Wszystko mi się podoba.

— Taki jesteś zły.

— Zdaje ci się. Po prostu dostałem pewien list i...

— Jaki list? — spytała.

— A taki mój osobisty.

— Chyba mnie możesz powiedzieć?

— Dlaczego tobie miałbym powiedzieć?

Spochmurniała.

Wyjął list. Przyjrzał mu się, jakby się upewniał, że to ten sam, i z powrotem wsunął do kieszeni.

— Czy ty jesteś zazdrosny? — zagadnęła.

— Jestem, ale nie o ciebie.

Wrócił do gołębnika. Dopasowywał deski, przycinał, nie patrząc na nią. Postanowił nie ustąpić, nie odezwać się pierwszy. Niech sama przełamie lody.

Pracowało mu się coraz lepiej. Jak zwykle, gdy robota go wciągnęła, odczuwał radość. Pod nogi leciały ciepłe, pachnące trociny. Wiatr niekiedy porywał je i rzucał w oczy. Piłka rozgrzała się. Od trzymania twardej rączki piekła go dłoń.

Musiało upłynąć sporo czasu, zanim wreszcie usłyszał głos wuja Michała:

— Coś ty się tak zawziął na ten swój gołębnik. Chodź na kolację.

— Nie jestem głodny — rzucił.

I wtedy obejrzał się. Danki nie było. Zniknął też rower. Popatrzył dokładniej.

— Gdzie Danka? — spytał.

— Pojechała godzinę temu. Nie pożegnała się z tobą?

— Ach, taki byłem zajęty...

— Chodź jeść. Akurat mamy gorącą zupę.

Rozdział 17

Było już późno. Wypadłszy na główną ulicę, nie dostrzegł ani jednego ucznia. Zawahał się, czy nie pobiec krótszą drogą, przez dziurę w parkanie, jednak wolał nie ryzykować. Ostatnio kierownik szkoły wydał wojnę wszystkim przełazącym przez płot.

Minął komendę milicji, kino i miał skręcić do szkoły, kiedy ujrzał Jędrka. Brat prze-mykał się pod drzewami w towarzystwie Jasia Mrozą i jakiegoś innego chłopaka. Chwilę spoglądał za nimi. Naradzali się nad czymś i przyspieszonym krokiem podążali do Polnej. Chciał zawołać, ale byli już daleko. Jeszcze raz spojrzął w stronę szkoły. Ulica była wyludniona. Ci trzej akurat skręcali w Polną, nie zwalniając marszu. Już się nie zastanawiał. Popędził za nimi.

Biegł brzegiem chodnika, aby twarde obcasy nie stukały zbyt głośno o płyty. Znalazłszy się na Polnej, szukał oczami Jędrka, ale chłopców nie było. Zobaczył ich dopiero za następnym zakrętem. Na wpół biegli po rozmięklej drodze. Zwolnił nieco, ponieważ zabudowania skończyły się i na otwartej przestrzeni mogli go łatwo dojrzeć. To nie były zwykłe wagary — biegli w jakimś określonym celu. Posuwał się naprzód czujnie, gotów w każdej chwili ukryć się gdzieś. Swobodnie poczuł się wśród pierwszych drzew. Tamci rozmawiali teraz głośno, pewni, że las o tej porze jest pusty. Szli prosto do starej strzelnicy.

Na leszczynie zobaczył kilka orzechów, zatrzymał się więc i zerwał je. Niektóre były przemoknięte i spleśniałe, ale inne smakowały wybornie. Dwa najładniejsze schował do kieszeni dla Jędrka.

Tymczasem głosy oddaliły się i ucichły, pobiegł więc prosto na strzelnicę. Trafił w samą porę. Chłopcy byli już na miejscu. Worki z książkami leżały na piachu, a oni pochylali się nad jakimś przedmiotem, który trzymał Jasio Mróz.

Pierwszy zobaczył Tadek Jędrka. Skrzywił się niechętnie.

— Śledziłeś mnie, tak? — zawołał z daleka.

— Co mi obiecałeś? — spytał Tadek stanawszy naprzeciw niego.

— Ojoj! Przecież ja tylko urwałem się z pierwszej lekcji. Po co mi zaraz wszystko wypominasz. Zresztą ty też nie jesteś w szkole.

— Bierz książki.

— Znalazł się ojciec — mruknął Jędrak, ale ruszył po worek.

Teraz Tadek spojrział na Jasia Mrożę. Na jego dłoni zauważył podłużny, błyszczący przedmiot, zaopatrzone w sprężynę i długą cienką dźwignię.

— Co to jest? — zagadnął.

— Błyskawiczna spłonka od miny przeciwpancernej. Prawdziwe cacko. Zastanawiam się, jak ją unieszkodliwić.

— Wyrzuć to! — rzekł Tadek ostro.

— Głupi! Ty wiesz, ile za to dostanę od tych, co głuszą ryby?

Jędrak stał nieco dalej, naradzając się z drugim chłopakiem. Tadek znał go z widzenia. Był to rówieśnik Jędraka, także z domu dziecka.

— Już chyba wiem — powiedział Jasio Mróz. — Patrz, ta sprężyna trzyma ten haczyk. Jeśli ją wezmę...

Gorący podmuch na ułamek sekundy przerwał myśli. Tadek ze zdziwieniem poczuł, że leży na ziemi. Podniósł głowę, spojrział. Dookoła była czarna noc.

— Tadek! — niesamowity, piskliwy krzyk Jędraka rozdarł ciszę.

Siadł. Nie rozumiał, co się stało. Dotknął twarzy.

— Cała mokra — powiedział.

— Nie rusz! To krew! — zawołał Jędrak.

— Zasypało mi oczy. Chciałem przetrzeć.

— Nie dotykaj! Jesteś ranny! — błagał Jędrak.

— Ale ja przecież nie słyszałem wybuchu — zdumiał się Tadek.

— Wstań, pomogę ci. Musimy do szpitala. Jasia rozszarpało, a tamten, uciekł.

— Poczekaj, ja nic nie widzę.

Jędrak trzymał go mocno za rękę.

— Chodź! Prędkiej! Prędkiej! — powtarzał.

Biegli przez las. Gałęzie smagały go po głowie. Przerazliwie piekła twarz. To pieczenie przeradzało się w ból. Wreszcie wpadli na chodnik. Tadek słyszał teraz ludzkie głosy. Zastępowano im drogę, wypytywano. Jakaś kobieta wybuchnęła płaczem. W końcu czyje silne ręce ujęły go pod ramiona. Czuł szum w głowie. Mieszały mu się głosy ludzkie, zacierał sens słów. Nic nie rozumiał z tego, co dzieje się dookoła. Najchętniej wyrwałby się, pobiegł do domu, przemył oczy. Męczyła go ta nieprzenikniona ciemność.

— Jędrak! Jędrak! — zawołał kilka razy.

Ale brata nie było w pobliżu. Nogi zaczęły się pod nim uginać. Powoli całe ciało ogarniała dziwna omdlałość. Wspinając się po schodach szpitalnych, przestał zdawać sobie sprawę, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Ocknął się na jakimś twardym posłaniu. Ale pomimo wysiłków nic nie widział.

Wyczuł, że ręce ma przywiązane do łóżka. Spróbował je uwolnić. I wtedy usłyszał łagodny kobiecy głos:

— Leż spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

— Gdzie ja jestem? Co się stało? Chcę przemyć oczy. Dajcie mi wody. Pić!

— Jesteś na operacyjnej sali.

Nagle zdławił go odurzający powiew lekarstwa. Krztusił się.

— Oddychaj głęboko.

— Nie chcę! — krzyknął.

— Licz głośno — powiedziała kobieta łagodnie, ale stanowczo.

— Rozwiążcie! Ja chcę do domu!

— Licz głośno: raz, dwa...

Nagle poczuł, że zaczyna kręcić się jak na karuzeli. Obroty były coraz szybsze i szybsze, a krąg, po którym wirował, malał błyskawicznie.

Kiedy się znów ocknął, leżał na innym łóżku. Dookoła rozbrzmiewały obojętne męskie głosy.

Usiadł.

— Gdzie ja jestem? — zawołał.

— W szpitalu. Spałeś po operacji — powiedział ktoś.

— Po co operacja?

— Musieliśmy ci zrobić opatrunek.

— Chce mi się pić.

— Zaraz dostaniesz.

— A dlaczego ja nie widzę?

— Połóż się i leż spokojnie. Po operacji nie wolno się kręcić — rzekł mężczyzna.

Opadł na poduszkę. Czuł się ogromnie zmęczony. Już nie chciał o nic pytać. Później dowie się wszystkiego. Teraz chce leżeć nieruchomo i spać.

Budził się i zasypiał. Zdawało mu się, że trwa to bez końca. Wciąż był ktoś obok. Ile razy się ocknął, prosił o wodę. Czyjaś ręka podsuwała mu do ust naczynie. Myślał, że to brat.

— Jędrak? — spytał.

— Cicho. Teraz jest noc. Wszyscy śpią.

— A gdzie Jędrak?

— W domu. Przyjdzie jutro — wyjaśniła kobieta.

— A gdzie ja jestem?

— Och, nie nudź. Pytasz co pięć minut o to samo — rzekła nieco znużonym głosem.

sem.

Wreszcie obudził się na dobre. Leżał cicho i próbował przypomnieć sobie wszystko, co zaszło w ostatnim czasie. Pamiętał dokładnie, jak szedł za Jędrkiem, Jasiem Mrozem i tym trzecim chłopakiem, a później zrywał orzechy. „Gdzie mogą być spodnie? — zastanawiał się. — W kieszeni są dwa orzechy dla Jędrka. Czy nie wypadły?” Nagle prze-
raził się.

— Jędreku? — krzyknął.

— Połóż się! Nie wstawaj! — zawołało kilku mężczyzn naraz.

— Gdzie Jędreku? — spytał z niepokojem.

— Przyjdzie. Tylko leż spokojnie.

Znów widział na dłoni Jasia Mrożę błyszczący metalowy przedmiot. Sam widok tego przedmiotu budził lęk. Dlaczego nie słyszał wybuchu? Przecież stał tak blisko. I co o Jasiu powiedział Jędreku? Nie, to chyba nieprawda!

— Czy przywieziono ze mną innego chłopaka?

— Nie, tylko ciebie — odparł z wahaniem męski głos.

„To niemożliwe. Taki drobiazg nie mógł przecież rozerwać człowieka. — Kręcił się niecierpliwie. — Dlaczego nie przychodzi Jędreku? Co się z nim stało? A może oni nie mówią prawdy?”

Czas włókł się niemiłosiernie.

W sali było coraz gwarniej. Zorientował się, że nadeszła pora obiadowa i kobiety roznoszą zupę.

Słyszał brzęk talerzy i łyżek. Wyczuwał w głosach wszystkich pogodny nastrój.

— Nie śpiesz już? — usłyszał raptem nad sobą.

— Nie — przyznał.

— To co, czas najwyższy, abyś zjadł dobry obiad. Pokarmię cię. Posuń się odrobinę.

Siadę przy tobie. Lubisz ogórkową zupę?

— Proszę pani, dlaczego nie przychodzi Jędreku?

— A kto to jest Jędreku?

— Mój brat. Mieszka w domu dziecka.

— O, to przyjdzie na pewno. Jeśli nie dziś, to jutro albo pojutrze.

— Ale ja muszę go o coś spytać.

— Bądź cierpliwszy. A teraz otwieraj szeroko usta.

— Proszę pani...

— No, co znowu?

— Czy tylko ja jestem w szpitalu?

Zaśmiała się.

— Dlaczego tylko ty? Chorych jest pełno.
— Ale wtedy, razem ze mną...
— Ach, o to ci chodzi... Ty miałeś jeszcze dużo szczęścia. Chociaż... — umilkła.
— Proszę pani, on naprawdę nie żyje?
— Nie myśl o tym. Powinieneś leżeć spokojnie, starać się jeść, aby jak najprędzej wyzdrowieć.

— A co mi jest?

— Jesteś okropny nudziarz. Otwieraj usta.

Po przełknięciu paru łyżek spocił się i zmęczył, dała mu więc spokój.

Już do samego wieczora leżał zamyślony. Nie chciało mu się spać, przewracał się z boku na bok i słuchał rozmów toczących się dookoła.

Ostrożnie sięgnął do twarzy. Dlaczego nie widzi? Ze zdumieniem przekonał się, że cała głowa owinięta jest bandażem, tylko broda i usta są odsłonięte. Ach, to przez te bandaże nie może patrzeć. Dlaczego namotali ich tyle? Mogli zrobić jakieś szpary. Ostrożnie próbował rozchylić bandaż, ale nie udało się, tyle było warstw opatrunku.

Otoczające ciemności aż go dusiły.

— Proszę pani! — zawołał. — Proszę pani! — powtórzył głośniejszym głosem.

— Siostrzyczko! Chłopak woła! — rozległo się niedaleko.

Wkrótce przyszła znajoma już kobieta.

— Co się stało? Po co mnie wołasz?

— Przeszkadza mi ten bandaż. Żebym choć przez szparki mógł widzieć.

— Już ci mówiłam, że musisz być cierpliwy. Upłynie wiele wody w rzekach, nim będziesz widział.

— Ale brakuje mi tchu.

— Nie gadaj głupstw! Nikt oczami nie oddycha, a usta masz nie zabandażowane.

— Czy ja muszę być w szpitalu?

— A czy ty musisz tyle pytać?

Stała jeszcze chwilę, a potem odeszła energicznym krokiem.

Wszyscy już spali. Ktoś chrapał przez sen, inny znów jęczał i wzdychał. Gdzieś zza ściany dobiegał zawodzący płacz.

Kręcił się, przeciągał poduszkę z końca w koniec łóżka. Wreszcie spuścił nogi na podłogę. Dziwna mu się ona wydała i zimna jak lód. Siedział tak skulony i bał się wstać, chociaż wszystko aż krzyczało w nim, by spróbował.

Jeszcze raz sięgnął do twarzy. „Te bandaże. Gdyby je odrobinę rozluźnić?” Przesuwał palcami. I raptem znalazł supeł. Pociągnął za jeden koniec. Po chwili już trzymał w palcach początek bandaża.

Teraz już wiedział, co zrobi. Wszyscy śpią, nikt nie zauważy. Cicho rozplącze opatrunek i wymknie się ze szpitala. Przecież to od domu niedaleko. Zaraz będzie u siebie.

Już zdjął bandaż. Jeszcze została tylko wata. Spróbował ją oderwać, lecz przeniknął go ostry ból. Ponowił próbę. Szarpnął. Ból stał się nie do wytrzymania. Z wysiłkiem powstrzymał krzyk. Dotknął oczu. Nie było już opatrunku. Wszystko wydawało się mokre i szorstkie. Usiłował podnieść powieki, ale na próżno. Te same ciemności otaczały go zewsząd.

Raptem zaświtała mu przerażająca myśl — oczy.

Dotknął powiek. Napiął mięśnie twarzy aż do bólu. Dziwne to były ciemności.

Naraz usłyszał skrzypienie drzwi i czyjeś posuwiste kroki, przybliżające się szybko.

— Dlaczego nie śpisz?

Nie znał tej kobiety. Głos miała miękki, wyraźny, o niezwykle ciepłym brzmieniu. Gdyby ją słyszał kiedyś, na pewno by teraz poznał.

— Połóż się. Trzeba spać. Ach, rozwinąłeś opatrunek.

— Chciałem odsłonić oczy, żeby widzieć.

— Chodź, założę ci nowy bandaż.

Otoczyła go ramieniem i poprowadziła przez salę.

— Jesteś boso! — zawołała, gdy znaleźli się na korytarzu. — Weź moje pantofle.

— Ciepło mi. Nie trzeba.

Wkrótce znaleźli się w jakimś pomieszczeniu. Posadziła go na twardym łóżku wyłożonym ceratą.

— Poczekaj. Ja zaraz wrócę.

Odchodząc pogłaskała go po dłoni. Wróciła prawie natychmiast.

— Za chwilę przyjdzie doktor. Spał w dyżurce. Obudziłam go.

— Po co? — spytał.

— Niepotrzebnie zerwałeś opatrunek.

Silnie pchnięte drzwi odskoczyły.

— Jak to się stało? — niski, szorstki głos wypełnił pokój.

— Zajrzałam zobaczyć, jak chorzy śpią, i on siedział na łóżku.

— Po coś to rozgrzebał? Wszystko zachlapane krwią. Czyś ty zwariował? Przecież jeszcze nie zdjęte szwy. Porozrywałeś rany. Połóż się. Trzeba to przemyć.

Siostra delikatnie przechyliła go i ułożyła na łóżku.

— Tylko nic się nie bój. Zmyję tamponami krew.

— Dlaczego ja nic nie widzę?

— Bo masz poranioną głowę — uspokajała go.

— Tak to jest, kiedy się nie słucha starszych i mądrzejszych — mruknął lekarz.

— Niepotrzebnie się bawiłeś tym świństwem — dodał.

— Ależ ja wcale się nie bawiłem. To kolega...

— Wiem, ale jemu już wszystko jedno.

— Panie doktorze, czy ja będę widział?

Zapadło milczenie.

— Nie wolno ci więcej dotykać opatrunku — rzekł lekarz sucho.

— Niech mi pan powie, czy będę widział?

— Chyba raczej nie, chociaż na razie jeszcze nic nie wiadomo.

— A kiedy się dowiem?

— Słuchaj, chłopcze, ile masz lat?

— Czternaście.

Poczuł na swoim ramieniu dużą, ciężką dłoń lekarza.

— Musisz być bardzo dzielny. Niewiele mogę ci dać nadziei, ale ociemniali też żyją na świecie i radzą sobie doskonale.

— Ale ja chyba nie jestem ociemniały? Niech pan powie, że nie jestem!

— No, głowa do góry, chłopcze. Rany goją się ładnie. Niedługo będziesz zdrowy jak spirytus. A teraz niech go siostra zaprowadzi na salę.

Właśnie skończyła bandażować mu głowę.

— Pożyczę ci swoich pantofli. Na korytarzu jest taka zimna posadzka.

Doktor już odszedł. Tadek siedział wciąż oszołomiony. Wyczuł w słowach i zachowaniu lekarza straszliwą prawdę. Ale nie mógł jeszcze w to uwierzyć.

— Proszę pani, czy ja mam pokaleczone oczy?

— Trochę tak — rzekła smutno.

— Ale później będę chyba widział?

— Ja się na tym nie znam. Musisz rozmawiać z lekarzami. Chodź na salę.

Korytarz wydawał mu się nieskończenie długi. Znikąd nie dolatywał tu żaden dźwięk. W pewnym momencie zatrzymał się.

— Proszę pani, ja nie chcę być w szpitalu. Nie mogę tu jeść, spać.

— Przecież dopiero jesteś dwa dni — rzekła spokojnie. — Przyzwyczaisz się. A kiedyś przekonasz się jeszcze, że tu ci było bardzo dobrze.

Ułożyła go na łóżku, poprawiła pościel, a kiedy już leżał, szczelnie otuliła kołdrą.

— Powinieneś bardzo dużo spać.

— Jeśli nie będę widział, to wolałbym się nigdy nie obudzić.

— Nie mów tak, nie wolno.

Jej twarz była teraz tuż koło jego twarzy.

— Zobaczysz, będziesz jeszcze bardzo szczęśliwy. Możesz tylu wspaniałych rzeczy dokonać w życiu.

— Jako ślepy? — spytał.

Wzięła go za obie dłonie.

— Pomogą ci. Nie jesteś sam ociemniały na świecie.

Wyrwał ręce. Naciągnął kołdrę na głowę.

Nie, dalsze życie nie miało już sensu. A jeszcze przed chwila chciał wracać do domu.

Po co?

Rozdział 18

— Dlaczego nic nie mówisz? — spytał Tadek unosząc się na łokciach. — No, powiedz coś.

Wysłuchiwał się, a potem zwątpił, czy Jędrak stoi jeszcze obok łóżka. Wychylił się i zagarnął powietrze rękami. Dotknął szorstkiego ubrania. Poznał od razu bluzę z zielonego, grubego sukna. Kupił ją sam od jednego z żołnierzy radzieckich. Miała wielkie, metalowe guziki, niebieską podszewkę i błyskawiczne zamki przy kieszeniach. Pasowała bardziej na niego niż na Jędrka, ale tak się Jędrkowi spodobała, że nie zwracał uwagi na zwisające ramiona i za długie rękawy; prawie jej nie zdejmował, szczególnie od kiedy nastąpiły jesienne wiatry i deszcze.

W domu dziecka otrzymał inne ubranie, ale tę bluzę lubił najbardziej.

— Byłeś u wuja Michała?

— Tak — odparł cicho.

— I co?

— Malują teraz tynki. Wszystkie szyby zostały wstawione. Dziś ma cię odwiedzić i chce ciebie stąd zabrać.

— Nigdzie nie pójde i powiedz wujowi, że nie chcę, aby rozmawiał z dyrektorem, i w ogóle niech się mną nie zajmuje. Nie potrzebuję niczyjej łaski.

— Dobrze, powiem mu.

— I nie muszą mnie odwiedzać, wuj ani ciotka, nikt.

— Ona jest dobra — rzekł Jędrak. — Odkąd tu zamieszkała, zawsze zaprasza mnie do siebie. I Danka też jest fajna. Była tu w szpitalu.

— Wcale nie była!

— Była, ale ty akurat spałeś. Stała cicho przy łóżku i rozplakała się.

— Przestań! — powiedział Tadek z gniewem.

— Taki się zrobiłeś...

— Ty też możesz nie przychodzić, jeśli ci się nie podobam.

— Tadek, chodź do domu dziecka.

— Po co?

— Mieszkać z nami. Kierowniczką przyjmie cię w każdej chwili. Gadałem też z chłopakami. Obiecali pomagać ci we wszystkim. Kierowniczką da nam pokoik dla dwóch.

— Co ja bym tam robił?

— Będę z tobą wszędzie chodził. Dostaliśmy nowe radio. Mógłbyś słuchać.

— Wszyscy pójdą do szkoły, potem na boisko, a ja...

— Ty też mógłbyś pójść na boisko.

— Po co?

— Posłuchać, jak gramy. Albo mógłbyś wymacać piłkę ręką i kopnąć.

— Głupstwa gadasz!

— Można do piłki wsadzić dzwonek i słyszałbyś, gdzie ona leci.

— Bez grania w piłkę można żyć.

— No widzisz — ucieszył się Jędrak. — Taki zrobiłeś się teraz ponury. W tym tygodniu dostaliśmy trzy rowery. Mówię ci, jakie fajne! Wyścigówki! Chłopaki biją się o nie. Trzeba czekać w kolejce. Dla każdego wyznaczone są godziny, kiedy ma jeździć. Mógłbym na przykład jechać z tobą na ramie. Ty byś kręcił, a ja bym kierował. Wczoraj zrobiłem dziesięć kilometrów w jedną stronę i dziesięć z powrotem. Dzisiaj po południu umówiłem się na wycieczkę z Danką.

— W takim razie idź, bo jeszcze się spóźnisz — powiedział Tadek szorstko.

— Co ty, gniewasz się?

— Nie, ale idź już. Na pewno masz dużo lekcji do odrabiania.

— Skąd! Wszystko odrobiłem na przerwie. Takie łatwe. W ogóle nudzę się w szkole.

— I chodzisz na wagary jak dawniej?

— Przecież ci obiecałem, że nigdy! — wybuchnął Jędrak.

W jego głosie brzmiała niezgłębiona rozpacz.

— Nic nie mów — powiedział Tadek.

— Wiem, ty cały czas o tym myślisz, że to przeze mnie. Masz żal do mnie, dlatego tak się zmieniłeś — ciągnął szlochając.

— Nie mam żadnego żalu. Nie zmieniłem się. I wcale o tym nie myślę. Tylko nie chcę, żeby mnie ktokolwiek odwiedzał i litował się nade mną. Nawet ty.

— Gdybyś chciał, to mógłbym codziennie przybiegać i czytać ci książki — powiedział Jędrak po pauzie. — Danką mówi, że jak wyjdiesz ze szpitala, to też ci będzie czytała. I Gietek tak mówił. Oni teraz we dwoje całymi dniami chodzą ze sobą.

Tadek odwrócił się do ściany. Zakrył głowę ramieniem i leżał nieporuszony.

— Wczoraj — ciągnął Jędrak — przyłapałem ich, jak się całowali u nas w ogrodzie pod agrestem. Gietek był zły na mnie, a Danką miała gębę czerwoną jak burak. I później zrobiła się dla mnie taka słodka. „Nie mów o tym nikomu” — powtarzała ciągle. Dała mi „Ducha Puszczy”, taką książkę o Indianach, i jeszcze pięćdziesiąt złotych.

— Dlaczego więc nie dotrzymałeś słowa? — Tadek siadł. Głos miał surowy, prawie

gniewny.

Jędrak, speszony, w pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć.

— Ja tylko tobie mówię. A zresztą wcale jej nie obiecywałem milczeć. O takich rzeczach na pewno nikt by nie milczał.

— A ja wolę, żebyś nie mówił. Mnie również. Skoro ona tego nie chciała.

— To może ja już sobie pójdę — powiedział Jędrak.

— Nie przynoś mi więcej nic do jedzenia. Tego, co tu mi dają, wystarcza.

— Kiedy mam przyjść teraz?

— W dniu wizyt.

— To dopiero w czwartek.

Tadek chwilę namyślał się.

— Przyjdź zresztą, kiedy będziesz miał ochotę, nie wcześniej.

— To cześć!

Jędrak wyciągnął rękę. Dotknął dłoni Tadka.

Wkrótce słychać było jego kroki oddalające się szybko.

Tadek opadł na poduszkę. Leżąc na wznak, z rękami pod głową, myślał z goryczą, że nikomu już nie jest potrzebny. Nie pojedzie, tak jak Gietek, na rowerze. Właściwie dla niego już wszystko się skończyło. Będzie najpierw tu, w szpitalu, a potem...

Właśnie, co później?

Rozdział 19

Tadek ocknął się pośrodku nocy. Dookoła wszyscy już dawno spali. On tymczasem ledwo się zdrzemnął. Tak trwało prawie od tygodnia. Zasypiał dopiero w dzień, kiedy w sali budziło się życie, ruch i krzątanie.

Kilka dni temu położono na sąsiednim łóżku ciężko rannego sapera. Został ranny podczas rozbijania pól minowych nad Wisłą. W dzień kręciły się koło niego pielęgniarki, salowe, często zjawiał się też lekarz; ale wieczorem wszyscy znikali. Chorzy szli spać, a tylko nocna pielęgniarka od czasu do czasu stawała w progu, rozglądała się, podchodziła cicho do łóżka, aby spytać, czy żołnierz czegoś nie potrzebuje.

Właściwie czuwał jedynie Tadek. Chciał zasnąć, chował głowę pod kołdrę, pod poduszkę, zatykał uszy rękami, by nie słyszeć oddechu sapera, ale wszystko na próżno. Musiał czuwać. Bał się, że gdy zaśnie, stanie się coś złego.

I teraz mimo woli wsłuchiwał się. Żołnierz oddychał inaczej niż dotychczas, ciężko, jakby na piersiach miał olbrzymi kamień. Tak oddychać mógł jedynie człowiek bardzo cierpiący.

Tadek leżał nieruchomo, czujny i napięty do ostatnich granic. Upłynęło już sporo nocnych godzin. Dyżurna siostra, zmęczona, musiała zdrzemnąć się w dyżurce, bo dłuższy czas nie pokazywała się w sali. Oddech chorego stał się niższy, basowy i stłumiony, jakby się składał z kilkunastu różnych oddechów.

Nagle Tadek zeszywniał. Oddech zachwiał się i urwał. Zerwał się z łóżka, stanął przy żołnierzu. Nie wiedział, co robić. Przez chwilę chciał krzyknąć, szarpać rannym. I raptem opanowała go szalona radość — oddech znów wrócił cichy i znacznie spokojniejszy.

Z wielką ulgą siadł na swoim łóżku. „To tylko moje nerwy” — pomyślał licząc odruchowo oddechy sapera:

— Jeden, dwa, trzy, cztery... — aż do siedmiu. Były one coraz cichsze, coraz lżej unosiła się pierś żołnierza. Raptem westchnął głęboko, jakby doznał wielkiej ulgi i wówczas Tadek jakoś instynktownie zrozumiał, że to jednak koniec.

Siedział przygnębiony bezgranicznie, a jednocześnie dziwnie pusty i zobojętniały na wszystko. Nie myślał o tym, co się stało, nie rozpaczał. Jakby w ogóle zamarły w nim

myśli. Czuł zimno idące od bosych stóp, odczuwał swędzenie gojących się ran pod bandażem, słyszał najłżejsze poruszenia się chorych na sali. Wszystkie zmysły miał wyostrzone nieprawdopodobnie i równocześnie tę wielką pustkę w sercu i głowie. Nawet zdziwił się, dlaczego nie czuje żalu, dlaczego nic nie robi: nie wzywa pielęgniarki, nie budzi chorych, nie alarmuje całego świata. Takie niezwykle, a jednocześnie proste wydawało mu się to, co przed chwilą nastąpiło. Zwyczajne, głębokie westchnienie pełne ulgi, i już. Nikt prócz niego nawet nie zauważył. Wszyscy śpią w najlepsze. A przecież dokoła jest cała gromada chorych.

Kiedy przyszła pielęgniarka, nie odezwał się ani słowem. Początkowo stanęła przy drzwiach, jakby chcąc z tej odległości posłuchać, czy wszystko w porządku, i odejść. Dopiero po chwili zbliżyła się do umarłego. I naraz z jej piersi wydobyło się niemal takie samo westchnienie.

— Nie śpisz? Słyszałeś wszystko? Mówił coś? Kiedy to się stało? — zasypała Tadzka cichymi pytaniami.

Nie miał chęci odpowiadać.

Stała chwilę, czekając, wreszcie szybko, szybciej niż kiedykolwiek wyszła z sali. A wkrótce potem przyszły we dwie z noszami. Słyszał, jak stawiały je na podłodze.

Kiedy znów drzwi od sali zamknęły się za nimi, też nie doznał żadnych uczuć. Prześladował go tylko obraz łóżka z odrzuconą kołdrą, z wyraźnym śladem wygniecionym przez ciało żołnierza. Bronił się przed tym obrazem, lecz musiał rozpatrywać wklęsnięcia na poduszce i materacu; od głowy, od pleców, pośladków, nóg, a nawet dłoni i palców, tak jakby ktoś w pościeli wyrzeźbił precyzyjnie wszystkie te wklęsłości i wypukłości.

Ułożył się pod kołdrą. Próbował zasnąć, ale ta wizja prześladowała go coraz mocniej, stawała się wyrazistsza i natrętna, była śladem człowieka, a nawet człowiekiem, którego nie było. Żołnierz istniał i nie istniał.

Nie wytrzymał pod kołdrą. Siadł jak przedtem. Robiło mu się aż duszno od tej jednej myśli. Serce biło nieznośnie. Był cały spocony. Te wklęsnięcia w pościeli nagle znaczyły więcej niż żywy człowiek, niepokoiły go, zaczynał się ich bać. Już nic nie pomagało. Obraz ten pchał się na niego, przygniatał, lecz jednocześnie w niezwykle sposób przyciągał. Narastała w nim przemożna chęć, by zbliżyć się do tamtego łóżka, dotknąć dłońmi prześcieradła, wyczuć palcami ten ślad, jedyny ślad, jaki pozostał po żołnierzu, jedyny i taki nietrwały, bo tylko patrzeć, jak zmienia pościel.

Wydawało mu się, że od chwili kiedy się zdecydował podejść do łóżka i dotknąć, upłynęła cała noc. Ręce mu drżały, gdy powoli wyciągnął je i opuszczał na łóżko.

Naraz dotknął gołych sprężyn. Cofnął ręce gwałtownie. Całe ciało miał zelektryzowane od nagłego zaskoczenia. Ale uparta wizja rozpięzła się. Teraz już spokojnie dotknął palcami sprężyn. Zadzwończyły cichutko, zwyczajnie, jak sprężyny w łóżku. Jeszcze

raz zabrzączał nimi. I ten dźwięk jakby przywrócił go do rzeczywistości.

Zaszył się w swojej pościeli. Nie chciał śniadania ani obiadu, leżał i myślał. A pod wieczór, kiedy w sali nieco uspokoiło się, wstał z łóżka. Wiedział, co ma robić. Musi nauczyć się chodzić „po ślepemu”, by jak najprędzej wydostać się stąd.

Po pierwszych krokach zaszumiało mu w głowie, nogi plątały się. Szedł z wyciągniętymi naprzód rękoma. Bał się, że lada moment potknie się i coś przewróci, narobi wokół hałasu. A jednak stąpał wytrwale. Kiedy dotknął dłońmi drzwi, aż nie mógł w to uwierzyć. Szybko znalazł klamkę i już był za progiem sali.

Ubrany tylko w szpitalną piżamę czuł, że gdzieś z dołu klatki schodowej ciągnie mróz. Obok przetoczył się wózek. Ktoś powłócząc nogami przeszedł, potrącając go niemal ramieniem. Serce wciąż tłukło mu się z podniecenia. A jednak potrafił odnaleźć drzwi. Może to nie będzie takie trudne poruszać się samemu? Na przykład teraz słyszy doskonale, gdzie znajdują się schody, a w którym kierunku drzwi do innych sal. Gdyby chciał, bez trudu dotarłby do schodów, a potem na dół. A za progiem szpitala już wiedziałby, jak odnaleźć drogę do domu. Przypomina sobie każdy szczegół ulicy — chodniki, drzewa, zakręty.

— Idź do sali. Przeziębisz się tutaj.

Zadrżał usłyszawszy nagle przy sobie głos doktora. Sięgnął do klamki. Nie namacał. Przed sobą miał gładką ścianę. Nie rozumiał, jak to się stało. Przecież zatrzymał się tuż za progiem, tymczasem zamiast drzwi uderzał dłońmi o mur. Przesuwał się to w prawo, to w lewo, lecz klamki nie było. Zaczęła ogarniać go rozpacz. Nie mógł tego zrozumieć. Czuł się jak w kamiennej klatce bez wyjścia. Robiło mu się na przemian zimno i gorąco. Ogarnął go lęk, że zaraz ktoś przyjdzie, zobaczy, jak przerażony miota się i maca rękami po ścianie. Ta myśl sparaliżowała go. Nie! Wszystko, byle nie to! — Opuścił ręce. — Nie zniesie ludzkiego wzroku. Nienawidził tych, którzy przyglądali mu się w czasie posiłków, jak poprawiał sobie łóżko czy stawał po coś przy swojej szafce. Odkąd znalazł się w szpitalu, bez przerwy wyczuwał natarczywe spojrzenia. One obezwładniały go. Pod ich wpływem najprostsze czynności były męczarnią.

Stojąc teraz przy ścianie próbował uspokoić wzburzenie. Czuł, że drży cały.

Naraz ktoś ujął go za ramię, lekko pchnął naprzód i położył jego rękę na klamce. Szybko wszedł do środka. Ciepłe powietrze sali podziało na niego odurzająco. Długą chwilę stał, nie mogąc zrobić kroku. Uprzytamniał sobie drogę do swego łóżka. Prosto, a potem w prawo. Słuchał. Wszyscy musieli spać. Nikt nie rozmawiał. Cicho, by nie zwrócić na siebie najmniejszej uwagi, zaczął iść. Po trzech krokach potrącił nagle czyjś stolik. Zabrzączało szkło. Coś z hałasem spadło na podłogę.

— W prawo!

— W lewo!

— Śmiało!

Ze wszystkich stron słyszał te głosy.

— Uważaj, potrącisz!

— Tu, tu!

— Omiń to!

Głosy zlewały się w niesamowitą wrzawę. Zdawało mu się, że to trwa nieskończenie długo. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Był pewien, że kręci się wciąż w tym samym miejscu i nie potrafi wyjść z zakłętego koła. Gdy wreszcie potknął się o własne łóżko i siadł na nim, był ledwo żywy. Ze wstydu i upokorzenia schował się pod kołdrę, skulił w kłębek i nie śmiał oddychać.

Cała sala mówiła coś na jego temat, ale nie odróżniał poszczególnych zdań. Nie cierpiał tych wszystkich ludzi. Każdy opowiadał teraz o swoich spotkaniach z niewidomymi. Ten przeprowadzał ślepego przez ulicę, tamten słyszał, że niewidomi czytają. Zatykał sobie uszy, a jednocześnie chciał nie uronić z tego ani słowa.

Następnego dnia nie ośmielił się zejść z łóżka, ale w dwa dni potem znów spróbował, tym razem w nocy, kiedy wszyscy spali. Nie śpiesząc się, dokładnie wymacał wszystkie przeszkody, zapamiętał, gdzie stoją łóżka, gdzie stoliki, jak je wymijać, jak korzystać z punktów orientacyjnych. Trzy razy przeszedł od posłania do drzwi i z powrotem. Później długo leżał podniecony i nie mógł zasnąć. Jednak potrafił sobie poradzić.

Rozdział 20

— Wkrótce święta — mówił wuj Michał. — Powinieneś je spędzić z nami. A w ogóle czas uciekać stąd. Przy pięciorgu i ty się przeżywisz. A w domu pokój na ciebie czeka.

— Zostanę w szpitalu.

— Nie możesz tu żyć wiecznie.

— Jeśli mnie wypiszą, pójdę do sierocińca.

— Coś tak zhardział?

— Nie chcę być na czyjejś łasce.

— My nie ktoś, ale rodzina. Może wymyślimy dla ciebie jakąś robotę. Ślepi też pracują: koszyki plotą, szczotki robią. I ty się czegoś nauczysz.

— Nie mam zamiaru robić żadnych szczotek. Zostanę śpiewakiem.

— Śpiewakiem?! — wykrzyknął wuj.

— Będę śpiewał na scenie i w radio. Pójdę do specjalnej szkoły dla niewidomych. Już nawet napisałem tam, aby mnie przyjęli.

— Jak to: napisałeś?

— Dostałem adres i pan Łasiak, ten, który leży przy drzwiach, z nogą w gipsie, napisał mi list.

— Szkoła dla niewidomych, powiadasz? Może i jest taka. O, gdybyś został śpiewakiem, to byłby niezły kawałek chleba. Głos masz ładny, mocny. Kto wie...

Wuj Michał zamyslił się.

Tadek, siedząc na brzegu łóżka, bawił się scyzorykiem. Do tej pory nie wiedział, kim zostanie. W ostatniej sekundzie zrodziła się ta myśl o śpiewaku. To prawda, lubił śpiewać. Ilekroć znalazł się z dala od zabudowań — w polu, na łące, w wąwozie — śpiewał pełnym głosem wszystkie, jakie znał, piosenki. A wystarczyło, że raz usłyszał jakąś melodię, już zapamiętał. Najchętniej śpiewał, gdy nikogo w pobliżu nie było. Nieraz specjalnie szedł za miasto, siadał w odludnym miejscu i śpiewał. Sprawiało mu to szczególną radość. Głos niósł się po okolicy, czysty i donośny. Kiedy później wracał do domu, czuł się tak lekki, jakby miał skrzydła u ramion.

Kiedyś zaskoczyła go tak stara kobieta, wracająca z lasu z jagodami.

— Stałam tam w zaroślach i słyszałam — powiedziała. — Masz bardzo ładny głos.

Zawstydził się. Był pewien, że nikt go nie słucha, a śpiewał tego dnia tak, aż coś grało mu w gardle. Uciekł jak winowajca przyłapany na gorącym uczynku. Był zły, że dał się zaskoczyć. Nie popełnił wprawdzie nic złego, ale jak to wygląda — wyjść w pole i wydierać się na cały głos. Co pomyślą ludzie?

Ten wypadek na pewien czas przerwał jego koncerty, ale potem zapomniał i znów chodził za miasto, najchętniej na wzgórze koło wąwozu. A może w tej szkole dla niewidomych będzie mógł się uczyć śpiewać? Fala podniecenia przepłynęła przez niego. Tak, zostanie śpiewakiem. Musi nim zostać.

— Czy wuj znał jakiegoś śpiewaka?

— No, oczywiście, wielu nawet, ale... nie takich, co występują na scenie. Sam też lubię pośpiewać w dobrej kompanii. Tylko że z takiego śpiewania żaden pożytek, tyle że weselej człowiekowi. Solista występujący przed publicznością to co innego. Zarabia dużo pieniędzy. Kiedyś nawet czytałem coś o tym w gazecie.

— Niech wuj mi opowie.

— To chyba o Janie Kiepurze. Ale wyleciało mi z głowy. Spytaj o to Dankę. Ona ma płyty i gramofon. Zawsze interesowała się artystami.

— Ma gramofon?

— Tak, z ogromną tubą, jeszcze nasz ślubny prezent. Puszczają ten gramofon co dzień. Schodzi się cała gromada. Wesoło, aż nieraz ciężko w domu wytrzymać.

Nagle radość i podniecenie, jakie opanowały Tadka na myśl o zostaniu śpiewakiem, zgasły. Siedział przygnębiony i chmurny. Jak mógł chociaż przez chwilę uwierzyć w coś takiego? Zostać śpiewakiem, artystą? Do tego trzeba nie takiego głosu, jak on ma. A poza tym trzeba mieć oczy. Nawet jeśli przyjmą go do szkoły dla niewidomych, czego tam się będzie uczył? Pisma, które się czyta palcami?

— Ja jednak pójdę do dyrektora szpitala. Skoro zgoiły się rany, nie powinien tu siedzieć.

— Mam jeszcze bandaż na twarzy.

— Chyba nie żywisz do nas o coś żalu?

— Co też wuj!

— To dlaczego upierasz się, aby siedzieć w szpitalu?

Tadek milczał. Przez krótką chwilę wyobraził sobie, jak będzie żył w nowym domu. Pamiętał dobrze rozkład pomieszczeń, wąskie drewniane schody na piętro. Tam miał być jego pokój, z oknem na ogród. A tuż naprzeciw był taki sam pokój, przewidziany dla Danki.

— Zobaczysz, będzie nam cudownie, kiedy już tutaj zamieszkamy — powiedziała któregoś razu, gdy znaleźli się na górze, w izbie jeszcze nie wykończonej, pełnej pachnących sosnowych wiórów, kawałków desek. Wszystko tchnęło świeżością, zapachem

wapna i farb.

— Niech wuj nie chodzi do dyrektora. Na pewno za kilka dni przyjdzie wiadomość z tej szkoły, nie warto więc ruszać się stąd.

— Gdybyś był moim synem, zabrałbym, i basta.

Wuj wstał. Był wyraźnie obrażony.

— Uparty jesteś i w sercu masz jakąś urazę. Jutro przyjdzie Danka, a w sobotę ciocia. No, bądź zdrow! — Wziął rękę Tadka w swoją potężną, twardą dłoń. — Tylko... nie dokuczaj więcej Dance.

Próbował uwolnić rękę, ale wuj nie puszczał.

— Ostatnio wróciła od ciebie cała zapłakana. Nie chciała powiedzieć, ale czułem, że coś jej nagadałeś.

Szarpnął rękę mocniej, ale i tym razem wuj nie puścił.

— W takim razie niech nie przychodzi! Wcale jej o to nie proszę! Ma ten swój gramofon, może puszczać płyty, zapraszać towarzystwo, grać i tańczyć. Mnie i tak tu jest wesoło. Coraz ktoś umrze i można się trochę rozerwać.

Uwolnił dłoń. Czuł, jak coś ściska go w gardle. Tylko aby się nie rozpłakać. I tak już za wiele powiedział. Wuj na pewno wszystkiego się domyśla. Opowie zaraz Dance, a ona oczywiście rozgada swoim koleżankom i tym tancerzom, którzy się u niej zbierają, a przede wszystkim Gietkowi.

Słyszał oddalające się kroki wuja.

I naraz opanował go niepokój. Miał ochotę zawołać, aby wrócił i zabrał go stąd.

Po co się upierał przy zostawaniu w szpitalu? Od dawna ma dosyć tego łóżka, zapachu lekarstw, okropnego jęczenia chorych w nocy. Nie cierpi tej sali i tych kilku metrów przejścia od łóżka do drzwi.

Stuknęła klamka. Już było za późno. Wuj na pewno schodzi po schodach. Nie zdąży już dogonić go i zatrzymać.

Położył się na łóżku. Dlaczego właściwie tak postąpił? Przecież chce, bardzo chce zamieszkać w tym pokoju na górze.

Kiedy ostatni raz odwiedziła go Danka, wydawała mu się inna, obca, ale później znów stała się taka, jak na początku ich znajomości. Próbowała przełamać jego zły nastrój, ale on zaciął się w sobie. Nie mógł jej tak łatwo wybaczyć wielu spraw. I teraz, rozmawiając z wujem, cały czas myślał o niej.

Przekręcił się na bok, twarzą do ściany. W sali, jak zwykle po południu, panował większy gwar. Prawie przy każdym łóżku chorego był ktoś z rodziny lub przyjaciół.

Zakrył ręką ucho i starał się nie słuchać tych głosów. O tej porze najchętniej uciekłby stąd, nie zdarzyło się bowiem; aby nie rozmawiano w pobliżu głośno na jego temat. Wszyscy mu współczuli. Bez końca dopytywano, w jaki sposób stracił wzrok. Nikt nie zwracał się do niego, ale pytał innych. Traktowano go jak głuchoniemego, który nie sły-

szy i nie rozumie, co się do niego mówi. Dygotał cały z gniewu, słysząc nie opodal te rozmowy, ale co mógł na to poradzić?

Niektóre kobiety, poruszone jego losem, częstowały go owocami, słodyczami, ale nie przyjął ani razu poczęstunku. Jedni się dziwili, inni obrażali, aż wreszcie poniechano tych prób.

Teraz też słyszał kobiecego głos dopytujący kogoś:

— A jak z tym niewidomym? Długo tu jeszcze będzie? Nie zabiorą go, na święta?

Mocniej przycisnął ramieniem ucho.

Dlaczego odmówił wujowi? — poczuł gorzki żal. Ale teraz już za nic nie zmieniłby swego zdania. Wieczorem przyjdzie Jędrak, a wtedy powie mu, że zgadza się zamieszkać w domu dziecka — oczywiście do czasu wezwania do szkoły dla niewidomych.

Rozdział 21

Ktoś dotknął jego ramienia.

— Jędrak, to ty? — spytał.

— Nie, to ja jestem — usłyszał cichy, drżący szept.

Nie przypominał sobie tego głosu. To przecież nie Danka.

— Jak się czujesz?

Jeszcze nie poznawał.

— To ja. Halina.

Wzięła jego rękę w swoje dłonie. Wydawało mu się, że przyłożyła je do mokrego od łez policzka.

— Dowiedziałam się dopiero dziś, godzinę temu. Przyjechałam do cioci na ferie. Pisałam do ciebie parę razy, ale nie odpowiadałeś mi.

— Myślałem, że słyszałaś — rzekł schrypniętym ze wzruszenia głosem.

— Ciocia mi powiedziała dopiero co — mówiła hamując widocznie płacz.

— Nie chcę, żebyś nade mną rozpaczała. Złości mnie to. Nie zginąłem i nie zginę!

Wszyscy się przekonają!

Stanął bosymi stopami na podłodze.

— Cieszę się, że przyjechałaś. Myślałem, że nie zechcesz mnie odwiedzić.

— Jak możesz tak mówić! — oburzyła się. — Przecież gdybym wiedziała, byłabym już tego samego dnia.

— Nie lubię rozmawiać w sali. Tu wszyscy słuchają. Chodź, wyjdziemy na korytarz — zaproponował.

Schylił się i zaczął szukać pod łóżkiem butów. Podniosła je szybko i podała mu.

Ujął ją lekko pod rękę i podążył obok niej między łózkami.

— Dzień dobry, Tadek. Masz gościa — poczuł dotknięcie ręki Łasaka.

— Dzień dobry panu — uśmiechnął się.

— Tylko nie przezięb się, bo na korytarzu zimno — ostrzegł mężczyzna.

— Nic mi nie będzie — rzekł rażno.

Ledwo zamknęły się za nimi drzwi sali, otoczyła ich cisza. Na obszernym korytarzu

panował ziąb. Słysząc było jedynie czyjeś szybkie kroki w klatce schodowej, a gdzieś z drugiego piętra dochodził żalony płacz dziecka.

Podeszli do poręczy. Wsparci o nią, stali tuż przy sobie.

— Jak się czujesz? — spytała.

Milczał. Rozumiał, że to pytanie nie miało sensu. Przecież dopiero o to go pytała. Czuł w sobie pustkę. Tyle razy wspominał ją, w myślach prowadził z nią długie rozmowy, tymczasem kiedy przyszła, nie wiedział, o czym z nią mówić. Był pewien, że ona też nagle straciła całą odwagę.

— Chodzisz do szkoły? — zagadnął, aby przerwać jakoś niespodziewanie ciężkie milczenie.

— Chodzę. Nie czytałeś moich listów?

— Jeden czytał mi Jędrak — przyznał. — Ale później nie chciałem już nikomu dawać. Sama wiesz dlaczego.

— Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś?

Bębnił palcami o poręcz. Był zdenerwowany.

— Niepotrzebnie przyszłaś — rzekł wreszcie. — Tak naprawdę, nie lubię odwiedzin.

— Dlatego, że wszyscy przychodzą i płaczą, tak?

— Nie, ale nikomu nie jestem już teraz potrzebny.

— A co przed chwilą mówiłeś? Że nie zginiesz, że jeszcze wszyscy przekonają się o tym...

— To tylko słowa.

— Czy ty jesteś jeszcze chory?

— Nie. Już wszystkie rany są pogojone.

— W takim razie po co siedzisz w szpitalu?

— Po co? Czekam... — zawahał się. — Czekam na list. Napisałem do szkoły dla niewidomych. Powinni mi niedługo dać odpowiedź.

— Słyszałam o takim zakładzie. Jest gdzieś pod Warszawą. Zbieraliśmy nawet dla tamtych dzieci upominki na Gwiazdkę.

— Naprawdę? — ucieszył się. — A ja tylko na wpół wierzyłem w taką szkołę — przyznał. — A więc jest — powiedział w zamyśleniu. — Och, jak to dobrze! Nawet sobie nie wyobrażasz! — Wziął ją za rękę. — Będę się teraz uczył dzień i noc, niezmordowanie. Pamiętasz, jak namawiałaś mnie, abym poszedł do szkoły?

— Pamiętam — szepnęła.

— Znów zaczynasz płakać — puścił jej rękę.

— Już nie będę — przyrzekła. — Chcesz, to pójdziemy na spacer. Jesteś taki błady. Na pewno w ogóle nie wychodzisz na dwór.

Nic nie odpowiedział, wsłuchując się w poszum wiatru gdzieś w dole klatki schodowej.

— Na dworze jest biało — mówiła. — I w tej chwili pada gęsty śnieg. Bardzo ładnie wygląda miasto o tej porze. Chodźmy — poprosiła. — Masz jakieś palto?

— Mam. Przyniósł mi Jędrzek z dornu dziecka.

— No, więc chodź. Ubierzesz się i pójdziemy.

— Ale... — zawahał się.

— Nie bój się. Będziesz cały czas ze mną. Będę cię mocno trzymała pod rękę. A tu zrobiłam ci coś na Gwiazdkę — wcisnęła mu do ręki szeleszczącą paczuszkę.

— Co to jest?

— Rozwiń i zobacz.

— Rękawiczki — rzekł ucieszony.

— Nie, to skarpetki — wyjaśniła.

Zaśmiał się z zakłopotaniem, a kiedy mu zawtórowała, jego śmiech zadźwięczał donośniej.

— Sama je robiłam cały miesiąc. Podobają ci się? Są białe jak śnieg, a u góry mają trzy paski — niebieski, żółty i czerwony.

Wrócili na salę. Tadek włożył skarpety i zaczął sznurować buty, ale jakoś niezręcznie mu to wychodziło, dlatego, nie zważając na jego protesty, Halina zasnurowała i zawiązała je mocno.

— Ejże, a dokąd to kawaler idzie? — zbliżyła się do nich pielęgniarka.

— Na krótki spacer — wtrąciła Halina. — On jeszcze nie widział w tym roku zimy.

— Tylko bądź ostrożna, aby nie zrobił sobie krzywdy. Na dworze jest ślisko.

— Będę uważała.

— Nie powinnam go puścić bez przepustki.

— Ale my zaraz wrócimy, proszę pani — przyrzekła gorąco Halina.

Pielęgniarka mruknęła coś cicho i odeszła.

— Tak jak w więzieniu — powiedział.

— Gdybyś chciał, mógłbyś zamieszkać przez ferie u mojej ciotki. Zrobisz to? — poprosiła nagle. — Będziemy tylko z ciotką w całym domu, moi rodzice pojechali na narty do Zakopanego. Wybłągałam u nich te ferie, bo chcieli mnie zabrać ze sobą.

— Twoja ciotka mnie nie lubiła.

— Co ty opowiadasz?! Kiedy mówiła mi dziś o tobie, miała łzy w oczach.

— O, teraz wszyscy litują się nade mną.

— Ona naprawdę jest bardzo dobra. Udaje tylko taką surową.

Mijając łóżko Łasaka, znów odczuł jego palce na swoim ręku. Przystanął na chwilę.

— Odchodzisz? — spytał.

— Nie, tylko idę przejść się — wyznał Tadek.

— To chyba twoja siostra. Bardzo podobna do ciebie.

— Zgadł pan. To właśnie jest mój brat — powiedziała spiesznie Halina.

— Idź. Kiedy wrócisz, opowiesz mi, co nowego i dobrego słysząc na świecie. O, gdybyś wiedział, z jaką radością poszedłbym razem z tobą.

— Już niedługo zdejmą panu gips. Będzie pan chodził tak jak dawniej.

— Mam nadzieję, mam nadzieję. Najwyższa pora już zwlec się z tego łóżka.

— Do widzenia na razie — Tadek ruszył ku drzwiom, trzymając pod rękę Halinę.

— Szczęśliwej drogi! — zawołał Łasak.

Rozdział 22

— Tu jest już pusto. Nie ma nikogo — mówiła uspokajająco. — Na jezdni widać tylko ślady po jakiejś furmance. Dokoła tak biało. O, dotknij gałęzi. Ile śniegu nawieszono.

Wyciągnął dłoń. Jeszcze drżała mu ze zdenerwowania. Zaczepił palcami o kiść i nagle posypała się na niego lawina śnieżnego pyłu. Strzepywał śnieg z twarzy i ubrania, a Halina zanosila się od śmiechu.

— No, teraz wyglądasz jak dawniej — cieszyła się. — A byłeś taki sztywny, jakbyś kij połknął. Nie wolno się tak denerwować.

Naraz stanęła blisko i objęła go za szyję.

— Musisz się przyzwyczaić i nie zwracać uwagi na to, co mówią ludzie. Niewidomych przecież nie spotyka się tak często, a poza tym wszyscy cię znają i dlatego ten i ów zaczepia i pyta o głupstwa.

— Nienawidzę ich! Co ich obchodzi moje sprawy. Ja nigdy nikogo nie zaczepiałem na ulicy i nie pytałem, dlaczego jest kulawy albo smutny. Oni też powinni dać mi spokój.

— Nie mów już o nich — poprosiła — Tu jest tak pięknie. Miasto zostało daleko za nami. Na prawo ciągnie się brzozowy zagajnik, pamiętasz? A na lewo między drzewami widać gładką taflę stawu. Już się zmierzcha. Powietrze zrobiło się prawie niebieskie.

Czuł jej twarz tuż przy swoim policzku.

— Nieraz myślałam o tym, że jak się spotkamy, to... — urwała.

Poruszyła się. Słyszał skrzypienie śniegu pod jej butami.

— Nigdy cię nie opuszczę! Nigdy!

Objęli się teraz ramionami. Całowała jego usta, twarz i z łkaniem powtarzała:

— Nigdy! Nigdy!

Bandaż, którym przewiązane miał oczy, szybko nasiąkał łzami. Płakał po raz pierwszy od wielu miesięcy. Nagle wszystko w nim jakby pękło, rozluźniło się. Ledwo stał na nogach. Opierał się o nią, czując, jak ziemia kręci się pod nim i zatacza.

Halina próbowała mówić, ale łkanie odbierało jej głos. On nawet nie starał się odzywać. Szloch rozrywał mu piersi. Było to coś, czego nie przeżywał nigdy. Płacz wywołu-

jący ból krtani, ramion i piersi. Nie usiłował też powstrzymać łez, czując, że to byłoby daremne.

Halina pierwsza uspokoiła się i podtrzymywała go, jakby z obawy, aby nie upadł.

— Nie chciałam... To przeze mnie płaczesz.

— Nie, nie przez ciebie — mówił z trudem. — Ja się po prostu boję żyć. Boję się teraz wszystkiego: chodzenia, ludzi, tego, co będzie jutro. Ja przecież wiem, że nic mnie nie czeka, niczego nie dokonam. Ja tylko tak mówiłem. Chyba wolałbym nie żyć.

— Tadek, jak możesz tak mówić?!

— Sama wiesz, że to prawda. Gdzie pójdę? Do wuja? Do domu dziecka? A nawet jeśli się dostanę do tej szkoły dla niewidomych, to co potem?

— Nie wiem, co potem, ale ja będę z tobą przez całe życie.

— Tak mówisz teraz. A zresztą ja nie chcę takich obietnic.

— Pamiętasz, tam, pod krzakiem agrestu, pocałowałeś mnie, kiedy powiesiłam ten grzebyk na wstążeczce, i powiedziałeś, że kiedy dorośniemy, pobierzemy się.

— Nie wspominaj o tym. To były głupstwa.

— Dlaczego głupstwa? Przecież mamy już po czternaście lat.

Schylił się, wziął garść śniegu, przyłożył do czoła.

— Jesteś dla mnie bardzo dobra. Ale teraz, kiedy oslepiłem, nigdy bym się nie zgodził, abyś...

— Nic dalej nie mów! — zatkała mu usta dłonią. — W ogóle nie rozmawiajmy już na ten temat. Będę ci opowiadała, co widzę. I wreszcie pójdziemy na ten nasz spacer.

— Ujęła go mocno pod ramię. — Wszystko już poszarzało, ale od śniegu jest bielusińko. Słyszysz, jak dzwonią gałązki brzozy? Niebo nad nami wygląda szaro, ale dalej na horyzoncie jest prawie czarne. Gdzieś tam już świecą się gwiazdy.

Słuchał jej, lecz nie odróżniał poszczególnych słów. Wciąż jeszcze czuł w głowie szum, wymieszany z jej głosem i skrzypieniem śniegu. Powoli jednak wzburzenie ustępowało. Rzeczywiście, tuż na prawo, w górze, szeleściły i podzwaniały brzozy. Powietrze było mroźne; aż zatykało, kiedy odetchnął nim głębiej.

— Masz chusteczkę? — przerwał jej.

— Trzymaj — podała mu.

Wycierał mokrą od łez twarz. Wyciskał łzy z nasiąkniętego nimi bandaża.

— Cieszysz się, że wyszliśmy na spacer? — zagadnęła.

— Chyba tak.

Pogłaskała go po ręku.

— A, widzisz. Zobaczysz, będzie jeszcze wszystko bardzo dobrze. Jeśli do końca ferii nie dostaniesz odpowiedzi z tej szkoły, pojedę tam i załatwię wszystko. Muszą cię przyjąć. Damy sobie radę, przekonasz się — mówiła z zapałem.

Uśmiechnął się lekko. Zauważyła to.

— Uśmiechnij się jeszcze — poprosiła.
Przez chwilę znów uczuł skurcz w krtani, ale przemógł się i uśmiechnął szerzej.
— A może nie zginę i poradzę sobie jakoś w życiu — rzekł z wahaniem.
Przycisnęła mocniej jego rękę do siebie.
— Ślady wozu skręcają w las, a szosa dalej jest całkowicie zawiana. Którędy chcesz iść?
— Może nad staw? — rzekł z wahaniem.
— To samo pomyślałam. Tylko trzymaj mnie mocno, bo utoniemy w śniegu.
Zeszli na bok. Rzeczywiście zapadli się teraz do kolan. Tadek po kilkunastu krokach zadyszał się. Musiał przystanąć, by odpocząć i zaczerpnąć tchu.
— Już tylko kawałeczek — zachęcała. — Tam, między drzewami, jest wzniesienie prawie wywiane ze śniegu.
— Nie mam sił — powiedział z trudem stawiając każdy krok.
— To zwyczajne. Po takim leżeniu w łóżku każdy by stracił siły.
— Poczekaj. Serce tłucze mi się jak wróblowi schwytanemu w garść.
— Tylko jeszcze jedna zaspą i będziemy na wzgórzu. Daj rękę, pociągnę cię.
Wkrótce wyczuł pod stopami twardy grunt. Oddychał szybko i płytko.
— Przypomniało mi się, jak kiedyś — mówił z wysiłkiem — złapaliśmy z chłopakami małego zająca. Piszczął i płakał zupełnie jak małe dziecko. Kiedy wziąłem go w dłoń, słyszałem, jak łomocze mu serce. Zlitowałem się i puściłem go, ale jeden z chłopaków miał psa i ten pies go zagryzł. Ledwo odbiegł parę metrów.
— Cały jesteś spocony. Masz, wytrzymaj się moim szalikiem — zaproponowała.
— Nie trzeba. Zaraz wystygnę.
— *Lepiej wytrzymaj się, bo można się przeziębic.*
— Już nic gorszego mi się stać nie powinno.
— Przestań już tak mówić, bo znów będę płakała. Przecież przyjechałam do ciebie na ferie.
— No dobrze, postaram się. — Wziął od niej szalik i wycierał spoconą twarz, czoło, szyję.
— O, tu rośnie piękna choinka. Podejdź do mnie.
Ruszył za jej głosem. Wyciągnął ręce i natrafił nimi na zimne, ostre gałązki.
— Powąchaj, jak pachnie! — zawołał, nagle uradowany tym dotknięciem. W ciszy słyszał, jak wdychała głęboko zapach. Dłonie miał całe obsypane śniegiem, ale nie strzeptywał go. Przyjemnie czuć było orzeźwiający chłód.
— Drzewko jest zgrabne. Szczyt ma równusieńki, zakończony małą zieloną gwiazdką. Wiesz co? — wzięła go nagle za rękę — przyniesiemy tu któregoś dnia świeczki i zapalimy.
— Doskonale! — powiedział. — To będzie nasza prawdziwa choinka.

— Musimy zaraz wracać, zrobiło się ciemno. Ciocia będzie się niepokoiła o mnie. Zresztą ty jesteś zmęczony i na pewno głodny.

— Ale skąd! Już odpocząłem. Mógłbym tu zostać przez całą noc.

— Ja też bym została, ale boję się mrozu — rzekła i wybuchnęła śmiechem.

Zerwał parę szpilek, powąchał, a potem włożył do ust.

— Spróbuj — zachęcił. — Jakie cierpkie.

— O, widzisz, zgadłam, że jesteś głodny. Wracamy.

— Nie, jeszcze chwilkę — poprosił. — Przypominasz sobie, jak przyprowadziłem cię tutaj, abys posłuchała słowików?

— Pamiętam. Tymczasem przywitały nas żabie chóry. Tak wtedy bałam się tych żab umykających spod stóp.

— Nie wiedziałem, że z ciebie taki tchórz.

— A ja nie wiedziałam, że ty się tak znasz na słowikach.

Przysunął się do niej.

— Halina, czy ty mnie naprawdę lubisz?

Chwilę trwało milczenie.

— Jak nikogo dotychczas — powiedziała ledwo dosłyszalnie.

— Chcesz, zaśpiewam ci.

— Zaśpiewaj — poprosiła.

Odchylił nieco do tyłu głowę i naraz popłynęła donośna, dźwięczna melodia. Była to zwyczajna żołnierska ballada, którą znali i śpiewali wszyscy, ale Halina słuchała jej jak zaczarowana. Tadek miał czysty, prawie srebrny głos, pełen niezwykłego ciepła. Wzruszona trzymała dłoń na jego ramieniu.

Wzgórze naraz ożyło. Niektóre słowa wracały echem, odbite od drzew. Kiedy wreszcie umilkł, ona też nie miała odwagi mówić.

— Podobało ci się — rzekł z przekonaniem.

— Bardzo — szepnęła gorąco.

— Dawno chciałem komuś zaśpiewać, bo tak sobie marzę, aby zostać kiedyś śpiewakiem, takim prawdziwym, który występuje w radio, nagrywa płyty, śpiewa na koncertach.

— Och, nawet nie wiesz, jak cię Kocham! — wykrzyknęła. — Już w tej chwili mógłbyś śpiewać w radio.

— Nie — zaprzeczył. — Ja wiem, że to niełatwe. Muszę się bardzo dużo uczyć. Słyszę przecież, jak śpiewają. A ja prawie nic nie umiem. Zaledwie tych kilkanaście byle jakich piosenek.

— To głupstwa. Kupimy śpiewniki. Ja nawet w domu mam nuty i słowa, bo moja mama kiedyś dawała lekcje muzyki.

Wrócili ożywieni, pełni nadziei. Tadek był zmęczony. Bolały go nogi, ale dawno nie

czuł się tak szczęśliwy. Mówił niewiele, ale za to słuchał z napięciem wszystkiego, co ona mu opowiadała. A zwierzała mu się z tych czterech miesięcy rozstania, jakie dzieliły ich od wakacji. Dopiero, kiedy poczuł zapach dymu płynącego od pierwszych zabudowań, na nowo uprzytomnił sobie swoją sytuację.

— Nie mam chęci iść do twojej ciotki. Nie wiem, jak mnie przyjmie. Poza tym to chyba nie wypada.

— Ależ zgodziłeś się już. Po co kręcisz od nowa?

— Ze szpitala nie wolno tak wyjść. Muszą wypisać kartę.

— To nic. Prześpisz się u nas, a jutro pójdziemy i załatwimy, co potrzeba.

— Nie, nie mogę. Dziś jeszcze zostanę w szpitalu. Pamiętam, jaka twoja ciotka była na mnie zła.

— To są dawne dzieje. Ona jest naprawdę najukochańsza w świecie i lubi cię, wiem na pewno.

Szli teraz ulicą pełną zabudowań. Coraz mijali kogoś śpieszącego chodnikiem. Wsłuchiwał się z napięciem w te obce kroki.

— Czy oni wszyscy patrzą na mnie? — spytał nieoczekiwanie.

— Ależ skąd. W ogóle nie zwracają na nas uwagi, tym bardziej że teraz jest prawie ciemno.

— Nie kłamiesz?

— Nie.

— W takim razie dlaczego przedtem zaczepiali mnie i gapili się?

— Bo to był dzień i szliśmy główną ulicą.

— A po czym oni poznają, że ja nie widzę?

Zastanawiała się chwilę.

— Chyba po tej opasce z bandaża i po tym, że trzymasz mnie pod rękę. Właściwie po co ty nosisz ten bandaż? — zagadnęła.

— Widziałem kiedyś niewidomego z pustymi oczodołami. To był okropny widok. Nie chcę tak wyglądać.

— Już wiem, co ci kupię na Gwiazdkę! — zawołała. — Ciemne okulary. Zaraz jutro, gdy tylko otworzą sklepy.

— One będą jeszcze bardziej zwracać uwagę — rzekł z goryczą.

— Tadek, po co ty o tym tyle myślisz? Zapomnij o wszystkim. Już jesteśmy blisko domu.

Na dźwięk tych słów stanął.

— Nie, nie pójde. Zaprowadź mnie do szpitala.

— Dlaczego się upierasz?

— Nie pójde. Twoja ciotka na pewno od progu zacznie płakać i litować się.

— Moja ciotka nie jest taka głupia! A poza tym nie zaprowadzę cię do szpitala!

— W takim razie pójdę sam.

— Jesteś niedobry.

Ktoś nadchodził uliczką, kaszłąc, ucichli więc, chcieli przeczekać, aż ich minie. Tadek skurczył się, spuścił głowę, jakby chciał się ukryć. Poznał ten kaszel, toteż nie zdziwił się, gdy nagle tuż przed nim rozległ się tubalny głos wuja Michała:

— Tadek, synu drogi! — wuj złapał go w ramiona. — No, widzisz, a taki byłeś uparty. Chodź, ciotka się ucieszy i Danką. Żebyś wiedział, jak mnie skrzyczały, że nie zabrałem cię siłą ze szpitala. Mądry jesteś chłopak. Sprawileś mi prawdziwą niespodziankę. A panienka kto? Może ze szpitala?

Halina, zaskoczona, stała niema.

— Teraz już damy sobie radę we dwóch. Bardzo panience dziękuję za odprowadzenie go. No, chodź, tylko nie potknij się, bo tu krawężnik.

Wuj Michał troskliwie otoczył go ramieniem i pchnął naprzód.

— Zaraz, ja muszę się pożegnać — Tadek stanął i odwrócił się w stronę Haliny.
— Do widzenia!

Nie odpowiedziała.

— Chodź, mróz idzie, przeziębisz się — wuj pociągnął go za sobą.

— Do widzenia! — zawołał znów Tadek.

— Ona spuściła głowę i stoi. Jakaś niemowa czy co.

— Przyjdź jutro! — zawołał Tadek odwróciwszy się raz jeszcze.

— W domu ciepło. Zaraz się rozgrzejesz. A jak się Danką ucieszy!

Ochraniał Tadek ramionami, jakby się bał, że chłopiec może lada chwila zachwiać się i upaść. Poprzez skrzypienie śniegu i słowa wuja próbował usłyszeć, czy Halina idzie za nimi, przez sekundę bowiem zdawało mu się, że słyszy jej cichy płacz.

Rozdział 23

Wycierając i ostukując buty ze śniegu, słyszał za drzwiami donośny, zgodny chór:

*Jędrusiowa dola, partyzancka dola.
Będzie lepiej, pociesz się...*

— Uważaj, bo wysoki próg — ostrzegał wuj i pchnął drzwi.

Melodia i ciepło buchnęły ze środka. Ale w sekundę potem niby na komendę zapadła cisza. Tadek stał zakłopotany. Wyczuwał dookoła ciekawe oczy.

— Co się tak gapicie? — rzekł wuj zamknawszy drzwi. — Nie znacie go? Nie pamiętacie?

Trwało to nieskończenie długo.

— Dzień dobry.

Tadek drgnął usłyszawszy tuż, blisko, głos Danki. Wydała mu się jakaś zalękniona i niepewna, zupełnie inna.

— Rozbierz go, zdejmij mu buty, bo na pewno przemokły. Gdzie matka?

— Wyszła do sklepu — odparła.

— Nakarm go, napój. Niech się czuje jak u siebie w domu.

— Nie potrzeba. Nie jestem głodny — plątał się w słowach. — I będę musiał już wracać. Puścili mnie ze szpitala tylko na godzinę.

— Po coś ty im potrzebny. Skoroś przyszedł, to już siedź — oznajmił wuj serdecznie, kładąc mu wielką dłoń na głowie. — Tu jesteś u siebie — dodał jeszcze.

— Cześć, Tadek!

— Cześć!

Teraz podchodzili inni, wyciągali ręce. Nie od razu umiał trafić na ich dłonie. Nie poznawał po głosach, a wstydził się pytać, kto jest kim.

— Daj, rozepnę ci palto — zaproponowała Danka.

— Nie trzeba. Dam sobie radę — zmarzniętymi palcami odpinał guziki.

Znów dookoła panowało milczenie. Musieli obserwować każdy jego ruch.

— Daj, powieszę je — ktoś wziął płaszcz z jego rąk.
— Chodź głębiej — Danka ujęła go ostrożnie za rękę.
Postąpił naprzód. Zaczepił nogą o jakiś chodnik. O mało się nie przewrócił. Niezgrabnie potrącił krzesło. Zwaliło się z hałasem na podłogę. Stał zawstydzony i bezradny.

— Siądź tutaj — powiedziała Danka.

Czuł dookoła napięcie i te oczy ciekawe, współczujące, natarczywe.

— Naprawdę muszę zaraz wracać do szpitala. Wołałbym nie siadać.

Chwilę słuchał cizy. Nagle ktoś zastukał do drzwi.

— Dobry wieczór.

Serce zabiło mu radośnie. To była Halina.

— Przyszłam do Tadka.

— Serwus! — zawołał Gietek. — On dopiero przyszedł.

— Wiem. Właśnie ze mną szedł, kiedy spotkał go wuj. To jest twój dom? — zwróciła się do Danki.

— Tak, nasz.

— Poznajmy się. Mam na imię Halina. Mieszkam na tej samej ulicy.

Natychmiast wszystko wokół ożyło. Pewny, spokojny głos Haliny rozładował napięcie.

— Moja ciocia zaprosiła Tadka na całe ferie. Zaraz sobie pójdziemy. Dlaczego się tak gapicie? On tego nie cierpi.

Niektórzy zawahali się, czy zostać, czy pójść. Coś szeptali, wreszcie dwie dziewczyny zdecydowały się pożegnać, a za nimi poszli inni. Zostali Gietek i Ewa, kuzynka Danki, która przyjechała na święta.

— Masz chyba żal do mnie? — zagadnął Gietek Tadka.

— Dlaczego?

— No, że byłem u ciebie tylko jeden raz.

— To nieważne.

— Wybierałem się, ale w tym szpitalu...

— Tak, w szpitalu jest okropnie. Tylu rannych, wszystko śmierdzi, przychodzą więc tylko ci, którzy muszą.

— Ja nie dlatego, ale...

— Co ty się głupio tłumaczysz?! — mruknęła szorstko Halina. — Nie chciałeś, to nie przychodziłeś.

— A ty tak często bywałaś?

— Ja nic nie wiedziałam.

Siedzieli teraz w pięcioro wokół stołu. Mówiła głównie Halina, lecz powoli jej swoboda udzielała się Gietkowi i Ewie. Mówili o książkach, o szkole i jakby zapomnieli, że

Tadek nie widzi. On jednak o tym pamiętał. Chwilami milkł i myślał o sobie z rozpaczą. Wiedział, że nie powinien się łudzić zbyt tym, co nastąpi jutro, pojutrze. Nie może go czekać nic dobrego. Oni zaraz po feriach świątecznych pobiegą do szkoły, każdy do swojej klasy, a on, jeśli stąd nie wyjedzie, będzie siedział sam w pokoju, między czterema głuchymi ścianami, beczynny i zagubiony. Tak bywało niekiedy w szpitalu. Inni czytali gazety, książki, pisali listy lub rozwiązywali krzyżówki — on leżał na łóżku i myślał, ciągle o tym samym: o jutrze. Bał się tego jutra. Przyszłość w jego myślach rysowała się jako jałowe i bezsensowne siedzenie w domu.

Prawie o północy pożegnał się z Gietkiem i Haliną. Namawiała go, aby udał się do niej, ale wuj, który akurat zjawił się, krzyknął zdumiony:

— Jak to? Do obcych będziesz szedł? Tu jego rodzina i dom! Mowy nie ma, nie puszczę go!

Stał teraz w tym swoim domu, w małym pokoiku, już dawno przeznaczonym dla niego. Kafłowy piec silnie promieniował ciepłem. Podłoga lekko skrzypiała pod butami. Świeżo malowane ściany pachniały przyjemnie i przypominały dni, kiedy krzątał się tu wraz z wujem i robotnikami.

Podszedł do okna i otworzył. Z dworu napłynęło mroźne powietrze. Poczuł je na twarzy, na szyi i rękach. Noc była cicha. Gdzieś daleko poszczekiwały psy. Zacerpnął w dłoń śniegu z parapetu i lepił kulę. Danka i Gietek wydali mu się inni niż przedtem. Zmieniła się też Halina, ale ona zmieniła się inaczej — stała mu się o wiele bliższa. Przy niej bardziej ufał w to jutro; przyszłość wydawała mu się prosta i jaśniejsza.

Ostrożnie wypuścił kulę śnieżną z dłoni za okno. Słyszał, jak miękko wpadła w śnieg. Potem, leżąc już pod kołdrą, która pachniała lnem, wspominał miniony dzień. Wciąż nie mógł uwierzyć, że jest daleko od szpitala, w cichym i pogodnym domu wuja Michała.

Zasypiał prawie, gdy zgrzytnęła klamka i ktoś uchylił drzwi.

— Tadek, to ja.

— Danka? Nie śpisz jeszcze?

— Nie mogę zasnąć — powiedziała.

— Ja też jeszcze nie śpię.

— Słuchaj, czy Halina to ta, co powiesiła grzebyk na agrestowej gałązce?

— Tak, to ona.

— I teraz przyjechała specjalnie do ciebie?

— Wiesz przecież, że jej ciotka tu mieszka.

— Wiem. Ale dlaczego zaraz po przyjeździe pobiegła do szpitala, cały dzień chodziła z tobą i jeszcze chciała cię zabrać do siebie?

— Może przyjechała nie tylko do ciotki — uśmiechnął się.

— To znaczy, że wy...

— Myślę, że nie masz nic przeciwko niej?

— Nigdy nie lubiłam tego grzebyka i wstążki.
Chwilę panowało milczenie.
— Może przeszkadzam? Chciałbyś już spać?
— Wyspałem się w szpitalu na zapas.
— Zostaniesz już u nas? Nie odejdziesz jutro?
— Nie wiem. Zobaczą jeszcze. Nie chciałbym wam zawadzać.
— Zmieniłeś się bardzo.
— Dlaczego tak sądzisz?
— Bo chyba nie mówisz wszystkiego, co myślisz.
— Nikt wszystkiego nie mówi.
— Ale ty dawniej chciałeś tu mieszkać, pamiętasz?
— Och, to, co było dawniej, już nie ma znaczenia. Mnie obchodzi teraz tylko to, co będzie jutro.
— Taki stałeś się dorosły.
— Musiałem.
— Palce też miałeś poranione — dotknęła jego ręki.
— Głupstwo. Zagoiły się. Jestem teraz zupełnie zdrowy.
Głaskała jego dłoń.
— Tadek, powiedz, że z tą Haliną to nic poważnego.
— Dlaczego ty jej nie lubisz?
— Pocałuj mnie — poprosiła raptem. — Pocałuj — powtórzyła — to uwierzę, że jej nie kochasz.
— Ależ ja ją kocham! — zawołał. — Jak chyba nikogo na świecie!
W ciszy, która raptem zaległa pokój, nie słyszał nawet oddechu Danki.
— Ach, podły! — krzyknęła nagle i z płaczem wybiegła z pokoju.
Długo siedział zaskoczony tym, co zaszło. Właściwie miał ochotę cicho ubrać się, zejść na dół, wymknąć się z domu i wrócić do szpitala.
Gdzieś z dołu, poprzez podłogę, rozległo się dwanaście uderzeń zegara. Później wybiła pierwsza i druga. Wreszcie zasnął. Ale kręcił się niespokojnie, zrywał kilkakrotnie, za każdym razem przekonany, że wciąż jeszcze jest w szpitalu.

Wuj Michał obudził go z twardego snu.
— Wstawaj, śpiochu! — zawołał wesoło. — Dziewiąta już. Pora na śniadanie.
A i panna przyszła.
— Halina?
— A któż by inny?
— Dobrze, wuju, ubieram się szybko i schodzę.

— A trafisz sam na dół?
— Oczywiście. Pamiętam wszystko dokładnie.
— Zuch z ciebie. Tylko nie spadnij ze schodów. I uważaj, przy poręczy ciotka postawiła doniczki z kwiatami.
— Będę ostrożny.
Wuj Michał odchrząknął i mrużąc coś, oddalił się. Ledwo Tadek zszedł na dół, przypadła do niego Halina.
— Mam niespodziankę!
— Jaką?
— Wspaniałą! Ciotka mnie wczoraj skrzyczała okropnie, że zabrałam cię ze szpitala bez zgody lekarza, i dlatego pobiegłam tam dziś o siódmej rano. Wypisałam cię i dostałam list.
— Z tej szkoły?
— Tak — potwierdziła.
— Co wam tak wesoło? — spytała Danka podchodząc.
— Dostałem odpowiedź ze szkoły dla niewidomych — powiedział z radością.
— Przyjęli cię oczywiście.
Tadek zawahał się.
— Czytałaś? — spytał Halinę.
— Nie gniewaj się, ale nie mogłam wytrzymać z ciekawości.
— Wstydzilibyś się! To przecież był list do niego — Danka była oburzona.
— I co? — spytał.
— Możesz przyjechać tam w każdej chwili. Mają dla ciebie miejsce w internacie. Jak się cieszę! — wybuchnęła, objęła go. — Odwiozę cię zaraz po świętach.
— Bezwstydnica! — rzuciła Danka i gniewnie poszła w głąb mieszkania.
— Chodź, zabieram cię na śniadanie. Jestem głodna jak wilk. A ciocia obiecała zrobić dla nas poziomkowy omlet.

Warszawa, 16 grudnia 1970 r.

SPIS TREŚCI

Rozdział 1	2
Rozdział 2	11
Rozdział 3	20
Rozdział 4	27
Rozdział 5	31
Rozdział 6	37
Rozdział 7	45
Rozdział 8	51
Rozdział 9	56
Rozdział 10	63
Rozdział 11	69
Rozdział 12	76
Rozdział 13	84
Rozdział 14	91
Rozdział 15	96
Rozdział 16	104
Rozdział 17	111
Rozdział 18	118
Rozdział 19	121
Rozdział 20	125
Rozdział 21	129
Rozdział 22	133
Rozdział 23	139